



LINDA BLESER
DOM ŁEZ

Linda Bleser

Dom Lez

Tłumaczenie:
Hanna Hessenmüller

Judzie, memu mężowi.

Nie wyobrażam sobie rzeczywistości bez Ciebie u mego boku.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

15 marca 1995 r.

Dziś jest dzień niezwykle ważny.

To zdanie Jennie bardzo się spodobało. Niezwykłe ważne. Dlaczego nie? Przecież takie dni bywają, taki byłby na przykład dzień, w którym ona, Jenna, zostałaby sławną poetką. Jak jej matka. Oczywiście, i dlatego to właśnie zdanie zapisała w swoim pamiętniku. No, może nie w takim prawdziwym pamiętniku, tylko zwyczajnym notesie kupionym w drogerii. Dla niej jednak ten notes miał szczególne znaczenie, ponieważ jego kartkom powierzała swoje najskrytsze marzenia, nadzieje i obawy.

Niestety słowa, które wydawały się idealne, po przelaniu na papier dalekie były od ideału. Po prostu beznadziejne, dlatego przekreśliła je i napisała coś innego:

Dziś jest dzień mojego przeznaczenia.

Nie, też niedobrze. A więc jak oddać słowami to, co teraz czuje? Jak opisać ten dzień, który jest przebogaty w możliwości, który ma w sobie tyle treści, tyle prawdy, że zakrawa na cud? Kolejne zdanie zostało przekreślone i pojawiło się nowe:

Dziś są moje trzynaste urodziny.

Tak, tylko tak, bo o to właśnie chodzi. Dziś Jenna żegna się z dzieciństwem i przenosi się do pełnego tajemnic świata nastolatków, czyli praktycznie staje się dorosłą.

Włożyła ulubione niebieskie dzinsy i T-shirt. Dlaczego nie, skoro z faktu, że jest się nastolatką, wcale nie wynika, że nie można już mieć na sobie zwyczajnych spranych ciuchów, w których człowiek czuje się swobodnie. Włosy związała w koński ogon i na palcach podeszła do drzwi. Uchyliła je tylko troszkę i pociągnęła nosem, prawie pewna, że poczuje zapach bekonu i syropu klonowego. Przecież matka na pewno wstała dziś wcześniej, by przygotować coś, co Jenna lubi najbardziej.

A może i nie? Jeszcze raz, tak dla pewności, pociągnęła nosem, ale niestety nie wyczuła charakterystycznego słodkiego zapachu. Nie wyczuła nic, a poza tym w całym domu panowała cisza jak makiem zasiał, czyli niewątpliwie wszyscy jeszcze spali, najlepiej więc będzie zejść na dół i samej sobie zrobić śniadanie. Płatki albo coś w tym stylu. Tak, ale niewykluczone, że matka jest jednak na dole i pakuje prezenty albo rozwiesza w pokoju dziennym różnokolorowe serpentyny. Lepiej więc nie pojawiać się na dole, żeby nie psuć sobie niespodzianki, a jeśli już koniecznie chce się gdzieś pójść, to zawsze można zajrzeć do młodszej siostry. Do

pokoju, w którym wszędzie jest różowo i miękko, łóżko zasłane śliczną pikowaną narzutą księżniczki i zarzucone mnóstwem puchatych, włochatych poduszek. Tak właśnie lubiła Cassie, młodsza od Jenny o pięć lat, czyli nieduża, ale już pod każdym względem skłonna do perfekcji. Nawet kiedy rano wyskakiwała z łóżka, jej złociste loki były w stanie idealnym.

Cassie w łóżku nie było. Siedziała przy biurku. Kiedy Jenna pojawiła się w progu, natychmiast skuliła się, zasłaniając rękoma coś, co na tym biurku leżało.

– Nie patrz tu! Nie wolno patrzeć!

Jenna, naturalnie próbując powstrzymać się od choćby najbardziej nikłego uśmiechu, szybko zasłoniła rękoma oczy. Czując jednocześnie coś dziwnego. *Déjà vu*? Chyba tak, skoro wydaje jej się, że kiedyś to już się wydarzyło. Przecież zanim Cassie otworzyła usta, ręce same się poderwały, by zasłonić oczy. Jakby z góry wiedziała, co usłyszy. Z tym że trwało to bardzo krótko. Znikło prawie natychmiast, pozostawiając po sobie ślad. Tak samo krótkotrwałe było zdumienie, że coś takiego może człowiekowi się przytrafić.

– Jeszcze sekunda... – wymamrotała Cassie i faktycznie odwróciła się prawie natychmiast, co Jenna widziała doskonale przez rozsunięte palce. – Możesz już patrzeć! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

W wyciągniętej ręce Cassie widać było coś niewielkiego, o bliżej nieokreślonym kształcie. To coś zawinięte było w papierową serwetkę i przewiązane wystrzępionym sznurowadłem.

– Dzięki!

Jenna podbiegła do siostry i objęła ją, jednocześnie już łapiąc za prezent. Nieduży, zapakowany nieudolnie, ale jednak prezent, prawda? A prezent zawsze chce się mieć jak najszybciej w ręku.

Ten prezent okazał się wielką niespodzianką.

– Ależ Cassie! Przecież to...

– Tak, tak! Nie miałam pieniędzy, żeby coś kupić, więc pomyślałam, że dam ci coś, co mam. Coś wyjątkowego.

– Dzięki! Och, to jest wyjątkowo wyjątkowe!

I bardzo dobrze znane. Plastikowa figurka dziewczynki z warkoczami w niebieskiej sukience bez rękawów. Dorotka z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”. Z plastiku, ale prawie jak żywa, bo zadbano o wszystkie szczegóły, od warkoczy po czerwone pantofelki. Cassie ten film uwielbiała i miała całą kolekcję figurek. Stracha na Wróble, Blaszanego Drwala, Tchórzliwego Lwa, nawet Glinę, Dobrą Czarownicę z Północy. Ale najukochańsza, wiadomo, była Dorotka.

– Naprawdę chcesz mi ją dać?

– Tak, tak! Chociaż... – Wyraźnie zakłopotana Cassie spuściła głowę i szurnęła nogą o dywan. – Pomyślałam sobie, że będziemy Dorotkę sobie

pożyczać. Teraz ty masz urodziny, więc ci ją daję i będzie u ciebie do moich urodzin. Wtedy mi ją oddasz. Będziemy się tak wymieniać i dzięki temu każda z nas będzie mogła się nią nacieszyć.

– Super! – wykrzyknęła Jenna, serdecznie ściskając siostrę. Cassie miała urodziny dokładnie za miesiąc, rozstawała się więc z ulubioną figurką nie na długo, ale i tak trudno było jej gestu nie docenić. – Postawię ją na półce. To bezpieczne miejsce. I pamiętaj, kiedy tylko będziesz miała ochotę się nią pobawić, przychodzisz do mnie. O każdej porze dnia i nocy, zgoda?

Cassie pokiwała głową, nie odrywając oczu od figurki. Było oczywiste, że już tęskni za ukochaną Dorotką, więc Jenna jeszcze bardziej doceniała jej poświęcenie. Choć istotnie było to wypożyczenie, a nie prezent.

– O, coś czuję! – zawołała Cassie, marszcząc nos. – Chyba mama piecze ciasteczka na twoje urodziny. Pójdę sprawdzić! – Wybiegła z pokoju.

Jenna wcale nie zamierzała jej zatrzymywać, skoro sama też nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zacznie się uroczyste obchodzenie jej urodzin. W końcu człowiek tylko raz w życiu zostaje nastolatką lub nastolatkiem, prawda?

Spojrzała na figurkę, którą nadal trzymała w ręku. Potarła kciukiem malutkie, bardzo czerwone i bardzo błyszczące pantofelki, i uśmiechnęła się.

– Nie ma jak w domu, Dorotko – szepnęła. – Zwłaszcza wtedy, kiedy masz urodziny.

Wiedziała już, że niezależnie od tego, co jeszcze dostanie, żaden prezent nie sprawi jej tyle radości, co wypożyczona Dorotka. Dorotka od Cassie, która się nie pojawia, raczej więc też już trzeba zejść na dół.

Schowała Dorotkę do kieszeni i ruszyła do drzwi. Krok, dwa i nagle zamarła, bo powietrze rozdarł przeraźliwy, mrozący krew w żyłach krzyk. Nie tylko przerażający, lecz także złowieszczy, i stąd ta myśl, która przemknęła przez głowę: Od tej chwili wszystko się zmieni. Nic już nie będzie takie jak przedtem, i dlatego to pierwsze zdanie było najlepsze. Ten dzień jest niezwykle ważny. Ważniejszy być nie może.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dzisiaj

Dwadzieścia lat temu umarła moja matka. Dla reszty świata Marjorie Parker Hall, poetka, zdobywczyni wielu nagród, a dla mnie po prostu moja mama. Jej samobójstwo odcisnęło piętno na całym dalszym moim życiu, chociaż przedtem też nie było dobrze. Na długo przedtem, zanim w końcu doszło do tragedii.

Mam ją teraz przed oczami. Włosy niby związane wstążką, ale i tak rozwiane. Długie opalone nogi, jedna założona na drugą, z palca tej nogi, co na wierzchu, zwisa sandalek na niewysokim obcasie w kształcie kieliszka. Dynda tam jak wahadelko hipnotyzera. W ręce papieros w ciągłym ruchu. Albo zatacza kółka, albo dźga powietrze, ponieważ ma za zadanie podkreślać to, co oprócz dymu ulatuje z ust. Jeden wers powtarzany w kółko.

Kiedy ja jadłam na śniadanie kukurydziane płatki, matka oddawała się twórczości. W jej głowie powstawał właśnie wiersz o życiu, o jego przemijaniu, o jego zanikaniu, tak jak zanika mleko matki. Wieczorem podobnie. Gapię się w telewizor, uciekając w świat fantazji i tęskniąc za mamusią, która piecze pyszne czekoladowe ciasteczka. Mojej matce naturalnie nie ciasteczka w głowie, lecz nowy wiersz, w którym tym razem mniej zadumy, a więcej krwi.

I jeszcze jedno wspomnienie sprzed naprawdę wielu lat.

*– Mamo! Mamo! – wołam i szarpie ją za rękaw, by zwrócić na siebie uwagę.
– Nie mogę znaleźć czarnej kredki. Może wiesz, gdzie jest?*

Matka poklepuje mnie po ręku, ale nie ma w tym ani odrobiny serdeczności. A kiedy w końcu się odezwie, wcale nie patrzy na mnie, tylko gdzieś w dal, ponad moim ramieniem.

– Jest na cmentarzu, kochanie, bo tam właśnie idą wszystkie czarne kredki.

I fakt, że gdzieś sobie szły, bo kiedy otworzyłam nowe pudełko kredek, czarne natychmiast zniknęły.

Moja matka, jak zresztą wiele neurotycznych poetek i poetów, miała obsesję na punkcie śmierci. Po prostu tańczyła z nią, ze śmiercią, uwodziła ją jak kochanka, otulała w metaforę i zwijała, zwijała, tworząc z niej coś na kształt zwoju krwawego sznura. Śmierć była dla niej jak zapuszczony plac zabaw, który zasypywała słowami. Umizgała się do niej, kokietowała nieustannie, nie sądzę jednak, aby się spodziewała, że okaże się ona wobec niej tak kategoryczna.

Po śmierci matki znalazłam kilkanaście czarnych kredek poutykanych w różnych miejscach w szufladzie w jej komodzie. Wsadziłam je w gumkę i schowałam w swoim pokoju, a potem, przez dziewięć miesięcy, rysowałam tylko nimi. Czarnymi świecowymi kredkami, póki z każdej z nich nie pozostał maciupenki

kawałeczek, zbyt mały, bym mogła utrzymać go w moich trzynastoletnich palcach.

Siedziałam przy biurku i darłam kartki z mego pamiętnika na jak najdrobniejsze kawałeczki. Potem te kawałeczki wielkości konfetti wrzuciłam do sedesu i spuściłam wodę. Naprawdę tak zrobiłam, bo w moim życiu nie ma nic trwałego. Nawet kartek z mego pamiętnika.

Moja matka była poetką. Swoje życie, swoje przemyślenia i odczucia zapisywała w wierszach, i robiła to, że tak to nazwę, na bieżąco. Bez przerwy coś tam pisała i poprawiała, aż wreszcie dochodziła do wniosku, że jej czytelnikom przypadnie do gustu. Potrafiła wyprodukować cały potok słów, słów roztańczonych, rozśpiewanych, oddychających. Bez przerwy dłuwała w swej duszy, drażyła ją, a to, co stamtąd wydobyła, przelewała na papier.

Nie jestem do niej podobna. Nie czuję żadnej potrzeby ujawniania swoich myśli i odczuć ani przed tymi, których kocham, ani przed ludźmi całkowicie obcymi, by podążali za nimi, za tymi myślami, jak za okruchami chleba. Moje myśli należą tylko do mnie, a każdy nowy dzień jest po prostu nowym dniem, w którym nie ma tęsknoty za tym, co wczoraj. Nie ma też żadnych przesłanek odnoszących się do przyszłości.

Nie jestem podobna do matki.

Jeśli będę powtarzać to wystarczająco często, może w końcu uwierzę.

Dzisiaj są moje urodziny. Jak zwykle nie zamierzam ich obchodzić, skoro na ten właśnie dzień przypada rocznica śmierci mojej matki. Często zastanawiam się, czy matka zdawała sobie sprawę, że popełnia samobójstwo w dniu urodzin swego dziecka. Może i nie, może doszła już do takiego stanu, że własne dzieci stały się jej całkiem obojętne. Może w ogóle już nie pamiętała, że jest matką. Tak, czasami zastanawiałam się nad tym, ale zaraz potem czułam się wstrętną egoistką. Bo ja tu się zastanawiam, dlaczego nie uszanowała moich uczuć, kiedy ona musiała być już w samym epicentrum bólu i rozpacz.

Niemniej jednak to właśnie pytanie prześladowało mnie każdego roku, tego właśnie dnia. A najbardziej bolało nie to, że matka tak bardzo chciała umrzeć, lecz że nie kochała mnie wystarczająco, by jednak żyć dalej. Ta myśl powracała co roku i co roku starałam się podrzeć ją na strzępki, jak te kartki z wpisami do mego pamiętnika. Cóż, porwaną myśl łatwiej od siebie odpędzić.

Nie udawało mi się jednak wymazać z pamięci tego koszmarnego obrazu. Tak strasznego, że aż trudno uwierzyć, że wyglądało to właśnie tak. Że to, co mam przed oczami, wcale nie jest wytworem bujnej wyobraźni. Czy naprawdę po biało-czarnych kafelkach w kuchni krew płynęła przerażająco czerwonym strumieniem? Czy naprawdę widziałam to pulsowanie w poprzecinanym przegubie ręki, pulsowanie coraz wolniejsze, kiedy wydając ostatnie tchnienie, matka rozpostarła ręce, jakby chciała prosić nas o przebaczenie? Nie, to niemożliwe, żebym widziała, jak umiera, umiera w taki właśnie sposób.

A może... może jednak tak? Może to właśnie widziałam, skoro ten obraz powraca uporczywie i wszystko na nim jest takie wyraźne. Po prostu jasne jak słońce. Cassie wciśnięta w kąt. Dłońmi zasłania oczy, w tym momencie całą sobą zaprzeczająca temu, co przecież jest, co przecież się dzieje. A w tej przerażającej ciszy wciąż słycać jej straszliwy krzyk.

Oczywiście, że próbowałam ratować matkę. Owinęłam krwawiący przegub rącznikiem, błagając ją, by od nas nie odchodziła.

– Mamo, mamusiu, proszę, nie odchodź. Proszę, ja już zawsze się będę ciebie słuchać. Będę naprawdę dobrym dzieckiem.

To, co potem się wydarzyło, nie było już w mej pamięci takie żywe i wyraziste.

Wbiegający do kuchni ojciec w piżamie.

– Jezus Maria! Margie! – krzyczał. – Coś ty zrobiła?! – Odepchnął mnie na bok. – Bierz siostrę i idźcie na górę! Natychmiast!

Ale ja ani drgnęłam. Bo jakże tak, miałam zostawić matkę? Odejść od niej właśnie teraz?

Ojciec chwycił mnie mocno pod ramię i odciągnął od matki. Chwycił mnie naprawdę bardzo mocno, i dzięki temu ożyłam.

– Wyjdź stąd! Słyszysz? Natychmiast! I zabierz stąd Cassie!

Zrobiłam, co kazał. Dotarło do mnie, że Cassie nie powinna na to patrzeć. Zabrałam ją na górę, wcisnęłyśmy się w kąt i przytulone do siebie słuchałyśmy, jak nadjeżdża karetka na sygnale. Coraz głośniejszym, bo jest coraz bliżej. Potem cisza. A my tutaj same. Czekamy i tak bardzo chcemy wiedzieć, co tam, na dole, się dzieje.

Godziny mijały. Kiedy próbowałam wstać, Cassie kurczowo uczepliła się mojej ręce, wlepiając we mnie pełne przerażenia oczy.

– Nie odchodź, Jenno! Proszę, zostań! Nie zostawiaj mnie całkowicie samą!

– Nie zostawię cię, Cassie. Nigdy cię nie zostawię! – Tak jak ona zostawiła nas, dodałam w duchu. – Nigdy, Cassie. Przysięgam.

Bezwiednie przesunęłam czubkiem palca po przegubie. Uległa skóra drgnęła, poddając się mojej woli, a ja nie po raz pierwszy pomyślałam, że to chyba wcale nie jest takie trudne. Jest wykonalne, nawet jeśli obiecałam coś Cassie.

Zadzwoił telefon, ale go zignorowałam. Moi znajomi i krewni wiedzą, że do mnie nie dzwoni się z życzeniami urodzinowymi, a już na pewno nie w tym właśnie dniu. W dniu moich urodzin, który jest rocznicą śmierci matki. A w tym roku skończyłam trzydzieści trzy lata, czyli jestem w tym samym wieku co ona, kiedy odeszła. I może właśnie dlatego pokusa, by pójść w jej ślady, stała się jeszcze silniejsza. W ślady bardzo krwawe... Bezwiednie zacisnęłam palce na wyimaginowanej czarnej kredce. Zacisnęły się jak u nałogowca, który odruchowo sięgnął po papierosa, zapominając, że wszystkie już wypalił.

Kiedy telefon znów zadzwonił, postanowiłam po prostu wyjść z domu. Tym bardziej że dla kogoś, kto jest w tak podłym nastroju jak ja, moje mieszkanie było stanowczo za małe. Tak zresztą działo się co roku. Całkowicie zwałało mnie z nóg, na szczęście kiedy dzień dobiegał końca, udawało mi się jakoś pozbierać. Czyli ten dzień był również moim wielkim zwycięstwem, bo po raz kolejny udawało mi się pokonać to, czego pragnęły geny po mojej matce. Geny autodestrukcji. W tym roku jednak było jakoś inaczej. Czulałam się nie tylko zdołowana, lecz także tak, jakbym znalazła się na rozstaju dróg.

Po długiej zimie, podczas której niebo jest nieskończenie szare, słońce tego dnia wydało mi się wręcz absurdalnie jasne. Słońce, czyli zapowiedź wiosennych roztopów, które już się zaczęły, czyli wcześniej niż zwykle. Chociaż po obu stronach chodnika leżały płaty brudnego śniegu, które opierały się zabójczym promieniom słońca. Ja, podobnie jak ten śnieg, w chwili obecnej również nie ceniłam sobie ani piękna, ani ciepła tych promieni. Były zbyt jasne, zbyt realne. Blask słońca jest dla tych, którzy żyją pełną piersią. Ja nie, dlatego miałam wrażenie, jakby ów słoneczny blask szydził z moich myśli, którym na pewno bardziej by pasowały ciemności nocy.

Szłam ot tak, przed siebie, ale wcale nie byłam zdziwiona, gdy okazało się, że dochodzę do cmentarza. Przychodziłam tu przecież często. Oczywiście sama, co bardzo mi odpowiadało.

Bez wahania przeszłam przez cmentarną bramę, nad którą widniał napis z kutego żelaza informujący, że jest to cmentarz w Mourningkill. Żałoba, śmierć... Tak, nazwa naszego miasta do tego miejsca pasowała idealnie.

Kiedy weszłam w cmentarną ciszę, poczułam się o wiele spokojniejsza. Gdyby nie rzędy nagrobków, można by odnieść wrażenie, że idzie się przez park z wypielegnowanymi trawnikami i kwitnącymi krzewami. Po całym tym niby-parku porozrzucane były kamienne ławki dla żałobników, aby mogli sobie usiąść, poczytać, pomodlić się za swoich zmarłych. Szłam dobrze znanymi mi ścieżkami i mogłam z pamięci wyrecytować nazwiska na mijanych nagrobkach. Przez te wszystkie lata byłam już tu nieskończoną ilość razy – niczym duch nawiedzający ten poświęcony kawałek ziemi. Każdy z nagrobków z marmuru, granitu czy piaskowca był dla mnie jak stary przyjaciel. A na nagrobkach wyrzeźbione były wzruszające inskrypcje: kochanemu mężowi, ukochanej żonie, pełnej poświęcenia matce, póki śmierć nas nie rozłączyła...

Jeden z nagrobków jest wyjątkowo smutny, bo tak zawsze się dzieje, gdy czyjeś życie kończy się tak szybko. Teraz też serce mi się ścisnęło, gdy spojrzałam na wyrzeźbionego w kamieniu zapłakanego aniołka pochylonego nad maleńką trumienką.

Addie Rose

14 maja 2004 – 1 września 2004

Na zawsze pozostanie naszym aniołkiem

I jak zawsze zmówiłam krótką modlitwę za spokój duszy tego maleństwa, którego czas na ziemi był tak niedługi i którego najbliżsi nigdy nie przestaną opłakiwać. Kimże zostałaby maleńka Addie, gdyby nie musiała nas opuścić? Lekarką, prawniczką, a może poetką ze skatowaną duszą? Niestety, żaden z tych wariantów nie wchodzi już w grę.

Powoli podeszłam do kamiennego nagrobka mojej matki. Skromnego, bez żadnych ozdób. Wryto na nim tylko imię i nazwisko, a pod nim krótką inskrypcję:

Jej słowa nadal żyją

I było w tym więcej prawdy niż w tradycyjnym epitafium:

Ukochanej żonie i matce

Nie ja pierwsza tego dnia odwiedziłam jej grób, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Obcy ludzie często tu przychodzili, głównie kobiety. Zapalały świeczkę, kładły kwiaty, często też zostawiały karteczkę, a na niej kilka pośpiesznie napisanych słów. Słów pełnych uznania, coś w rodzaju hołdu, bo chciały, by to właśnie miejsce dało im nadzieję, natchnęło mądrością, podpowiedziało, co dalej robić. Grób mojej matki stał się bowiem mekką dla zranionych kobiet, które były przekonane, że moja matka gdzieś tam w zaświatach doskonale wyczuwa ich ból i wstawi się za nimi właśnie tam, dokąd ich głos nie dociera. Które uważały, że moja matka jest im bliska, że znają ją dobrze. Być może tak właśnie było. Doskonale ją rozumiały, a ja tego nie potrafiłam.

Teraz też na zielonej trawie koło nagrobka leżała jakaś kartka przyciśnięta kamykiem. Przyklęknęłam i sięgnęłam po nią. Okazało się, że to kartka wyrwana ze zbioru wierszy mojej matki. Pognieciona, wystrzępiona, jakby ktoś ją przez całe lata nosił w kieszeni. Naturalnie przeczytałam wiersz, który znajdował się na tej właśnie stronie. Czytałam, mając wrażenie, że ktoś jednocześnie recytuje te strofy. Moja matka, bo to jej głos słyszałam wyraźnie, dobiegający gdzieś tam z dołu, spod nagrobka.

DOM ŁEZ

Z sześciu funtów rozkrzyczanego mięsa

W sześć funtów popiołów zimnych jak kamień.

Pomiędzy nimi życie. Życie człowieka. Jak je ocenić?

Czy licząc ludzi, których kochał, czy też zliczając tych, którzy go kochali?

Czy oceniać według słodkich pocałunków, czy gorzkich łez

Czasu spokoju czy chwil bolesnych i modlitwy w blasku świec?

Czy też liczbą tych, o których życie otarł się na swej drodze?

A może liczy się tylko miara czasu?

Jak długo był, kiedy umarł

W Domu Łez.

Złożyłam kartkę i włożyłam do kieszeni. Miałam nadzieję, że ten ktoś

zostawił tu ten wiersz, ponieważ był mu już niepotrzebny. Nie musiał go już czytać, zastanawiać się, bo ciemność zostawił za sobą.

Nagle gdzieś za mną zaszeleściło, poderwałam się więc z ziemi, strzepując z kolan źdźbła trawy. Okazało się, że to Cassie, moja siostra. Podeszła, spojrzała na nagrobek, a potem na mnie.

– O, jesteś tutaj!

– A tak. Jestem. Jak mnie wytropiłaś?

– Och! – Cassie machnęła lekceważąco ręką. – Wiadomo jak. Poszłam po śladach twego cierpienia. Przecież nim ociekasz.

– Nie. Ocieka się sarkazmem, a w cierpieniu człowiek na przykład się pogrąża.

– Aha. I ty dobrze o tym wiesz?

Cassie mogła podśmiewać się ze mnie. Tylko ona, dlatego wcale nie wybuchłam, tylko wzruszyłam lekko ramionami. Owszem, może i miałam jakąś tam obsesję na punkcie śmierci, ale czy można mnie za to winić?

Na poparcie swoich słów Cassie zrobiła jeszcze znaczącą minę, czyli efektownie wywróciła oczami. Moja młodsza siostra. Miała już dwadzieścia siedem lat i nadal twarz cherubinka w aureoli złocistych loków. Co sprawiało, że kiedy szła ulicą, nawet obcy uśmiechali się do niej.

– Cassie, dlaczego nie jesteś w szkole?

– Zapomniałaś? Są ferie wiosenne, więc mam tydzień odpoczynku od zasmarkanych nosów i wrzeszczących szkrabów.

To wszystko naturalnie powiedziała z uśmiechem, ponieważ Cassie kochała wszystkich swoich podopiecznych z zerówki jak własne dzieci. Byłam przekonana, że pewnego dnia zostanie wspaniałą matką.

– W takim razie powiedz, cóż takiego ważnego skłoniło cię do zabawienia się w szpiega.

Cassie podniosła pojednawczo rękę.

– Chciałam ci tylko dać prezent urodzinowy.

Wiadomo, co mi podała. Figurkę Dorotki.

– Nie sądzisz, że jesteśmy już na to trochę za stare? – spytałam z uśmiechem.

– To tradycja, więc wiek nie ma znaczenia. – Zerknęła na grób matki, potem spojrzała gdzieś w dal. – A poza tym... Poza tym chcę ci coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego.

Moje palce mimo woli zacisnęły się na maleńkiej figurce. Zacisnęły bardzo mocno, bo znów to poczułam, na moment. *Déjà vu.*

– Znalazłam dla nas dom, Jen.

– Dom?! Dla nas? – Błyskawicznie wróciłam do rzeczywistości. – A po co?

– Powiem szczerze, tylko nie obraż się. Twoje mieszkanie to po prostu nora, a ja z kolei wyprowadzam się od Dave'a, czyli ten dom to będzie coś dobrego i dla

ciebie, i dla mnie. Po prostu zaczynamy wszystko od początku.

Może i powinnam być zaskoczona, ale wcale tak się nie czułam. Dave był którymś tam z kolei nieudanym związkiem Cassie, bo moja siostra, podobnie jak ja, nie potrafiła oddać się komuś – lub czemuś – na zawsze. Dlaczego? Zapewne nie wierzyła, że ten ktoś będzie na stałe, i wolała sama zakończyć związek, zanim zrobi to ten ktoś inny. Tak było. W końcu każdy ma jakieś niezagojone rany, z którymi radzi sobie po swojemu. Ja otoczyłam się murem. Podwójnym.

– I w tym domu mamy być tylko my? Same? – spytałam.

Cassie uśmiechnęła się.

– Tylko my, ale nie same. Przecież mamy siebie.

– Oczywiście, Cass. Kocham cię, siostrzyczko!

Uśmiech znikł. Cassie wyciągnęła rękę, jej dłoń zawisała tuż nad moim nadgarstkiem. A w oczach Cassie pojawił się wielki znak zapytania.

– Ależ Cass! Przecież się z tobą nie żegnam!

– Wcale tak nie pomyślałam! – zaprzeczyła żarliwie, ale oczy mówiły coś innego. Wiadomo, że jest przeczulona i zawsze doszukuje się jakichś oznak świadczących o tym, że jestem gotowa pójść w ślady matki. Zna tę moją słabą stronę, co doprowadza ją do rozpacz.

– Pomyślałaś, Cass. Ja to wiem.

Zrobiła głośny wydech. Głośny, krótki, znaczący, a ja pomyślałam, że biedna Cassie już porządny kawał życia poświęciła na obserwowanie starszej siostry i szukanie oznak świadczących o tym, że ja również mam zamiar ją opuścić. Na zawsze.

– Cassie, czy pomyślałaś kiedyś, że skończę podobnie jak nasza matka?

– Nie. Nigdy.

Patrzyła w bok, ale jej głos był stanowczy, zbyt stanowczy, i to powstrzymało mnie od dalszej rozmowy na ten temat. Od wyznania, że jestem głęboko przekonana, że matka swoją chorobę psychiczną przekazała mi w genach. Nie, nie powiedziałam tego, nie chciałam przecież, żeby moja siostra jeszcze bardziej się martwiła.

– Cassie, czyli w jakimś sensie chcesz mi na urodziny podarować dom, tak? A wystarczyłaby zwykła kartka z życzeniami.

– Owszem, szukałam takiej kartki, ale nie znalazłam żadnej z odpowiednim tekstem. No wiesz, coś w stylu: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin i bardzo mi przykro, że samobójstwo twojej matki na zawsze zepsuło ci ten dzień”.

Twojej. Tak. Cassie prawie zawsze mówiła „twojej”, a nie „naszej”. A teraz, kiedy wyrzuciła to z siebie, złapała mnie za ramię i zmusiła, bym stanęła do grobu plecami. Tak jak ona.

– Wiem dobrze, Jen, że w dniu swoich urodzin stawiasz na melancholię, ale niestety teraz nie ma na to czasu. Tym domem, który sobie upatrzyłam, ktoś inny

bardzo się interesuje, dlatego trzeba szybko podjąć decyzję. Powiedziałam agentowi, że tak będzie, to znaczy jak najszybciej, ale przedtem oczywiście musisz ten dom zobaczyć. Jestem pewna, że ci się spodoba.

Tak powiedziała, a ja jeszcze nie zdążyłam przetrwać pomysłu, że raptem mamy zamieszkać razem. Cassie i ja, dwie stare panny. Może kupimy sobie jeszcze dwa kotki?

– Poza tym, Jen, rata kredytu hipotecznego byłaby o wiele niższa, niż obie płacimy za wynajem. Dlatego uważam to za idealne rozwiązanie.

– Dla ciebie, tak? Bo ja jakoś nie mam problemu, który raptem musiałabym rozwiązać!

– No cóż... Muszę przecież gdzieś mieszkać, a ty...

– A mnie potrzebujesz jako swego rodzaju przyzwoitki?

– Och, przestań już, Jen! Po prostu pomyślałam, że dla nas obu ten dom to będzie niezła frajda. Zaczynamy wszystko od nowa.

Hm... Zacząć od nowa. Dlaczego nie? Zawsze warto, a poza tym kiedyś sama się zastanawiałam nad kupnem domu, ale zrezygnowałam. Bo dom to coś bardzo trwałego, a nie tylko Cassie ma problemy ze związaniem się z czymś lub kimś na stałe.

Ale może warto spróbować...

– Gdzie jest ten dom?

– Za miastem, ale niedaleko. Kiedy wyjedzie się z miasta, po piętnastu minutach jest się już na miejscu! – Nerwy w Cassie drgały, buchała pozytywną energią. – Jenna, jedziemy? Jestem tu samochodem. Pojedziemy i wszystko sobie obejrzysz, zgoda?

Pokiwałam głową, czując, że już zaczyna mnie zarażać swoim entuzjazmem. Przecież przed chwilą sama doszłam do wniosku, że jestem na rozstaju dróg, a może właśnie ten nowy dom, ten nowy początek okaże się tym, czego szukam.

W ten oto sposób pojechałam tam z Cassie. Przede wszystkim dlatego, że martwiłam się o nią. Tak zawsze było. Ja i Cassie. Ona i ja, same przeciwko całemu światu.

Nasz ojciec, zawsze bardzo powściągliwy, po śmierci matki stał się prawie niewidoczny. Pracował bardzo długo. Wracał późnym wieczorem, praktycznie więc przez cały dzień, aż do późnego wieczora, zdane byłyśmy tylko na siebie. Ojca nie było, może i dlatego, że nie radził sobie z rozpaczą – i z poczuciem winy. A może nie mógł znieść widoku ducha zmarłej żony, którego widział w twarzach swoich córek. I nigdy nie pytałam go o matkę. Nigdy żadne z nas nie wymówiło już jej imienia.

Ale moja młodsza siostra zawsze miała mnie. To ja rano rozczesywałam jej włosy, robiłam na lunch kanapki ociekające masłem orzechowym, a wieczorem usypiałam bajkami o królowych wróżek i ich królestwach. Odprowadzałam do

szkoły, a kiedy płakała, tuliłam do siebie i głaskałam. I do dziś widziałam w jej oczach ten strach, kiedy prosiła, bym nie zostawiała jej „całkowicie samą”.

Kiedy przypominałam sobie to „całkowicie samą”, uśmiechnęłam się. Oczywiście, że jej wtedy nie poprawiłam, przecież wyraziła się bardzo precyzyjnie.

– Nigdy, Cassie, skarbie mój – obiecałam. – Nigdy ciebie nie zostawię całkowicie samej.

I tej obietnicy udawało mi się dotrzymać. Jak dotąd...

Zerknęłam na siostrę. Jedną ręką trzymała kierownicę, drugą nie, bo bezwiednie nawijała na palec wskazujący jeden ze swoich loków o kolorze zwanym fachowo maślany blond. Taki miała odruch od najwcześniejszego dzieciństwa i zawsze wtedy musiałam się uśmiechnąć. A poza tym byłam bardzo dumna, że Cassie wyrosła na taką właśnie kobietę. Tak, byłam dumna. Może to i głupie, ale w końcu to ja ją wychowałam. Choć jej nie urodziłam, a kiedy zabrałam się do tego wychowywania, byłam nastolatką, czyli sama jeszcze nie tak dawno byłam dzieckiem.

Cassie musiała wyczuć, że jej się przyglądam, bo zerknęła na mnie.

– Wiesz, Jenno, nie podoba mi się, kiedy farbujesz się na czarno. Jesteś za stara, by robić się na gotkę.

– Ale ja wcale nie robię się na gotkę – zaprotestowałam, spoglądając na swoje czarne spodnie i czarną skórzaną kurtkę. – Ubieram się, jak lubię, poza tym nie chcę się za bardzo różnić od ludzi, którzy przychodzą do naszego baru potańczyć i posłuchać muzyki.

– Muzyki! – Cassie prychnęła. – A co to za muzyka! Dla mnie to tylko łomot rozsadzający głowę!

Może i faktycznie łomot, ale mi ten łomot pomagał zapomnieć, kiedy zanurzałam się właśnie w tym łomocie i energii roztańczonego tłumu.

– A wracając do tego domu, Cassie...

– Nie musisz mówić! Wiem, co myślisz – burknęła, a potem, jakżeby inaczej, jej usta wygięły się w podkówkę. – Uważasz, że to jeszcze jeden głupi pomysł, który powinnaś wybić mi z głowy.

– No... nie do końca. Chociaż myślę, że...

– Wiesz co? Najlepiej to ty jeszcze nic nie myśl, tylko poczekaj, aż ten dom obejrzysz. Na pewno ci się spodoba.

– A jeśli nie? Jeśli wcale mi się nie spodoba?

– Wtedy kupię go sama – oświadczyła wciąż nadąsana Cassie. – Bo nadszedł już czas, bym robiła to, co zwykle robią dorośli. Kupiła dom, zajmowała się ogrodem i takie tam.

– A zdajesz sobie sprawę, że zajmując się ogrodem, pobrudzisz sobie ręce?

– Będę wkładała rękawiczki ogrodowe. Poza tym pójdę na kurs, gdzie uczą różnych napraw w domu i planowania domowego budżetu. Dam sobie radę.

– Nie wątpię.

– Dzięki! Ale... – Po twarzy Cassie przemknął uśmiech. – Wolałabym, żebyśmy robiły to razem. Nie chcę być tak całkowicie sama, rozumiesz?

Całkowicie sama! Cassie przytoczyła powiedzonko z dzieciństwa, o którym ja też przypomniałam sobie przed chwilą. Zbieg okoliczności? Chyba nie, tak samo jak nie było chyba zbiegiem okoliczności to, że zmusiła mnie, bym pojechała obejrzeć nowy dom dosłownie kilka chwil po tym, jak przeczytałam wiersz mojej matki. Wiersz pod tytułem „Dom Łez”.

Ludzie powiadają, że nie ma czegoś takiego, jak zbieg okoliczności. Zawsze byłam skłonna z tym się zgodzić, teraz jednak zaczynałam się wahać. Bo tak w ogóle kiedy wjeżdżałyśmy na wysypaną żwirem dróżkę, wcale nie czułam się komfortowo. Przeciwnie, mówiąc najogólniej, miałam wrażenie, jakby coś wisiało w powietrzu. To coś czekało na mnie, coś potężnego, a ja wcale nie wiedziałam, czy to coś jest nastawione do mnie pozytywnie.

Dziś jest dzień niezwykle ważny.

Kiedy przypomniałam sobie to zdanie, poczułam ciarki na plecach, a zaraz potem zdziwienie, bo kiedy zobaczyłam przed sobą dom, miałam wrażenie, że wcale nie patrzę na niego po raz pierwszy, że jest mi dobrze znany. W rezultacie byłam spięta i bardzo czujna, jakbym miała wejść do jakiejś pułapki.

A sam dom, tak jak mówiła Cassie, był urzekający. Piękny dom w stylu wiktoriańskim ze spadzistym dachem i wielką werandą. Obok domu bardzo stary dąb, zauważyłam również krzaki bzu i grządki z bylinami wokół posesji. To, co trzeba, świeżo pomalowane, żywopłoty starannie przystrzyżone, wszystko takie ładne, zadbane, takie po prostu wyszykowane jak nastolatka, która idzie na pierwszą w życiu randkę. Wszędzie czyściutko i ładniutko, czyli nic mi nie grozi. Tak zapewne myśleli Jaś i Małgosia, dopóki wstrętnej wiedźmie nie zachciało się wrzucić ich do rozpalonego pieca.

Cassie zaparkowała za samochodem z logo agencji nieruchomości. Takie samo logo widniało na tabliczce informującej, że posesja jest na sprzedaż. Tabliczka ustawiona była w ogrodzie przed domem.

– To tutaj – powiedziała Cassie.

Ja, zanim się odezwałam, musiałam zrobić wdech i wydech.

– Tak. To tu.

Dom Łez.

Cassie spojrzała na mnie zdecydowanie pytająco, a ja czułam, że moje policzki robią się gorące. Byłam pewna, że tylko tak pomyślałam, że wcale nie powiedziałam tego na głos. I może tak było istotnie, tylko coś w moim głosie zaintrygowało Cassie.

A może po prostu czuła teraz to samo co ja. Czekwała na coś, co nastąpi. Na pewno nastąpi. Ale co dokładnie, tego nie wiadomo.

Chciałam powiedzieć jej, żeby zawróciła. Bo coś ma się wydarzyć, coś istotnego, co może być albo cudowne, albo tragiczne, albo jednocześnie takie i takie, ale lepiej nie ryzykować. Oczywiście było to bez sensu, niemniej czułam właśnie to. Bardzo mocno. Że to jest Dom Łez i że nie znalazłam się tu bez powodu.

Cassie wysiadła z samochodu.

– Jenno, idziesz ze mną?

– Oczywiście!

Starając się zapomnieć o swoich obawach, wysiadłam z samochodu i poszłam za Cassie po wybrukowanym chodniku prowadzącym do drzwi wejściowych. Kiedy byliśmy już u celu, wzięłam za rękę Cassie, a ona lekko uścisnęła moje palce i spytała:

– Jesteś gotowa?

Kiwnęłam głową. Tak, jestem gotowa. Poza tym jesteśmy tu we dwie i cokolwiek wydarzy się za tymi drzwiami, razem stawimy temu czoło.

Cassie zapukała do drzwi i prawie natychmiast otworzył je jakiś mężczyzna. Uśmiechał się, i na widok tego miłego uśmiechu od razu zrobiło mi się lżej.

– Cieszę się, że znów cię widzę – powiedział do Cassie, po czym zwrócił się do mnie, wyciągając rękę. – Jestem Bob Hartwood z agencji nieruchomości.

– Miło mi. Jestem Jenna. Jenna Hall – odparłam prawie pewna, że gdzieś go już widziałam. Uścisk jego ręki można by określić jako profesjonalny, nie za mocny, nie za słaby, nie za długi, ale dający do zrozumienia, że cieszy się z tego spotkania. Miał czarne wijące się włosy. Jeden z loków opadał na czoło. Poza tym miał okulary w rogowej oprawce, takie w stylu Clarka Kenta. Kiedy je zdjął i Clark Kent znikł, pojawił się Superman. Tak, właśnie tak, a ja raptem jakoś tak dziwnie byłam zadowolona, że nie pożałowałam kasy na manikiur w zeszłym tygodniu.

– My chyba...

Powiedzieliśmy to jednocześnie i naturalnie oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Potem Bob efektownie strzelił palcami.

– Już wiem! Jesteś barmanką w Latającej Małpie!

– Nie da się ukryć.

– Byłem tam w zeszłym tygodniu. Grał wtedy...

– Nasz miejscowy zespół Magiczna Muza. Grają indie rocka.

Bob skinął głową i z powrotem włożył okulary, zmieniając się znów w faceta w stylu odludka komputerowego, ale i tak nadal był seksowny. W rezultacie trudno mi było zdecydować, który wariant bardziej mi odpowiada.

– Tym domem zainteresowane jest pewne małżeństwo – powiedział Bob. – Dlatego powiedziałem Cassie, żeby przywiozła tu ciebie jak najszybciej.

Czy faktycznie ktoś inny też był zainteresowany, czy jest to tylko typowa

taktyka sprzedawcy? Nie wiadomo, w każdym razie decyzję należało podjąć jak najszybciej. Weszliśmy więc do środka. I znów coś dziwnego. Przed chwilą byłam pełna obaw, ale kiedy przekroczyłam próg, poczułam się tak, jakby objęły mnie niewidzialne, ciepłe ramiona. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

W jakimś stopniu prawdopodobnie przyczynił się do tego agent nieruchomości, bo gdy odwróciłam się do niego, by spytać, kiedy mogłybyśmy się wprowadzić, miałam okazję spojrzeć mu w oczy. Oczy o wyjątkowo łagodnym, ciepłym spojrzeniu, a kiedy nasze spojrzenia się spotkały, pomyślałam, że tak, że na pewno się znamy, i to nie tylko z baru.

Dziwne, bo uświadomienie sobie tego okazało się tak mocnym przeżyciem, że aż się zachwiałam, a Bob chwycił mnie pod łokieć i podtrzymał. Bardzo nie lubię, kiedy ktoś mnie dotyka, ale tym razem...

Zaraz potem chwyciła mnie za rękę Cassie i pociągnęła za sobą. Szłyśmy, oglądałyśmy, Cassie wskazywała na jej zdaniem bardzo ciekawe szczegóły. Buzia jej się nie zamykała, ale ja jej nie słuchałam. Po prostu wyłączyłam głos siostry, by przemawiał do mnie tylko ten dom, odkrywając swoją osobowość. Dom przytulny i ciepły. W pokoju dziennym królował kominek z kamienia polnego z solidnym dębowym gzymsem. Kiedy go zobaczyłam, natychmiast wyobraziłam sobie długie wieczory, kiedy to po kolejnym dniu człowiek siada przed kominkiem i дума o czymś zapatrzony w ogień. Dzień w dzień, przez cztery pory roku, od wiosny pachnącej bzem kwitnącym tuż za oknem do skarpety wiszącej na gzymsie podczas świąt Bożego Narodzenia.

Przeszłyśmy przez wszystkie pokoje i wszędzie były powody do zachwyty. Piękne sztukaterie, granitowe kontuary, trochę już wytarte poręcze z orzechowego drewna jasnego jak miód, i wiele innych. Dziwne, ale wszystko wydawało mi się takie znajome, takie bliskie. Z góry wiedziałam, gdzie powinno ustawić się doniczki, ile ich powiesić między słupami werandy. Wiedziałam, skąd i pod jakim kątem będą padały na moje łóżko promienie porannego słońca. Tak, ten dom praktycznie już był domem, w którym mieszkam.

Więcej. Czułam już, że to mój dom. Mój.

– Jen? Możesz mi to już powiedzieć.

– Ale co, Cassie? Co mam ci powiedzieć?

– Wiadomo co. Dlaczego uważasz, że to nie wypali. Wymień wszystkie powody. Na przykład że dom jest za duży albo za mały. Że stoi na odludziu, a może w zapadlisku, a może pod liniami wysokiego napięcia! No dalej, mów, co z tym domem jest nie tak!

– Nic. Absolutnie nic. Wszystko jest w porządku.

I to prawda. Nie mogłam znaleźć nawet najmniejszej skazy. Ten dom był pełen ciepła i chciało się w nim być. Każdy pokój był taki, jaki być powinien, z każdego okna rozciągał się wspaniały widok. Kiedy pomyślałam, że mogłabym tu

zamieszkać, właśnie tutaj, byłam bardzo podekscytowana. Bardziej niż bardzo! I miałam nadzieję – ja, która czegoś takiego jeszcze nigdy chyba nie czułam – że tak właśnie się stanie.

Po raz pierwszy od bardzo dawna pojawiło się coś, co mnie poruszyło, coś, na czym mogłabym się skupić, a nie tylko ciągle myśleć o własnym nieszczęściu.

– Jest idealny – powiedziałam i roześmiałam się, bo Cassie tym moim stwierdzeniem była wyraźnie zszokowana. Chwyciłam ją więc za ręce i zaczęłam kręcić nimi w kółko, jak to robiłyśmy w dzieciństwie. – Po prostu idealny, Cassie! Tak!

ROZDZIAŁ TRZECI

Zadałam wszystkie ważne pytania, jakie powinien zadać potencjalny nabywca domu. Pytałam o wszystko jak oczarowana kobieta, która chce dowiedzieć się jak najwięcej o swojej nowej miłości. A potem, kiedy Cassie uzgadniała z agentem jeszcze kilka szczegółów, ruszyłam na dalszy obchód domu. Pospacerowałam po drewnopodobnych panelach, popatrując na okna z szybkami w ołowianych ramkach, i wyszłam na korytarz. Tam naturalnie ruszyłam przed siebie. Szłam, szłam i szłam, a kiedy korytarz skręcił, natrafiłam na jakieś drzwi, których przedtem nie zauważyłam.

DRZWI DO NA ZAWSZE.

Jak? Do na zawsze?! Skąd mi to przyszło do głowy?

Wyciągnęłam rękę, by chwycić za klamkę, ściślej szklaną gałkę w stylu wiktoriańskim, solidną i jednocześnie elegancką. Ale nie chwyciłam jej od razu. Moja dłoń na moment zawisała w powietrzu, kiedy to w głowie pojawiła się myśl, że może by jednak rękę cofnąć. Czyli znów rozterka. Wejść czy nie wejść? Po chwili jednak dłoń opadła, palce objęły szklaną gałkę, i wtedy poczułam coś dziwnego. Takie szarpnięcie czy wstrząs, trudno sprecyzować. W każdym razie zaczęło się gdzieś w mojej klatce piersiowej, potem rozeszło się na boki, przemknęło po ramionach i dalej w dół, po rękach, aż do czubków palców. Ale to mnie nie powstrzymało i przekręciłam gałkę. Drzwi otwierały się do środka, a za nimi był jeszcze jeden pokój. Bez okien. Pusty jak pozostałe pokoje, a jednak jakiś inny.

I jeszcze coś, coś niebywałego. Kiedy agent pokazywał nam cały dom, tu nie wchodziliśmy. Byłam tego na sto procent pewna, a więc skąd to pytanie, które raptem teraz przyszło mi do głowy?

Pytanie brzmiało:

Jak mogłam zapomnieć, że kiedyś tu już byłam?

A przy tym, co równie dziwne, wiedziałam doskonale, że chodzi tu o czas naprawdę odległy, o wspomnienie o czymś, co wydarzyło się dawno, dawno temu. Stąd też uczucie, że coś odkrywam na nowo, coś, co kiedyś utraciłam. W rezultacie byłam okropnie podekscytowana. Czułam ciarki na plecach, a klatkę po prostu mi rozsadzało.

– Mój... – szepnęłam. Wsunęłam rękę do kieszeni i dotknęłam kartki z wierszem, którą znalazłam przy grobie matki. Przecież było prawie tak, jakby to moja matka przyprowadziła mnie tutaj.

W całym pokoju panowała cisza. Cisza wyczekiwania, jakby ten pokój czekał na coś, co pozwoli mu wykorzystać jego nieograniczone możliwości. Kiedy zrobiłam pierwszy, bardzo ostrożny krok, uderzyło mnie, że powietrze jest tak

ciężkie i jakby już płynne, taka tu panowała wilgoć. Ale to mnie nie powstrzymało. Przyłożyłam rękę do ściany, by czuć się pewniej, i ruszyłam przed siebie. Szłam, przesuając palce po chłodnej, pokrytej pęcherzykami farby ścianie, i z każdym krokiem byłam coraz bardziej oszołomiona, ale jednocześnie, co też zastanawiające, coraz bardziej czułam się jak właścicielka. Stąd pytanie w mojej trochę już nieprzytomnej głowie – po co raptem ten okrągły pokój w środku kwadratowego domu?

Przystanąłam i powoli obróciłam się dookoła w tej wilgotnej pustce. W czubkach palców czułam mrowienie, w uszach dziwny, wibrujący szum. I zapachniało inaczej. Jakby gromadziły się tu ładunki elektryczne, jak przed burzą. Jednocześnie miałam wrażenie, że ten pokój oddycha, oddycha szczególnie, i odbierałam to również szczególnie. Jakby oddychał ktoś, kogo znam, z kim byłam zaprzyjaźniona, ale bardzo, bardzo dawno.

Czułam też, że koniecznie powinnam przemieścić się na sam środek pokoju. Dlatego oderwałam rękę od ściany, która dawała mi poczucie bezpieczeństwa, i powoli zaczęłam przemieszczać się właśnie tam, na sam środek. Obracając się powoli, ostrożnie przesuwałam stopy. Kątem oka z obu stron widziałam tylko kłębiącą się ciemność, czyli było to coś w rodzaju widzenia tunelowego. Ciemność po bokach pulsowała rytmicznie i szeptała do mnie. Na pewno, choć nie rozumiałam ani słowa. Ale to nieważne, bo najbardziej zależało mi na tym, by dotrzeć na sam środek pokoju, bo być może wtedy odkryję jego tajemnicę.

A poza tym, co najdziwniejsze, z każdym krokiem czułam coraz większy spokój, jakbym zmierzała do niewidzialnego labiryntu medytacji. I zmierzałam tam konsekwentnie. Gdybym chciała zawrócić, na pewno by mi się nie udało, bo parcie w tamtą właśnie stronę było najsilniejsze, jako że w głębi duszy towarzyszyła mi świadomość, że od bardzo dawna, zaraz po zrobieniu pierwszego w życiu kroku, zmierzam właśnie tam. Tam gdzie teraz.

Szłam coraz szybciej, bo ciemności po bokach było coraz więcej, widziałam więc coraz mniej. W głowie miałam już kompletny chaos, kłębiły się w niej różne myśli, a przede wszystkim słyszałam nawołujące mnie głosy. Było ich niby tysiące, a przecież był tylko jeden. Mój głos.

Kiedy niemal już dotarłam do celu, ciemność otoczyła mnie ze wszystkich stron, a tam, na środku pokoju, zobaczyłam białe światełko. Wzywało do siebie, budząc we mnie najgorętsze pragnienie, by znaleźć się właśnie tam. Kiedy wreszcie zrobiłam ten ostatni krok, wokół mnie była już tylko nieprzenikniona ciemność. A ja spadałam w dół, w otchłań, w pustkę idealną, bo nie było w niej nawet powietrza.

Nie wiem, na jak długo straciłam przytomność. Kiedy ją odzyskałam, kręciło mi się w głowie i byłam kompletnie zdezorientowana, ale nie czułam ani odrobiny lęku. Przede wszystkim byłam bardzo poruszona i przejęta, jakbym znalazła się

o krok przed dokonaniem wielkiego odkrycia.

Kilkakrotnie zamrugałam, ale nic to nie dało. Dalej miałam przed oczami gęstą i bardzo białą mgłę. Poza tym moje oczy były nienormalnie suche, jakby powieki nie poruszyły się co najmniej od kilku godzin. Godzin? Czyżby trwało to tak długo? Może i tak, może nie tylko godzin, ale i dni.

Po chwili mgła zaczęła ustępować i już coś widziałam, to znaczy widzenie wracało stopniowo, jakby ktoś rysował to wszystko po kolei. Najpierw zobaczyłam ściany. Były pomalowane, ale niestarannie, bo dojrzałam ślady pędzla, poza tym farba była pomarszczona. Potem pojawiły się cztery zaciszne kąty z cokołami przypodłogowymi. Kiedy widziałam już cały pokój w ogólnych zarysach, zaczęły pojawiać się poszczególne przedmioty. Lampa z abażurem na stoliku o trzech nogach, a pod przeciwległą ścianą sekretarzyk z roletą, zresztą otwarty. Kiedy spojrzałam na blat, pojawił się tam terminarz oprawiony w skórę, potem porcelanowy kubek, nad którym po sekundzie zawisł obłoczek pary. Jakby artysta po chwili – właściwie chwilce – namysłu postanowił go dorysować. A potem półka uginająca się pod ciężarem książek, które pojawiały się na niej jedna po drugiej. Tak samo jak tytuły na grzbietach pojawiające się litera po literze.

Na ścianie, pod którą stała mała i zielona jak mech dwuosobowa sofa, zawisała makata, na sąsiedniej ścianie też wisiała makatka, tyle że w ramie i z maksymą:

NIE MA JAK W DOMU!

Wyhaftowano ją wielkimi drukowanymi literami. Na zielonej sofie porozrzucano kolorowe poduszki wyglądające jak olbrzymie, puchate kwiaty. Czyli niewątpliwie moim oczom ukazywał się pokój jakiejś kobiety. To znaczy jakiej?

Zamknęłam oczy, starając się wreszcie przestać poddawać sile wyobraźni. Oczywiście, bo to wszystko jest tylko jej wytworem. Wszłam przecież do pokoju pustego. Pustego i okrągłego. Pamiętałam, że zdziwiłam się, że architekt coś takiego wymyślił. Pusty okrągły pokój, a teraz jawi mi się pokój prostokątny i zastawiony meblami.

A może to pamięć mnie zawiodła?

Wstałam, ale bardzo ostrożnie, jakbym się bała, że ziemia pode mną się rozstąpi i wpadnę do króliczej nory. Ale podłoga pod moimi stopami ani drgnęła. Nadal była twarda i solidna, a poza tym chyba jeszcze bardziej zadziwiający od tajemniczej przemiany pokoju był dla mnie fakt, że mam na sobie sukienkę. Ja, która nigdy czegoś takiego nie wkładałam! Zawsze stawiałam na wygodę i z reguły chodziłam w dżinsach albo w spodniach dresowych. W sytuacjach oficjalnych również nie ubierałam się w sukienki czy spódniczki odsłaniające nogi, tylko w elegancki damski garnitur. A teraz, kiedy znalazłam się w tym dziwnym pokoju, miałam na sobie właśnie sukienkę, jasnoniebieską i zawijaną, taką sukienkę

mamuśki z sitcomu z lat pięćdziesiątych. W rezultacie czułam się naga i bezbronna. Dziwne więc, że jeśli to wszystko są tylko moje wymysły, to dlaczego wyobraziłam sobie siebie w ubraniu, którego po prostu nie noszę. Co w rezultacie jeszcze bardziej zbija mnie z tropu w tej obecnej, i kompletnie zwariowanej, niby-rzeczywistości.

A tak, zwariowanej. Wprawdzie tego skojarzenia próbowałam unikać, ale nasuwało się samo. Czyżby całkiem mi odbiło? Stało się to, czego spodziewałam się przez prawie całe swoje życie? Że genetyczny granat kiedyś wreszcie wybuchnie, gdy drżącymi palcami wyjmę zawleczkę? Czyżby ta chwila w końcu nadeszła? A może wydarzyło się to już dawno temu?

I jeszcze jeden wariant. Może to wszystko, co tutaj widzę, jest nierzeczywiste, a ja siedzę gdzieś sobie spokojnie, nie wadząc nikomu. Siedzę zdumiona z rozdziawioną buzią, bo mój umysł, równie spokojny, zabiera mnie w nierealną podróż do miejsc, które sama wymyślałam.

Pytań było sporo, ale nadzieja, że otrzymam odpowiedzi, po prostu żadna, choć bardzo chciałam wiedzieć, jak długo nie ma mnie tam, gdzie teoretycznie powinnam być. I dlaczego Cassie mnie nie szuka? Przecież była w pobliżu, razem z agentem nieruchomości omawiali ostatnie szczegóły dotyczące kupna domu. Na pewno tam była – tam, gdzie pozostał mój rozum – czyli zaledwie parę kroków dalej.

A ja jestem tutaj, gdzie jedyną prawdziwą rzeczą jest pognieciona kartka z wierszem, którą nadal trzymam w ręku.

Gdy otworzyłam drzwi, nawet korytarz wydał mi się jakiś inny. Ot, choćby to, że ściany są niebieskie. A czy przypadkiem przedtem nie były szare? Może szaroniebieskie... Nie, chyba jednak faktycznie pamięć mnie zawodzi. Szłam, zaglądając do kolejnych pokoi, wszystkich w pełni umeblowanych, i zastanawiałam się, czy przypadkiem nie miałam czegoś w rodzaju świadomego snu. Bo na pewno nie byłam nieprzytomna na tyle długo, by w tym czasie Cassie zdążyła sfinalizować transakcję, pomalować ściany i wynająć wóz meblowy, który nawiózł mebli do całego domu. O tym, że nie miałam najmniejszego zamiaru jej samej tym wszystkim obarczać, nie wspominając.

– Jennie? Czy to ty, skarbie?

Stałam jak wryta. Nikt mnie nie nazywał „Jennie”. Już nikt.

Czyżby?! Nie, to niemożliwe! Czułam ciarki na plecach, serce biło jak szalone, kiedy powoli odwracałam się, by stanąć twarzą w twarz z kimś, kogo na pewno nie spodziewałam się zobaczyć... już kiedykolwiek.

A moja matka spojrzała na mnie z uśmiechem.

– O, to ty, Jennie. Jak dobrze. A już się bałam, że gdzieś mi się zgubiłaś!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zgubiłaś się?

To ma być dowcip? Tyle że to fakt. Po przekroczeniu progu tego domu w tym zwariowanym mieście zagubiłam się całkowicie!

– Ma...ma? – wyjąkałam, wpatrując się w zjawę, która pojawiła się przede mną.

A ona, wciąż uśmiechnięta, dotknęła swojej głowy.

– A jak myślisz? Pewnie mama, co?

Byłam porażona jej widokiem, ale przede wszystkim zafascynowana tym, co miała w uszach. Znaki zapytania. Oczywiście chodziło o kolczyki. Srebrne filigrany wyglądające jak znaki zapytania. Nie mogłam oderwać od nich oczu i w rezultacie, zamiast zadać matce to jedno podstawowe pytanie – jak to możliwe, że moja zmarła matka stoi przede mną – skupiłam się całkowicie na tych dyndających znakach zapytania, które może i miały jakiś wymiar symbolu. Bo nawet w moich najbardziej dziwacznych fantazjach widok zmarłej matki rodzi więcej pytań niż odpowiedzi.

– Wszystko w porządku, kochanie? Na litość boską, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha!

Duch. Zjawą. Fantazja. Tak, to na pewno to.

Objęła mnie ramieniem i natychmiast dziecko, które jest w każdym z nas, skuliło się, przyjmując pozycję embrionalną. Bardzo chciałam wskoczyć mamie na kolana, wtulić twarz w jej szyję i wdychać zapomniany już zapach. Zapach mojej dawno zmarłej matki. Bardzo chciałam zrobić to co kiedyś... Nie, nieprawda. Moja matka nigdy mnie nie obejmowała, nie kołysała. A mnie się wydaje, że tak było. Dlaczego? Skąd ta myśl?

Teraz mnie objęła. Szybko, zręcznie, jakby przedtem robiła to już miliony razy. Jakbym wcale nie chciała odsunąć się od niej, uciec od bliskości, która wydawała mi się jednak nienaturalna.

Byłam wystraszona. Przecież to nie może dziać się naprawdę i dlatego, ku memu żalowi, tę sytuację można wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Oszalałam. Przez tyle lat bałam się, że wpadnę w tę samą czarną otchłań, w którą wpadła matka, i nigdy nie będę w stanie z niej się wydobyć. Wspiąć się po śliskim zboczu, by odzyskać rozum. Bałam się, że to szaleństwo ukryte jest w którymś z genów, które dziecko dziedziczy po matce, i choćbym nie wiedzieć jak się starała, i tak nie uniknę swego losu.

I nie uniknęłam.

– Upiekłam tort urodzinowy – powiedziała matka. – Ale poczekajmy. Zaczniemy kroić, kiedy przyjdzie twój brat.

Brat?!

Chwileczkę! Tort urodzinowy to jasna sprawa. Wyraz życzliwości, najlepsze życzenia i tak dalej.

Ale brat?!

Zebrałam się w sobie, mobilizując resztki sił, by zmusić się do wypowiedzenia tego krótkiego zdania:

– Przecież ja... nie mam brata.

– Och, Jennie, znowu zaczynasz! A ja myślałam, że wreszcie doszliście do porozumienia!

Zdawałam sobie sprawę, że dyskusja na ten temat jest bezcelowa, tym bardziej że wszystko jest możliwe. Brata nie miałam, tego byłam pewna, ale matki też nie miałam, a ona i tak stała przede mną. Rozejrzałam się więc dookoła i spytałam o kogoś, czyja osoba moim zdaniem nie podlegała dyskusji.

– A gdzie jest Cassie?

– Przepraszam, kto?

– Cassie! Gdzie ona jest?!

Czułam, jak ściska mnie w gardle, czyli wpadam już w histerię.

– Cassie? – powtórzyła wyraźnie zaskoczona matka. – Zaprosiłaś koleżankę? Niestety, oprócz nas nikogo tu więcej nie ma.

– Cassie – wymamrotałam. – Cassie, moja siostra...

Moja matka – a może nie ona, tylko kobieta łądząco do niej podobna – potrzęsnęła głową i spojrzała na mnie tak jakoś bardzo przenikliwie. Potem pochyliła się, a ja odruchowo się odsunęłam. Nie, nie życzyłam sobie, by całował mnie duch.

A matka spojrzała na mnie po prostu dziwnie, bardzo dziwnie, i położyła dłoń na moim czole.

– Nadal masz gorączkę, skarbie. Niewielką, ale dobrze by było, gdybyś się położyła.

Gorączka. Tak, to by wyjaśniało wszystko. Mam gorączkę i majacę. Zdarzyło mi się już coś takiego przeżywać, ale to było nic w porównaniu z tym, co teraz. Z urojeniami czy halucynacjami, a może koszmarnym snem. Ale tak czy inaczej, wyboru nie mam, muszę brnąć w to dalej.

Dłoń na moim czole była chłodna i podnosiła na duchu. Poza tym to była matka, obecnie matka taka, o jakiej zawsze marzyłam, i dom taki, jakiego zawsze chciałam. A więc co z tego, że to może być tylko wytwór mojej wyobraźni? Co szkodzi nacieszyć się tym, dopóki trwa?

Pokiwałam głową.

– Tak. Może rzeczywiście się położę.

Gotowa do ucieczki odwróciłam się, ale drzwi, którymi tu weszłam, już nie było.

– A gdzie jest ten okrągły pokój?

Za plecami słyszałam nerwowy śmiech matki.

– Okrągły pokój? Takiego tu nie ma! Czy ty, kochanie, przypadkiem nie piłaś?

Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła w drugą stronę, idealnie przeciwną. A ja miałam wielką ochotę zaprotestować. Przecież chciałam wrócić do tych drzwi, tych DRZWI DO NA ZAWSZE! A matka otworzyła jakieś inne drzwi, które wyglądały bardzo zwyczajnie.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli położysz się w swoim pokoju, Jennie.

Weszła tam pierwsza i ściągnęła z łóżka narzutę. A ja rozejrzałam się po pokoju. Moim? Owszem, oglądałam ten pokój razem z Cassie i podjęłam w duchu decyzję, że to będzie mój pokój. Ale wtedy był pusty. Teraz nie i wyglądał dokładnie tak, jak sobie wtedy wyobraziłam. Jak będzie wyglądał, kiedy tu już się wprowadzimy. A więc czy nie jest to jeszcze jeden dowód na to, że to wszystko, co właśnie się dzieje, to tylko wytwór stanowczo zbyt bujnej wyobraźni? A może... może to jest takie wyjątkowo żywe wspomnienie? Bzdura. Jak mogłam zachować w pamięci pokój, w którym nigdy nie mieszkałam!

Usiadłam na łóżku, czując, że duch walki opuszcza mnie całkowicie. Chciałam tylko jednego. Zasnąć. Prześpię się i obudzę w normalnym, dobrze mi znanym świecie.

– Dobrze. Już się kładę.

Matka, zanim zamknęła za sobą drzwi, wreszcie spojrzała na mnie raz jeszcze i bardzo przy tym przenikliwie. A ja, chociaż naprawdę chciałam zasnąć, nie mogłam oprzeć się pokusie. Zerwałam się z łóżka i zaczęłam dokładnie oglądać pokój, czując się przy tym jak intruz, który szpieguje swoje własne życie.

Pokójumeblowany był zwyczajnie. Jedną ścianę zajmował regał na książki. Żadna z nich nie wydała mi się znana, poza tym jakoś w ogóle do tych właśnie książek mnie nie ciągnęło, za to zaintrygowało biurko stojące pod przeciwległą ścianą. Postanowiłam je spenetrować, pewna, że znajdę jakieś wskazówki, coś, dzięki czemu dojdę, co tak naprawdę się dzieje.

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam z niej figurkę, którą kilka godzin temu wręczyła mi Cassie. Czyż nie był to wystarczający dowód, że Cassie istnieje? Mimo że moja matka twierdzi inaczej? Postawiłam figurkę na biurku i zauważyłam na komódce iPod. Natychmiast chwyciłam go, zadowolona, że natrafiłam na coś dobrze znanego. Włożyłam słuchawki i ustawiłam głośność.

Ejże, zaraz, zaraz... A co to się dzieje? Ten przesłodzony kawałek to nie moja muzyka! Nacisnęłam przycisk, ale następna piosenka też była w tym stylu, więc z ciężkim westchnieniem poddałam się. Bo lepsze to niż nic. Powiedzmy... I co? I już po chwili zaczęłam kołysać się w rytm tej właśnie piosenki. Była słodka, uspokajająca. Może gdybym miała czas, mogłabym przywyknąć do tego rodzaju

muzyki. Ale dziś czasu nie mam!

Zdarłam z głowy słuchawki, rzuciłam odtwarzacz z powrotem na komódkę i pomaszero wałam do biurka. Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, to kalendarz. Naturalnie otworzyłam go. A w środku wyróżniona była tylko jedna data – dzisiejsza. Została zaznaczona kółkiem, obok kilka słów napisanych jaskrawoczerwonym mazakiem. Charakter pisma był niewątpliwie mój, a napisano:

Wszystkiego najlepszego z okazji trzydziestych trzecich urodzin.

Poza tym nic. Żadnych innych terminów, żadnych wskazówek.

Na biurku leżał tylko jeszcze jeden przedmiot. Telefon komórkowy. Odłączyłam go od ładowarki i pełna nadziei wystukałam numer Cassie. Niestety czekało mnie gorzkie rozczarowanie, ponieważ obcy głos poinformował mnie:

– Zostaw wiadomość. Abonent oddzwoni później.

Rzuciłam komórkę na bok i zaczęłam przeszukiwać szuflady. W jednej z nich znalazłam pamiętnik. Owszem, charakter pisma bardzo dobrze był mi znany, bo mój, ale na tym koniec, ponieważ absolutnie nie mogłam przypomnieć sobie ani wydarzeń, ani nazwisk ludzi, o których tu wspomniano.

Przebiegałam oczami po kolejnych kartkach dokumentujących życie na pewno nie moje, choć podobne. Charakter pisma, jak wspomniałam, z całą pewnością był mój, ale myśli i odczucia nieznane, z czego wniosek, że zostały zapisane przez kogoś innego.

Przewijającym się tematem była muzyka, z tym że tu, na kartkach tego pamiętnika, przestała być drogą ucieczki w zapomnienie i stała się zaledwie tłem dla nieudanych prób dotarcia do konkretnego celu, który okazywał się nieosiągalny. Linijka po linijce czytałam o tym, co dołowało tego kogoś, kto to pisał. O rozczarowaniach, o odrzuceniu i niewykorzystaniu możliwości. Ten ktoś pisał o poczuciu klęski, o tym, że czeka, aż wreszcie los się odmieni, ale to niestety nie następuje.

I wreszcie natrafiłam na fragment, w którym znajdowała się odpowiedź na moje pytanie: któż to taki jest moim bratem? I dlaczego moja matka powiedziała, że myślała, że wreszcie doszliśmy do porozumienia?

Ja i ten brat...

Dziś okropnie pokłóciliśmy się z Parkerem. Powiedział, że jestem leniwa i wciąż mówię mamie jakieś bzdury. Parker po prostu nie rozumie, jak to jest, kiedy się o czymś marzy, kiedy chce się czegoś więcej niż harować dzień w dzień od dziewiątej do siedemnastej, siedząc za biurkiem w pokoju bez okien. Mama rozumie mnie i zachęca, żebym zrobiła wszystko, by moje marzenia się spełniły, bo jeśli się poddam, to umrą raz na zawsze. Nienawidzę klócić się z Parkerem, dlatego obiecałam mu, że będę szukać pracy, ale to wcale nie znaczy, że się poddałam. O nie, nigdy się nie poddam. Zrobię tak, jak powiedziała mama.

Mimo woli zaśmiałam się. Matka, jaką zachowałam w pamięci, nie potrafiła

zrealizować własnych marzeń. A co dopiero zachęcać do tego swoje dzieci! Ale teraz przynajmniej wiedziałam, skąd to napięcie między mną a Parkerem.

Odłożyłam pamiętnik na bok i sięgnęłam po leżący na dnie szuflady album pamiątkowy absolwenta szkoły średniej. Położyłam przed sobą i odruchowo przesunęłam palcami po emblemacie szkoły średniej widniejącym na okładce ze sztucznej skóry. Mojej szkoły, a więc przynajmniej ten album powinien być dla mnie czymś dobrze znanym. Zaczęłam go wertować, spoglądając na coraz to inne twarze, których nie widziałam od dziesięciu lat. I zrobiło mi się przykro, że te przyjaźnie należą już do przeszłości. Jedna z tych twarzy zwróciła moją szczególną uwagę. Twarz Diane... No tak, dawne przyjaźnie... Jak by to ująć? Dawne przyjaźnie umierają śmiercią naturalną, ale niektóre zostają zniszczone. Przymknęłam oczy, czując, jak ogarnia mnie poczucie winy. Zamknęłam album i odsunęłam go na bok.

W dolnej szufladzie znalazłam inny, i był to album scrapowy. Zdjęcia, wpisy. Ponownie rozpoznałam mój charakter pisma, ale to, co było na zdjęciach, nie. Obcy ludzie w miejscach, których w ogóle nie kojarzyłam. Jediną znaną mi osobą była moja matka, na każdej następnej stronie trochę starsza, tak samo jak chłopiec, który w końcu wyrósł na mężczyznę kompletnie mi nieznanego. Ten chłopiec był na większości rodzinnych zdjęć, czyli niewątpliwie to właśnie mój brat, o którym wspomniała matka.

Było tam również zdjęcie domu zrobione podczas deszczu. Podpis głosił:

Załzawiony Dom

A ja pomyślałam, że nie, to nie jest załzawiony dom, lecz:

Dom Łez

Nieważne, kim jestem, kim byłam, i tak wiem najlepiej.

Przewracałam kartkę za kartką, szukając rozpaczliwie zdjęcia mojej siostry. Znalezienie dowodu na istnienie Cassie stało się dla mnie sprawą podstawową, jako że Cassie była jedynym ogniwem łączącym mnie z moją prawdziwą rzeczywistością. Była wszystkim, co mi pozostało. Cassie musi tu być. Musi. Wiedziałam, że jeśli jej nie będzie, jestem skończona.

Niestety tutejsze fałszywe życie nie udzieliło mi żadnych odpowiedzi na moje pytania. Musiałam znaleźć je sama, sięgnęłam więc po pamiętnik. Otworzyłam na pustej stronie i na samej górze napisałam drukowanymi literami:

DOM ŁEZ

Bo instynkt podpowiadał, że skoro wszystko zaczęło się tam, to właśnie tam znajdę odpowiedzi na moje pytania.

Najpierw sporządziłem listę, swoisty katalog wszystkiego, począwszy od wiersza zmarłej matki, a skończywszy na tym, co mówiła mi Cassie o tym domu. Niestety, kompletna porażka, nie naprowadziło mnie to na nic sensownego. Zastosowałam więc inną metodę: kojarzenie.

Dom. Co znaczy dla mnie ten wyraz? Dom jako dom rodzinny, czyli coś w rodzaju kontenera, w którym zgromadzona jest rodzina, obawy i inne wszelkiego rodzaju emocje. Miejsce, gdzie należy czuć się pewnie i bezpiecznie. Skąd więc ten płacz? Płaczą, kiedy czujemy się samotni, smutni albo zranieni. Malutkie dzieci płaczą, bo chcą do mamy, chcą poczuć jej miłość, bo pragną, by przestało je boleć, albo kiedy są głodne. Tak. A więc tu są pewne skojarzenia, ale jakie dokładnie? Niestety mój umysł odmawiał już posłuszeństwa, ale zaczęłam pisać:

DOM ŁEZ

Dlaczego właśnie ten zestaw słów? Bo kryje się za nimi coś samotnego, ale dumnego, jakby płkanie było tak ważne, że należy mu się osobne miejsce. Coś w stylu indiańskiego namiotu potu. Chcesz się oczyścić? Spędź noc w Domu Łez. Idź tam i wyrzuć ze swego organizmu to wszystko, co złe, pozbądź się tego. A kiedy już to zrobisz, zapomnij o łzach i przywołaj uśmiech na swej twarzy. Dom Łez jest miejscem, które znajduje się w każdym z nas, gdzie możemy zamknąć drzwi, zasłonić okna i pozwolić popłynąć łzom, których się wstydzimy i nie chcemy okazywać światu. Tam, w środku, jest ciemno i przytulnie, jest to miejsce, gdzie możesz złożyć swoją głowę i nikt nie będzie słyszał, jak szlochasz...

Kiedy usłyszałam pukanie do drzwi, drgnęłam i szybko wsunęłam pamiętnik do szuflady. Wystraszona i z poczuciem winy, odwróciłam się, by spojrzeć w twarz matce, która uchyliła drzwi i wsunęła głowę do środka. Udało mi się nawet uśmiechnąć, w ogóle starałam się zachowywać normalnie... albo tak, jak to ona uważała za normalne.

– Czujesz się lepiej? – spytała, wchodząc do środka. Pokiwałam głową, a ona pochyliła się nad albumem ze zdjęciami na biurku i zaczęła przewracać kartki. Zatrzymała się na stronie ze zdjęciem, na którym w tle widać było tropikalne rośliny. – O! Chyba powinniśmy znów wybrać się do Cancún.

Znów? Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek tam była. A na zdjęciu byłam, ubrana tylko w złocistą opaleniznę i bikini ze stringami. Obok mnie stała moja matka, obejmując mnie ramieniem. Ja obejmowałam ją w pół i każda z nas trzymała w ręku drinka kokosowego w kubku ozdobionym papierową parasolką. Wyglądałyśmy na bardzo zadowolone, do czego niewątpliwie przyczyniła się również zawartość owych kubków.

Zaśmiałam się zachwycona, że potrafię zażartować nawet w takiej sytuacji, kiedy to moja matka, obejmując mnie ramieniem, razem ze mną ogląda zdjęcia, które budzą w niej wspomnienia. We mnie nie, ale na szczęście wszystko wskazywało na to, że matka nie zdaje sobie z tego sprawy.

Kiedy oglądałam kolejne fotografie, uderzyło mnie, jak bardzo jestem do matki podobna. Mamy takie same błyszczące zielone oczy, taki sam trochę krzywy uśmiech i wijące się włosy o barwie karmelowej. A więc może farbowałam włosy na czarno nie dlatego, by pasować do punków przychodzących do naszego baru,

ale po to, by ukryć podobieństwo do matki. Przecież na tych zdjęciach, kiedy stoimy ramię w ramię uśmiechnięte i zadowolone, podobne jesteśmy do siebie jak dwie krople wody. No, może prawie...

Uświadomiłam też sobie, że ta matka, która stoi tuż obok mnie, to oczywiście nie jest tamta matka, którą zapamiętałam. Nie jest też moją wymarzoną matką. Jest to po prostu nowa, ulepszona wersja. Nieznana mi, czyli taka matka, jaką ewentualnie mogłaby być. Była to matka z co najmniej dwukrotnie większym doświadczeniem życiowym niż tamta matka, którą zachowałam w pamięci. No i przede wszystkim taka matka, która nie ma gdzieś tam, w głębi oczu, przyczajonej śmierci.

A potem nadeszła pora na test końcowy i najważniejszy. Wstrzymałam oddech i zmusiłam się, by spojrzeć właśnie tam, na jej nadgarstki. Spojrzałam i odetchnęłam. Gładziutki, wręcz nieskazitelne. Żadnych blizn na jasnej skórze, czyli w tym świecie moja matka nigdy nie podcięła sobie żył, żeby uciec od życia, które było dla niej nie do zniesienia.

Westchnęłam. To westchnienie było oznaką i wielkiej ulgi, i gorącego pragnienia. W tym świecie, dla mnie wywróconym do góry nogami, zaczynałam już mieć nadzieję, że wszystko, co wiedziałam o mojej przeszłości, było snem, a to – czyli moja matka z nietkniętymi nadgarstkami – jest utraconą rzeczywistością. Że to tylko moja zniszczona psychika wymyśliła czerwone kałuże krwi na czarno-białej kuchennej posadzce.

Kiedy przewróciliśmy ostatnią kartkę, matka poklepała mnie po ramieniu i powiedziała:

– Parker jest tutaj.

Parker...

Czyli mój brat, o którym przeczytałam w pamiętniku. Nie byłam zaskoczona, że tak się nazywa, skoro Parker to nazwisko panięńskie matki. Nigdy nie była po prostu Marjorie Hall, tylko Marjorie Parker Hall, w sumie więc to logiczne, że owo „Parker” przekazała pierworodnemu – i jedynekmu – synowi. Nieważne, że młodszemu ode mnie, jak Cassie, ale pierworodne dziecko to od biblijnych czasów zawsze syn, nie córka.

Zakładając, że faktycznie jest jej synem. Ale nie pytałam już o nic, zdając sobie sprawę, że mogłoby to wydać się podejrzanę. A tak w ogóle to doszłam do wniosku, że jeśli chcę odkryć tę tajemnicę, dowiedzieć się, co tak naprawdę ze mną się dzieje, muszę wykazać się przebiegłością. Zachowywać się normalnie, a jednocześnie być bardzo czujna, skoncentrowana i starać się znaleźć jak najwięcej wskazówek niezbędnych do rozwiązania tej łamigłówki.

Parker okazał się całkiem inny, niż się spodziewałam. Podświadomie nastawiłam się, że będzie męską odmianą Cassie, czyli blondynkiem, słodkim ciasteczkiem, ale żadnymi tam ciepłymi kluchami. No i wesołym facetem.

A tymczasem Parker był wysoki i choć włosy, owszem, miał jasne, to na surowej nieruchomej twarzy nie dopatrzyłam się choćby śladu uśmiechu. Niemniej jednak rodzinne podobieństwo rzucało się w oczy. Temu nie mogłam zaprzeczyć, choć jednocześnie jakoś nie potrafiłam w nim ujrzeć rodzzonego brata.

Nachylił się i cmoknął mnie w policzek. Był to gest jakby symboliczny, a nie rodzinnie czuły.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, siostró.

Uśmiechnęłam się i podziękowałam, mając przy tym nadzieję, że zabrzmiało to miło i naturalnie. I chyba tak było, co zaskoczyło mnie samą. Bo zamiast być w szoku albo mieć nerwy jak postronki, zachowałam stoicki spokój. Mój oddech wcale nie przyśpieszył, serce nie tłukło się w piersi. Przede wszystkim byłam czujna i zdecydowana wejść w swoją rolę. Po prostu pogrywać razem z nimi i czekać, co wyniknie z tej nieprawdopodobnej sytuacji, w jakiej się znalazłam. Innymi słowy okazało się, że wcale już nie jestem skłonna zaprzeczać temu, co widzą moje oczy, tylko szukam jakiegoś klucza, jakiegoś rozwiązania.

Parker wręczył mi aksamitne pudełeczko przewiązane szkarłatną wstążeczką.

– Otwórz, proszę.

Spojrzałam na matkę, która skinęła głową, więc ściągnęłam wstążeczkę i otworzyłam pudełeczko, w którym znajdowało się prawdziwe чудо: srebrna broszka w kształcie drzewka. Na trzech najgrubszych gałęziach błyszczały drogie kamienie. Na jednej z nich na pewno był mój kamień urodzinowy, na drugiej matki, a na trzeciej gałęzi rubin, z pewnością kamień urodzinowy Parkera. Czyli dwa kamienie moich najbliższych krewnych, prawdopodobnie jedynych, jakich posiadałam w tej rzeczywistości. Bo kamienia Cassie nie było... i w sercu zakłuło. Fakt, że Cassie tu nigdy się nie urodziła, był jeszcze gorszy niż śmierć. Bo zmarli przynajmniej nadal żyją w sercach bliskich, w ich pamięci. Ale tutaj – niezależnie od tego, gdzie się znajdowało owo tutaj – nikt nigdy się nie dowie, co stracił. A stracił i Cassie, i wszystko, co się z nią wiązało. Dzieci, których życie dzięki niej zmieniło się na lepsze, w ogóle wszystko, czegokolwiek się dotknęła, po prostu tu przestało istnieć.

Gdy Parker odchrząknął, uświadomiłam sobie, że moje milczenie mógł odebrać jako brak wdzięczności.

– Jest śliczna – wymamrotałam, głaszcząc wypolerowane srebro. Bo to prawda. Drzewko było śliczne, do tego miało w sobie coś magicznego, co kryło się w splotach cieniutkich gałązeczek tworzących wzór i piękny, i jednocześnie tajemniczy. Trzy kamienie to triada idealna. Każdy kamień z osobna przyciągał wzrok, a kiedy nasyciło się nim oczy, nakierowywał ciebie na drugi kamień, do którego twój wzrok podążał krętą, zawiłą ścieżką. Spojrzałam na Parkera. Tym razem naprawdę szczerze wyrażałam swoją wdzięczność: – Bardzo mi się podoba,

naprawdę.

– I tak powinno być. – Przypiął broszkę do mego kołnierzyka. – Od co najmniej trzech tygodni suszyłaś mi głowę, że chcesz właśnie coś takiego.

Czyżby? Jeśli tak, to znowu niespodzianka, bo ja nigdy nie przepadałam za biżuterią, a poza tym takie przymawianie się nie było w moim stylu. Kiedy coś tam sobie upatrzyłam, kupowałam sama, na pewno nikogo o to nie prosiłam. Zresztą nie bardzo miałam kogo poprosić. Dlaczego więc raptem miałyby się to zmienić?

Dotknęłam broszki przy kołnierzyku. Niewątpliwie dla osoby, jaką teraz udawałam, miała jakieś znaczenie. Na pewno, bo gdzieś tam w głębi duszy byłam również przekonana, że ma to dla mnie jakieś symboliczne znaczenie.

– A więc... – zaczęła matka, przerywając mi chwilę zadumy – ponieważ zaczęliśmy rozpakowywać prezenty, może chciałabyś sprawdzić, co tutaj się kryje.

I wręczyła mi pudełko owinięte w kolorowy papier. Najpierw wzięłam do ręki karnet wetknięty do pudełka:

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, córeczko!

Tymi słowami byłam zaskoczona, choć czegoś takiego powinnam się spodziewać. Niemniej jednak poczułam ucisk w dołku, tym bardziej że pod tym wydrukowanym frazesem dopisano odręcznie:

Dla mojej córeczki i najlepszej przyjaciółki w tym szczególnym dniu. Oby życie było dla Ciebie zawsze łaskawe i dało Ci to wszystko, na co zasługujesz. Od kochającej mamy

I wtedy coś się we mnie załamało. Emocje, od tak dawna trzymane na wodzy, wreszcie doszły do głosu. Zadrzałam, czułam też, że jeszcze chwila i się rozplączę, dlatego szybko pochyliłam głowę i zajęłam się rozpakowywaniem prezentu.

W pudełku był zestaw książek do medytacji oraz CD o sterowaniu wyobraźnią. I znów poczułam się tak, jakby podzielono mnie na dwie części. Jedna ja to marzycielka, która kocha albumy scrapowe i medytację, a ta druga to realistka, dla której pełne fantazji sny to coś, z czym należy walczyć. I która z tych części to byłam ja, prawdziwa ja?

Podziękowałam matce za prezent, już nie przejmując się, że mam łzy w oczach.

– Och, skarbie – powiedziała, obejmując mnie mocno.

Zauważyłam, że też ma podejrzenie błyszczące oczy, jak ja. I kiedy to zmieniłam się w sentymentalną idiotkę? Prawdopodobnie w dniu, w którym postanowiłam zacząć medytować.

Matka pociągnęła nosem, pogłaskała mnie po głowie i wypuściła z objęć, oznajmiając:

– Na twoją cześć ugotowałam na obiad coś specjalnego.

Sądząc po zapachach dobiegających z kuchni, na pewno nie było to coś na

wynos od Chińczyka. Oczywiście byłam bardzo ciekawa, cóż ja takiego lubię zjeść w tej rzeczywistości, dlatego zaofiarowałam się z pomocą, ale matka kazała mi usiąść i odpocząć, a ona coś tam jeszcze musi skończyć. I wyszła, a ja zostałam w pokoju jadalnym, przy stole, w towarzystwie Parkera.

Pamiętałam doskonale moje tragiczne urodziny przed dwudziestoma laty, kiedy z niecierpliwością czekałam na śniadanie urodzinowe. No i nie doczekałam się. To wspomnienie wydawało mi się jakieś takie nierealne, jakby moja przeszłość była nieprawdziwa. A prawdziwe było to, co działo się tutaj i teraz.

Parker nalał wina do dwóch kieliszków, a potem zażartował:

– Gdybym wiedział, że kilka książek i CD doprowadzą cię do łez, darowałbym sobie wydawanie kasy na tę głupią broszkę, o którą się dopominałaś.

Moja dłoń błyskawicznie spoczęła na moim kołnierzyku. Dotarło do mnie, że nieświadomie sprawiłam bratu przykrość.

– Przepraszam. Broszka naprawdę bardzo mi się podoba, Parkerze. I bardzo ci za nią dziękuję.

– Nie ma sprawy, żartowałem. O Jezu, ale nagle stałaś się poważna!

Czyli nowa wskazówka. Bo to, co powiedział, znaczyło, że przedtem tutaj wcale nie byłam poważna. Skoro tak, to powinnam o tym pamiętać i zachowywać się tak jak... jak Cassie. Oczywiście. Przecież nieraz jej wytykałam, że nie bierze życia zbyt poważnie. Martwiłam się, że jest lekkomyślna i za bardzo lubi się bawić. Może też byłabym taka, gdybym nie rosła w cieniu śmierci matki, a to odbijało się na każdej mojej decyzji i działaniu.

– Dobrze się czujesz? – spytał Parker.

– Znakomicie! – odparłam, trącąc się z nim kieliszkiem. – Tylko na chwilę wpadłam w sentymentalny nastrój.

Parker pokiwał głową, niby ze zrozumieniem, ale spojrzenie miał czujne. Chyba nie bardzo uwierzył moim protestom, i to go zaniepokoiło. Dlaczego? Czyżbym miała jakieś brzemienne w skutkach potknięcie i teraz powoli odzyskiwałam równowagę? Może i tak, skoro w wieku trzydziestu trzech lat mieszkam z matką. Bo prawdopodobnie muszę być pod obserwacją.

I szok. Bo nagle uprzytomniłam sobie, że przyjrzałam się nadgarstkom matki. A swoim nie, choć... choć powinnam. Powód był, bo mogłam to zrobić! Nie ona, ale ja, a to, co teraz się dzieje, to jest życie po życiu. Tak, właśnie to. A sprawdzić trzeba. Ostrożnie, ukradkiem podsunęłam rękawy, odsłaniając nadgarstki. Uff... Nie ma! Żadnych śladów, nawet najmniejszych, świadczących o tym, że podciąłam sobie żyły w swoim poprzednim życiu... albo w obecnym. Albo i w piekle, przecież tego też nie można było wykluczyć.

Potarłam skronie. Głowa mi pękała od tych wszystkich możliwości, które podsuwał mi umysł. A poza tym powinnam dowiedzieć się bardzo wielu rzeczy, ale jeszcze nie miałam odwagi pytać. Choć jedno z tych pytań było niezmiernie

ważne. Najważniejsze. Gdzie jest Cassie?

Ku memu wielkiemu zdumieniu na obiad była pieczona kaczka. I to miało być moje ulubione danie?! Jak dotąd nigdy czegoś takiego nie miałam w ustach. A teraz właśnie to! Pieczona kaczka pojawiła się na stole, i to nie sama, bo w towarzystwie ziemniaków purée, delikatnych szparagów w maśle i chleba kukurydzianego własnego wypieku, czyli matka, szykując ten obiad, spędziła w kuchni niejedną godzinę, a w tym czasie, kiedy nie miałyśmy okazji się widzieć, musiała chodzić na kurs gotowania.

Kaczka była miękka i delikatna, a z wierzchu chrupiąca, no i cała nieprzyzwoicie tłusta. Pochłonęłam ją błyskawicznie, całkowicie pewna, że jeśli dotąd nie było to moje ulubione danie, to właśnie dokonała się zmiana o sto osiemdziesiąt stopni. Czyli wychodziło na to, że ja i ten mój obecny sobowtór mamy jednak coś wspólnego.

Po obiedzie matka przyniosła tort urodzinowy. Zanim został pokrojony, razem z Parkerem powtykali w niego świecek urodzinowych, zapalili je i trochę fałszywie za to głośno odśpiewali „Sto lat”.

Zerknęłam na Parkera, czując, że podobnie jak ja jest trochę skrepowany całym tym urodzinowym cyrklem. Co więcej, zrobił znaczącą minę, przekazując, że on wie, że to głupie, ale nic nie poradzisz, bo matka tego typu cyrki uwielbia.

Wpatrywałam się w migotliwe płomyki świeczek i starałam się przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni miałam tort urodzinowy, bo przecież to ja sama w którymś momencie zrezygnowałam z obchodzenia urodzin, także z tortu, prezentów i kart z sentymentalnymi życzeniami.

– Głowa do góry, siostrzyczko! Trzydzieści trzy lata to jeszcze nie tragedia. Uwierz starszemu bratu.

Przełknęłam. Starszy brat? Jak to może być, skoro to ja jestem ta najstarsza, a po mnie Cassie. Po prostu automatycznie założyłam, że Parker też jest ode mnie młodszy. A tu okazuje się, że nie, a więc najlepiej będzie, jeśli w tym świecie powstrzymam się od jakichkolwiek założeń, bo zbyt łatwo się pomylić.

Zrobiłam głęboki wdech i zdmuchnęłam świecek, życząc sobie w duchu jak najszybszego powrotu do dawnego, znanego mi świata.

Po sprzątnięciu ze stołu przeszliśmy na kawę do pokoju dziennego, gdzie na ścianach wisały obrazy i był kominek z imponującym gzymsem. I nadal ani śladu Cassie.

Czułam, że wpadam w panikę.

– Parkerze, mam wielką ochotę się przejechać. Mogę wziąć twój samochód?

– Nie ma sprawy. Ale twój samochód stoi na podjeździe. Coś z nim nie tak?

– Nie, nie! Tylko... – Wymyśl coś szybko, wymyśl! – Tylko kończy mi się paliwo. Ale nieważne. Jadę. Biorę kluczyki...

Rozejrzałam się dookoła. Gdzie mogą być te kluczyki?

Zauważyłam, że matka i brat wymienili spojrzenia. Domyśliłam się, o co chodzi. Szukali we mnie oznak załamania. Czyżby więc i teraz, kiedy przerabiam perfekcyjną wersję swego życia, nadal miałabym być zagubioną duszą? Jeśli tak, to oznacza, że tu też coś się wydarzyło, co negatywnie wpłynęło na moje życie. Tylko co? Przecież moja matka nadal żyje. Kogo więc mam obarczać winą za wszystko, co poszło nie tak?

– No i gdzie ja położyłam tę głupią torebkę? Gdzie?

Matka bez słowa wskazała na szafę w korytarzu. A mi było już wszystko jedno, co sobie o mnie pomyśla. Popędziłam do szafy i chwyciłam pierwszą z brzegu torebkę. Było oczywiste, że jeśli nie będzie moja, któreś z nich powie mnie o tym, dopytując się również, czy naprawdę dobrze się czuję. Na szczęście, kiedy w niej poszperałam, znalazłam kluczyki, a na kółeczku wisiała metalowa litera „J”, czyli trafiłam.

– Wróć niebawem! – rzuciłam jeszcze przez ramię, choć wcale nie byłam pewna, czy w ogóle tu wrócę.

Na podjeździe stały trzy samochody. Stateczny czterodrzwiowy sedan, kabriolet czerwony jak wóz strażacki i mały srebrzysty mini cooper. Od razu do niego pomaszerowałam, a kiedy przekreśliłam kluczyk, silnik ożył. Mogłam więc sobie pogratulować, że w tej zgadywance byłam naprawdę niezła.

Do Cassie jechało się tylko dwadzieścia minut, ale to było najdłuższe dwadzieścia minut w moim życiu. Ulice wydały mi się znajome, chociaż co jakiś czas odnosiłam wrażenie, że jednak coś tu się zmieniło. I faktycznie, bo niewiele brakowało, bym minęła przecznicę, przy której mieszkała Cassie. A stało się tak dlatego, że na rogu, gdzie był sklep spożywczy, teraz znajdował się salon fryzjerski dla psów. Na szczęście w ostatniej chwili skręciłam i podjechałam tam, gdzie powinien stać dom, w którym mieszkała Cassie. Powinien, bo tego domu nie było, a także dwóch sąsiednich. Co się stało? A to, że wybrukowali raj i zrobili parking. Jak w piosence, którą śpiewa Joni Mitchell. No, może nie do końca tak samo, bo zrobili parking podziemny, ale i tak ten cytat mi tu pasował.

I niestety był to dowód niezbity, że jej tu nie ma. A to było dla mnie nie do zniesienia. Tęskniłam za Cassie rozpaczliwie. Była dla mnie światelkiem w tunelu, moim jedynym promykiem słońca, który z tragedii potrafił zrobić komedię. Bez mojej Cassie czułam się słaba, niekompletna.

I co teraz?! Teraz to powinnam sama siebie skopać za to, że przed wyjściem z domu nie poszłam do swojego pokoju i nie wzięłam komórki. Przecież nawet tu musi być ktoś, kogo znam, do kogo mogłabym zadzwonić i poprosić o pomoc w wydostaniu się z tego bagna, w którym tkwiłam po uszy!

Pojechałam więc do siebie, czyli do domu, w którym mieszkałam, zanim cały mój świat wywrócił się do góry nogami. Dom nadal tam był, wysiadłam więc z samochodu i ruszyłam do swoich drzwi, nie zdążyłam jednak do nich dojść, kiedy

otwarły się i z domu wybiegło dwoje rozwrzeszczanych i rozbrykanych dzieci. Tuż za nimi pojawiła się jakaś kobieta, ledwie żywa, a więc najprawdopodobniej ich matka.

– Może mogę w czymś pomóc? – spytała uprzejmie.

Nie, nikt mi nie może pomóc, pomyślałam ponuro. Bo wszystko jest nie tak i krótko mówiąc, wpadłam do nory królika.

– Dziękuję pani – odparłam równie uprzejmie. – Bo wie pani, ja tu kiedyś mieszkałam...

– A... rozumiem. – Uśmiech nieznojonej nie był już taki promienny, a spojrzenie stało się jakby podejrzliwe. Zerknęła na dzieci ładujące się do minivana, potem znów popatrzyła na mnie. – Przepraszam, ale właśnie gdzie się wybieramy. Może wpadnie pani kiedy indziej?

Spojrzałam ponad jej ramieniem do środka, do mieszkania, które kiedy było moje, a ja rozpoznawałam je z trudem. Ściany pomalowane były na inny kolor, jasny, wesoły, na podłodze wałały się zabawki. Miły widok, po prostu miejsce, gdzie ktoś naprawdę mieszka, a nie, jak przedtem, sterylne wnętrze.

– Nie, nie. Nie ma takiej potrzeby. Dziękuję pani.

Oczywiście podziękowałam, choć tak naprawdę nie było za co, skoro niczego się nie dowiedziałam.

Pomyślałam, że istnieje już tylko jedno miejsce, dokąd mogłabym pojechać. Miejsce, w którym byłam, gdy cały mój świat stanął na głowie. Oczywiście cmentarz. Tam, gdzie znalazłam wiersz matki o Domu Łez. Tam, gdzie wszystko zaczęło się nie tak, niemniej jednak instynkt podpowiadał mi, że właśnie tam znajdę drogę powrotną do mego prawdziwego życia.

Kiedy idzie się przez cmentarz w dzień, jest w tym coś dziwnie uspokajającego. W nocy, wiadomo, jest inaczej. Między wykrzywionymi nagrobkami czai się ciemność i miejsce to staje się miejsce tajemniczym, nawiedzanym przez duchy i inne nocne strachy. Za dnia trudno uwierzyć w duchy. No, chyba że raptem ockniesz się i stwierdzisz, że obecnie mieszkasz wśród nich, wśród duchów, na przykład jak ja.

Skręciłam w boczną alejkę i przystanęłam, rozglądając się dookoła. Czy to nie miejsce, gdzie był ten zapłakany aniołek? Pomyślałam chwilę, policzyłam w duchu, ile zrobiłam kroków od zakrętu do tego miejsca, i doszłam do wniosku, że tak, to musi być tutaj. Gdzie teraz nie ma nic, ani zapłakanego anioła, ani rzeźbionego nagrobka malutkiej Addie Rose. Nie wiedziałam, w jakich okolicznościach to maleństwo zakończyło życie i dlaczego w tej innej rzeczywistości nie śpi snem wiecznym pod skrzydłami zrozpaczonego anioła. Oczywiście musiało być jakieś wytłumaczenie, jakiś porządek rzeczy, ale nie potrafiłam jeszcze tego rozgryźć.

Nagle ciszę zakłócił powiew wiatru, tak silny, że miałam wrażenie, jakby

złapał mnie za ramię. Jednocześnie doznałam *déjà vu*. Odczucie było bardzo mocne, ale krótkotrwałe, bo prawie natychmiast znikło, tylko gdzieś tam w zakamarku umysłu pozostał ślad, cichutkie echo:

Zapamiętaj tę chwilę.

Poszłam dalej, zbliżając się do miejsca, gdzie stałam zaledwie kilka godzin temu. I czułam, co tam zastałam. Grób matki także znikł. Pozostało po nim puste miejsce, czekające na dzień, kiedy matka spocznie tu na zawsze. Nie było świeczek, kwiatów i tych różnych drobnych dowodów uznania od kobiet poruszonych jej twórczością. To wszystko było niezbitym dowodem na to, że Marjorie Parker Hall wcale nie leży w ciemnym grobie, tylko siedzi w jasno oświetlonej kuchni i czeka na mój powrót.

Niemniej jednak... Wsunęłam rękę do kieszeni i wyczułam złożoną kartkę. Odetchnęłam głęboko, wyciągnęłam kartkę i ostrożnie ją rozłożyłam. Tak, widzę go, widzę litery składające się w słowa. Na pożółkłym papierze widnieje wiersz mojej matki „Dom Łez”, który znalazłam przy jej grobie zaledwie parę godzin temu. Czyli ten wiersz, podobnie jak Dorotka, razem ze mną odbył tę nieprawdopodobną podróż...

Moje palce spazmatycznie zacisnęły się na kartce, na tym fizycznym dowodzie, że nie jestem stąd, że naprawdę byłam gdzie indziej.

Z tego wszystkiego zakręciło mi się w głowie, przysiadłam więc na pobliskiej ławce. Tyle że ku memu zaskoczeniu ktoś już na niej siedział. Ktoś, kogo ja, zajęta swoimi problemami, nie zauważyłam. Była to kobieta, która na mój widok poderwała głowę i rzekła z uśmiechem:

– Witaj, Jenno! Właśnie zastanawiałam się, kiedy tu się pojawisz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Siedząca na ławce kobieta uśmiechała się do mnie, choć jej twarz w aureoli siwych włosów była mi nieznana. Ale tylko na pierwszy rzut oka, bo po chwili jednak dostrzegłam w jej rysach coś znajomego.

– Przepraszam, czy my się znamy? – spytałam odruchowo.

– Kiedyś tak – odparła. – I znowu tak będzie.

Jej błyszczące oczy mogły należeć do osoby w każdym wieku. Spojrzenie było tak jasne i szczere, że chociaż udzieliła mi odpowiedzi dość enigmatycznej, to wzbudziła we mnie zaufanie. A melodyjny głos musiałam kiedyś słyszeć. Zabrział mi niczym głos z niemal zapomnianego snu.

Przechyliłam głowę na bok i wyteżając pamięć, starałam się przypomnieć sobie imię i nazwisko najpewniej schowane w najdalszym jej zakamarku.

– Mary?

Kobieta wstała i wyciągnęła do mnie rękę.

– Maya Freemont, czyli po prostu Maya. Mieszkałam przy tej samej ulicy, kiedy była pani malutka. Przyjaźniłam się z pani matką.

I wreszcie w mojej pamięci coś ożyło, chociaż wspomnienie było mgliste. O tej kobiecie w znacznie młodszej wersji, jak wchodzi do mojego domu. Oczywiście w tamtej rzeczywistości.

– Przyniosła mi pani zapiekanekę, kiedy moja matka umarła.

– Tak. – Maya pokiwała głową. – O ile pamiętam, była to zapiekanka z makaronu z tuńczykiem.

– Zgadza się. – Chociaż kto wie, czy nie była to zapiekanka z makaronu ramen? Ale nie prostowałam, bo i po co. – Dziękuję pani.

– Drobiazg. I proszę, mów mi po imieniu.

Wyczułam zapach jej perfum, intrygujący zapach wiciokrzewu, też zachowany w pamięci, która nagle ożyła. Pogrzeb mojej matki. Mam trzynaście lat i jestem sama w oceanie dorosłych, którzy są zbyt zajęci swoją rozpaczą, by zauważyć i przejąć się tym, że mój świat już na zawsze został podzielony na to, co było PRZEDTEM i co będzie POTEM.

Tylko Maya zachowała się inaczej. Jej ciepłe ramiona objęły mnie serdecznie.

– Wszystko się ułoży, moje dziecko – powiedziała. – Proszę, uwierz mi. Wszystko będzie dobrze.

Chciałam zaprotestować, bo już wtedy wiedziałam, że nic nie będzie dobrze, jednak nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Wtedy Maya objęła mnie jeszcze mocniej, a ja wtuliłam twarz w jej matczyną pierś i pozwoliłam popłynąć łzom, które starałam się powstrzymać. Maya głaskała mnie po głowie i pozwoliła mi

płakać, dopóki we mnie nie pozostało już nic więcej oprócz uczucia pustki.

A potem nigdy już nie płakałam. Nigdy.

Maya wyciągnęła ręce, jakby znów chciała mnie objąć, a to dziecko, które nadal we mnie mieszkało, rozpaczliwie zapragnęło rzucić jej się w ramiona. Ale kobieta, którą się stałam, odruchowo cofnęła się o krok, odmawiając sobie tej pociechy. Bo swoje wiedziałam. Uściski, słowa to tylko chwilowy balsam na duszę.

Cofnęłam się jeszcze o krok i omal nie straciłam równowagi, potykając się o jakieś kamienie. Kiedy odzyskałam równowagę, znów spojrzałam na równy, nietknięty skrawek ziemi, gdzie powinien być grób mojej matki. Gdzie był jeszcze tego ranka, zanim cały świat stanął na głowie.

– Przecież moja matka nie umarła – szepnęłam, czując się kompletnie zagubiona.

– Oczywiście, że nie – odparła Maya. – Jest jak najbardziej żywa, czyż nie tak?

Powoli nabrałam powietrza.

– Ale to nie ma najmniejszego sensu.

– Przeciwnie, ma. Kiedy już to ogarniesz, wszystko nabierze sensu – powiedziała Maya, spoglądając na broszkę wpiętą w mój kołnierzyk. – Mogę ją obejrzeć?

– Bardzo proszę.

Podaliśmy jej broszkę, a ona, podobnie jak ja, kiedy broszkę dostałam, najpierw powiodła palcem po delikatnej pajęczynie miniaturowych gałązek.

– Wszystko, co powinnaś wiedzieć, jest tutaj, Jenno. – Gdy bezradnie potrząsnęłam głową, Maya dodała: – Spójrz na te gałązki. – Ponownie przesunęła palce po broszce. – Każda z tych gałązek samotnie podąża w swoją stronę, ale żeby zrozumieć drzewo, musisz przyjrzeć się każdej gałązce z osobna i dojść, jak ta gałązka ma się do całości.

Wreszcie coś mi w głowie zaświtało. Nie rozumiałam jeszcze tego do końca, ale dostrzegłam zarys wzoru, nawet zaczęłam systematycznie go układać, jednak Maya wystrzeżliła z nową informacją:

– W środku tego wszystkiego jest twój Dom Łez.

Z wrażenia prawie podskoczyłam.

– Dom Łez?

– Tak, przecież sama wymyśliłaś tę nazwę, choć wszyscy nazywają go inaczej. Na przykład portal, wejście albo brama.

– Od razu... – Przerwałam, by opanować drzenie. – Od razu wiedziałam, że w tym domu jest coś dziwnego.

– Na początku wszystko wydaje się dziwne. Dlatego tu jestem, żeby ci pomóc.

– Pomóc?! Mnie pomóc?! – Zrobiłam głośny, szybki wdech, bo przed oczami stanęła mi tamta rzeźba. Płaczący anioł. – Ale kim ty jesteś?

Przekrzywiła głowę i nieznacznie wzruszyła ramionami, jakby moje pytanie było zbędne.

– Czym sobie życzysz. Twoim Aniołem Stróżem? Twoją przewodniczką, a może twoją Wyższą Jaźnią? Nazywaj mnie, jak chcesz.

Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu. Fakt, że tymi wszystkimi osobami czy mocami, które wymieniła Maya, mogłaby być ona, niewysoka czarnoskóra kobieta z włosami przyprószonymi siwizną, po prostu mnie rozbawił. Chociaż podejrzewałam, że Anioł Stróż, czy też przewodniczka, może przybierać dowolną postać, która komuś daje ukojenie. A Maya właśnie tak na mnie wpływała. Kojąco.

– Czy słowo rzeczywiście jest aż tak ważne? – spytała. – Przecież gdy tylko przyczepisz etykietkę, wykluczasz wszystkie inne możliwości. Usiądź, dziecko, koło mnie. – Poklepała ławkę obok siebie, a gdy się zawahałam, dodała z pobłażliwym uśmiechem: – Nie ociągaj się. Jeśli chcesz, możesz mnie dotknąć.

Kiedy kładłam rękę na jej ramieniu, poczułam się głupio. A jej ramię było mocne i twarde, czułam, jak z niej całej emanuje ciepło. Jeśli była zjawą, to na pewno bardzo przekonującą. Potulna już jak baranek usiadłam na ławce obok niej. Poddalam się, wmawiając sobie, że nie ma powodu do paniki, bo moja prawdziwa rzeczywistość czeka tuż za rogiem. No i przygotowałam się psychicznie, gotowa przyjąć wszystko, każdą tajemnicę, jaką ujawni mi moja niespodziewana towarzyszka.

– A więc... – zaczęłam – skoro nie jesteś wytworem mojej wyobraźni, to kim jesteś?

Maya znów delikatnie wzruszyła ramionami.

– Po prostu twoją przyjaciółką.

– Ale przecież ja... – No tak, chciałam powiedzieć: „Nie mam żadnych przyjaciół”. Może i zabrzmiałoby to melodramatycznie, ale co tam, skoro taka jest prawda. Nie mam, bo jeśli nie otworzysz serca przed ludźmi, to ci ludzie nie mogą cię zranić.

Maya uniosła znacząco brwi, jakbym to wszystko powiedziała na głos. A ja skrzyżowałam ramiona na piersi w obronnym, może nawet demonstracyjnym geście. W końcu nie musiałam się tłumaczyć z niczego i przed nikim, w tym i przed tą obcą kobietą. Jednak rozczarowanie malujące się na twarzy Mai sprawiło, że zelżałam, bo coś do mnie dotarło. Nie wiedziałam, gdzie jestem i z jakiego powodu tu się znalazłam, dlatego walka z jedyną osobą, która może udzielić mi odpowiedzi, to czysty bezsens.

Mocno więc spuściłam z tonu.

– Chcę wrócić do swojego życia, do swoich rzeczy – powiedziałam

spokojnym, niemal proszącym tonem.

– Tutaj też to masz.

– Nie bardzo. Nawet nie wiem, gdzie jest to „tutaj”. Chcę wrócić do domu.

– Dlaczego, skoro wcale nie byłaś tam szczęśliwa?

– Byłam! – Niestety ta deklaracja nawet w moich uszach zabrzmiała fałszywie. – A co, może nie?

Maya odczekała chwilę, by cisza przemówiła sama za siebie, a ja przetrawiałam swoje słowa. Oczywiście, że bywałam rozżalona, a czasami myślałam, że moje życie mogłoby się zmienić na lepsze, ale to wcale nie znaczy, że byłam nieszczęśliwa. Martwiłam się tylko, że jednak mogę pójść tą samą drogą co matka. Ale w końcu każdy ma te swoje „co by było, gdyby...”, prawda?

– To twoja szansa, Jenno. Możesz dowiedzieć się, kim mogłabyś być, odpowiedzieć na swoje „co by było, gdyby...”.

Pokręciłam głową. Nie chciałam niczego zgłębiać, po prostu pragnęłam wrócić tam, gdzie wszystko jest mi dobrze znane.

– Istnieją pewne reguły, Mayu...

– Naprawdę? Kto tak twierdzi?

– Wszyscy. Przecież w całym wszechświecie panuje jakiś porządek oparty na logice i nic nie dzieje się bez powodu. Żadna... zjawą nie przenosi nas do alternatywnej rzeczywistości.

– Może tak – odparła Maya raczej nieurazona tym, że nazwałam ją zjawą. – Może w naturze człowieka jest pragnienie porządku, przyczyny i logiki, a jednocześnie może ludzie nie dostrzegają wielu rzeczy, które wymykają się tym regułom.

Od tych wszystkich „może” rozsadzało mi już głowę. Przycisnęłam więc palce do skroni, mając nadzieję, że ten wirujący chaos w moim mózgu choć trochę zwolni, i odezwałam się płaczącym tonem rozżalonego dziecka:

– Czuję się tak bardzo zagubiona.

Maya wzięła mnie za rękę i przytrzymała w ciepłej dłoni.

– Dlatego tu jestem, dziecko. Żeby pomóc ci odnaleźć swoją drogę. – Odwróciła moją dłoń, położyła na niej broszkę i pozaginała moje palce, by ją przytrzymały. – Wszystko, co powinnaś wiedzieć, jest tutaj.

No nie! Miałam nadzieję, że odpowie mi na moje pytania, a tymczasem jej mistyczne trele-morele sprawiły, że tych pytań jest jeszcze więcej.

– Nie widzę w tym żadnego sensu – mruknęłam.

– Twoim zadaniem jest sprawić, by tego sensu nabrało. Oczywiście możesz wciąż zaprzeczać temu, czego doświadczasz, ale uprzedzam, będzie to tylko strata czasu. Lepiej spędzać go inaczej, starając się zrozumieć, dlaczego tu się znalazłaś. Przyglądaj się wszystkiemu bacznie, ucz się i słuchaj. – Puściła moją rękę, wstała i ruszyła przed siebie, jednak po kilku krokach przystanęła. – Aha, coś jeszcze!

Poderwałam głowę, mając nadzieję, że wreszcie usłyszę coś mądrego, co mną pokieruje.

Oczy Mai roziskrzyły się.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Jenno!

Ponownie zrobiła w tył zwrot i odeszła, tym razem definitywnie.

Podjeżdżając pod dom, odczułam wielką ulgę, kiedy zobaczyłam, że na podjeździe nie widać wozu Parkera. Absolutnie nie miałam ochoty z nim się spotkać. Kiedyś tak, ale nie dziś, po tym wszystkim, co wydarzyło się tego wieczoru!

Weszłam do kuchni, gdzie pachniało cytrynami i cynamonem. Te zapachy obudziły wspomnienia, co było bez sensu. Bo co ja tam będę wahać i wzruszać się, że jest jak w domu, kiedy mój prawdziwy dom rozpląnął się we mgle, a tego obecnego domu to ja w ogóle nie pamiętam. A więc co to za dom? Żaden.

Postawiłam czajnik na kuchence i kiedy czekałam, aż woda się zagotuje, w mojej głowie huczało od pytań. Po chwili do kuchni weszła matka, skinęła głową i bez słowa usiadła przy kuchennym stole. Więc ja również milczałam i nie pytając o nic, zrobiłam dwie filiżanki herbaty. Postawiłam je na stole i sama przy tym stole też usiadłam. A tak, bo w kuchni zawsze jest miło i przytulnie, i łatwiej tu się rozmawia niż w pokoju jadalnym czy salonie.

– Parker musiał wyjechać – oznajmiła matka i odkroiła sobie kawałek ciasta.

Nadal milczałam, bo nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

– On martwi się o ciebie, Jen. Wydaje mi się, że obwinia siebie o wszystko, co w twoim życiu poszło nie tak.

Czy to możliwe? Że w sytuacji, gdy tragiczne samobójstwo matki jednak nie doszło do skutku, winę za moje niepowodzenia zrzuciłam na kogoś innego? Jeśli taka jest prawda, to jak to świadczy o mnie?

– Nie ma powodu do niepokoju, mamo. – Wzruszyłam ramionami. – Po prostu obecnie mam mnóstwo na głowie, to wszystko.

Ta troska starszego brata po prostu działała mi na nerwy. Ciekawiło mnie, czy nie od zawsze był apodyktyczny. A moja reakcja w sumie była usprawiedliwiona, skoro zawsze zajmowałam pozycję tej najstarszej. Byłam kimś, kto o wszystko się troszczył, i wcale mi się nie uśmiechało, że oto nagle tytuł najstarszego z potomstwa przechodzi na kogoś innego. Miał być pierworodnym synem, ale młodszym bratem! Choć nie miało to sensu, chodziło przecież o rzeczywistość, w której Cassie nie istniała, czułam się jednak głęboko urażona, że tu, w tej rzeczywistości, istnieje mój brat. Czyli zamieniłam młodszą siostrę, którą kochałam, na starszego brata, którego w ogóle nie znałam. Nie, to nie było fair.

Jeszcze coś należało wziąć pod rozwagę, bo nie mogłam oszukiwać samej siebie. Byłam zazdrosna, co też było bez sensu. Ale byłam, bo Parker nie musiał walczyć o przetrwanie w świecie bez matki. Nie przypominano mu nieustannie, że

jego urodziny to wcale nie jest radosny dzień, tylko dzień żałoby. Miał wszystko, czego ja byłam pozbawiona. Miał fantastyczną matkę i życie, w którym na pewno nie było żadnego dramatu. Czyli ukradł to, co powinno być moje.

Nie, dość już rozmyślania o tych przykrych sprawach. Potrząsnęłam sobą raz a mocno i skupiłam się na matce, z którą czas obchodził się łaskawie. Miała lat pięćdziesiąt trzy, a jedyne zmarszczki na jej twarzy to zmarszczki mimiczne. Tak, a przecież ja za nic nie mogłam przypomnieć sobie śmiechu matki, tylko histeryczny płacz za zamkniętymi drzwiami, a jeśli uśmiech, to na pewno niewesoły, często pogardliwy, z tym że tę pogardę kierowała do siebie samej. A ta matka była całkiem inna. Miała roziskrzony wzrok i cała była w uśmiechach.

PATRZ, UCZ SIĘ, SŁUCHAJ.

Tak, chyba nadszedł czas, by się do tego zabrać. Ale jak? Kręcąc w filizance torebką z herbatą, starałam się usilnie znaleźć odpowiedni temat do rozmowy. Odpowiedni, czyli dla mnie bezpieczny, a na moje wyczucie jedynym bezpiecznym tematem były wiersze matki.

– Mamo, napisałaś jakieś nowe wiersze?

Jej ręka z widelczykiem z kawałkiem ciasta zawisła w powietrzu.

– Wiersze? Dlaczego pytasz, skoro nie piszę już od wieków? Jestem zaskoczona, że pamiętasz, że w ogóle kiedykolwiek pisałam.

W tej rzeczywistości, zaskakującej na każdym kroku, ta wiadomość najbardziej mnie zaskoczyła. Tworzenie poezji to była prawdziwa pasja matki, Tak naprawdę właśnie z tego składał się cały jej świat. W wierszach otwierała i duszę, i serce. Marjorie Parker Hall miała mnóstwo wad i była kiepską matką, ale przede wszystkim była wspaniałą poetką, dlatego nie umiałam pogodzić się z tym, po prostu przyjąć do wiadomości, że jej wiersze to już tylko przeszłość.

– Mamo, dlaczego przestałaś, skoro tworzenie poezji było dla ciebie wszystkim?

Zauważyłam, że po jej twarzy przemknął cień. Posmutniała, ale tylko na moment, a jej rysy stwardniały. Takiej matki nigdy jeszcze nie widziałam.

– Bo zawsze należy wybierać to, co w naszym życiu jest najważniejsze. Ja miałam rodzinę i to o niej powinnam myśleć. O swoich dzieciach.

Ta krótka deklaracja zabolowała mnie najbardziej. Przecież to właśnie było moim najgorętszym marzeniem! Kiedyś, jeszcze jako dziecko, podarłam jedną z książek z jej wierszami. Darłam na strzępy jedną kartkę za drugą, bo matce bardziej zależało na poezji niż na mnie. Matka wtedy wyjechała, a ja bardzo chciałam, by jak najprędzej wróciła już do domu. Niestety wiedziałam już, że miłość małej istotki nie może konkurować z uwielbieniem ze strony czytelników.

Patrzyłam, jak kawałeczki papieru sfruwają na podłogę. Na początku dawało mi to satysfakcję. Czulałam się tak, jakbym odzyskiwała matkę. Zaraz jednak poczułam się nijako, niestety niemożliwe już było doprowadzenie książki do

porządku. Zaczęłam więc zbierać z podłogi kawałeczki papieru, rozglądając się po pokoju i zastanawiając się, gdzie je ukryć. Moje ręce przesuwały się po szorstkich dębowych deskach podłogi, gorączkowo zmiatając palcami kawałki papieru w jedno miejsce. Tak gorączkowo, że właściwie nie czułam, kiedy w palec wbiła mi się drzazga. Ale gdy po chwili zauważyłam tę drzazgę, zaczęłam ją wyciągać, a krew jak krople łez spadała na wiersze, wsiąkała w papier, jakby słowa matki były jej spragnione. Ten widok wręcz mnie zahipnotyzował. Nie potrafiłam jeszcze wtedy oddać tego słowami, ale czułam, że to jakiś znak.

Bardzo chciałam mieć matkę, która postawi mnie na pierwszym miejscu, chciałam być dla niej ważniejsza niż jej własny ból i smutek. Teraz spojrzałam na to inaczej. Bo zyskując sama, odbierałam światu kogoś, kto miał tak wiele do powiedzenia.

– Nie żałujesz tego? – spytałam, prawie bojąc się, jaką usłyszę odpowiedź.

– Czy żałuję? Absolutnie nie. Jestem bardzo zadowolona, że dokonałam takiego wyboru.

Nieprawda! Wyczuwałam, jak wiele w niej tęsknoty. I mimo że zaprzeczyła stanowczo, nie dałam się oszukać. Jej uśmiech to tylko maska, a ja byłam jedynym człowiekiem na świecie, który wiedział, ile ją kosztowało wytrwanie w tej masce. Wiedziałam doskonale, ile wysiłku z jej strony wymaga włożenie tej maski rano. I jak wielką ulgę czuje wieczorem, kiedy wreszcie może ją zdjąć.

– Pamiętasz swój ostatni wiersz?

Nie zawahała się ani przez sekundę, a odpowiedź wcale mnie nie zaskoczyła:

– Tak, „Dom Łez”. To było bardzo mroczne miejsce – powiedziała, patrząc pustym wzrokiem gdzieś przed siebie, w dal. Na pewno miała przed oczami przeszłość. – Musiałam podjąć bardzo ważną decyzję, która miała zaważyć na moim dalszym życiu. Wiedziałam, że jeśli podejmę złą decyzję, nie będę w stanie wytrzymać ze sobą. Tak, nie będę potrafiła dalej z tym żyć.

– I podjęłaś? To znaczy słuszną decyzję?

Uśmiechnęła się, a w jej oczach nie było cienia wątpliwości.

– Naturalnie! Podjęłam jedyną słuszną decyzję. Gdybym podjęła inną, nie potrafiłabym dalej żyć.

Wybory...

Oczywiście kusilo mnie, by pokazać jej wiersz, który miałam na kartce w kieszeni, ale powstrzymałam się z obawy, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Dotknęłam broszki przy kołnierzyku, broszki, którą podarował mi brat. Zrobiłam to bezwiednie. Ręka sama się uniosła, palce pogłaskały miniaturowe gałązki. Bo wreszcie dowiedziałam się czegoś nowego i bardzo istotnego. Ale nie spytałam, jaka to była dokładnie decyzja, do podjęcia której została zmuszona. Uznałam, że to sprawa zbyt osobista, a ja i tak już czułam się jak intruz. W każdym razie jednego byłam pewna. Niezależnie od tego, co konkretnie matka

zdecydowała, wybrała życie, a nie śmierć, bo wybrała taką drogę przez czas, która dała jej zadowolenie, dzięki czemu udało jej się wyciszyć wewnętrzny głos, głos poetki domagający się wyzwolenia. A to sprawiło, że zdołała przetrwać.

Wzięłam ją za rękę. Jej dłoń była silna, dłoń osoby niezależnej. W głowie nadal roiło się od pytań, ale nie pytałam już o nic, czując błogi spokój. Bo wcale mojej matki z tamtego świata nie straciłam. Wiedziałam już, że nadal istnieje gdzieś we wszechświecie i podąża drogą niemało uczęszczaną.

Moja herbata wystygła, ale i tak ją wypiałam, żeby pozbyć się słodczy na języku po zjedzeniu urodzinowego tortu.

– Dlaczego tak mnie dzisiaj wypytujesz? – spytała matka.

– Sama nie wiem. Może dlatego, że w dniu urodzin wpadłam w nostalgiczny nastrój.

– Zawsze lubiłaś rozpamiętywać przeszłość.

Omam nie prychnęłam. Omam, bo na szczęście udało mi się od tego powstrzymać. A moja reakcja wynikała stąd, że nie spodziewałam się tak ważnej informacji. Bo istotnie lubiłam grzebać w przeszłości, a więc istniało jednak coś, co było takie same i teraz, i w moim poprzednim życiu.

– Musisz uważać, Jenno. Łatwo można się pogubić, jeśli człowiek wciąż spogląda wstecz, zamiast tam, gdzie podąża. Przeszłości nie można już zmienić. Człowiek panuje tylko i wyłącznie nad dniem dzisiejszym.

Miałam wielką ochotę z tym podyskutować, ale w porę ugryzłam się w język, bo jej słowa były bardzo mądre i świadczyły o tym, że poetka tłąca się w matce nie została jeszcze kompletnie stłamszona i kiedyś otrzyma prawo głosu. Ale nie będzie rozdzierać szat. Postawi na nadzieję.

Było jeszcze coś, czego koniecznie chciałam się dowiedzieć, ale nie mogłam zapytać o to wprost. Starając się, by zabrzmiało to neutralnie, bez żadnych emocji, spytałam, czy kiedykolwiek myślała o jeszcze jednym dziecku.

– Może i tak. Zawsze chciałam mieć dużą rodzinę. Gdyby twój ojciec nie odszedł od nas... Ach! Myślę, że po prostu nie było mi przeznaczone. Ale nie narzekam. Ty i twój brat jesteście dla mnie wszystkim. Lepszych dzieci nie mogłabym sobie wymarzyć.

Bardzo chciałam powiedzieć jej o Cassie, mojej cudnej słodkiej Cassie, która potrafi sobą rozjaśnić najbardziej pochmurny dzień i rozśmieszyć nawet wtedy, kiedy człowiek jest kompletnie załamany. Opowiedzieć, jak Cassie w zerówce siedzi na podłodze ze swoją klasą i mówi coś, a wszystkie dzieci, co do jednego, wlepiają w nią oczy i słuchają jak zaczarowane. Ale nie mogłam tego zrobić. Opowiadałabym przecież o dziecku, którego nie mogła mieć, byłoby to więc z mojej strony okrutne i niczego by nie dało. Moja matka nie może cofnąć się w czasie, nic nie może zmienić. Nikt z nas nie jest w stanie tego dokonać, jako że panujemy tylko nad dniem dzisiejszym.

Rozmawialiśmy długo, godzinę, dwie, może nawet dłużej. Była to zwyczajna, serdeczna rozmowa, taka, jaką na całym świecie prowadzą matki i córki przy kuchennym stole. Po raz pierwszy więc w życiu tak samo jak tamto dziecko, postać fikcyjna z „Kwiatów dla Algernona”, poczułam, co to jest ta więź matki z córką. I naprawdę zrozumiałam, co straciłam, kiedy moja matka umarła.

A kiedy w końcu poszłam spać, zasnęłam natychmiast, i tej nocy nie miałam żadnych snów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy obudziłam się, czułam się fantastycznie, bo jak w domu, jak u siebie. I nie tylko dlatego, że obudziłam się w swoim pokoju. Także dlatego, że czułam się świetnie jako ja, w swojej skórze. Usiadłam na łóżku, przeciągnęłam się i rozejrzałam dookoła po moim pokoju. Ściany były jasne, złociste, w kolorze słońca. Nigdy w życiu nie wybrałabym takiego koloru, ale tu jakoś mi pasował, zwłaszcza rano, gdy pierwsze promienie porannego słońca zaglądały przez cienkie firanki z białej koronki.

Co czułam, witając nowy dzień? Przede wszystkim ciekawość, bo na pewno niejedno wydarzy się tego dnia. Wskoczyłam z łóżka i zaczęłam przeglądać ubrania w szafie, szukając czegoś, co byłoby bardziej w moim stylu. I okazało się, że to żaden problem. Od razu znalazłam mięciutkie sprane dżinsy i T-shirt koloru oberżyny. Ubrałam się i przeczesałam grzebieniem włosy, na których nie było śladu czarnej farby, za to ujawnił się naturalny kolor, karmelowy, doskonale współgrający z kolorem skóry. Moja twarz w lustrze też wydała mi się zmieniona, i to tak bardzo, że w pierwszej chwili pomyślałam, czy to naprawdę ja. Była o wiele łagodniejsza. Zapadnięte policzki wypełniły się, dzięki czemu wyglądałam znacznie młodziej. Nie, nie posunę się do tego, by powiedzieć, że wyglądałam na kobietę szczęśliwą, ale na zadowoloną na pewno, co trochę mnie zaniepokoiło. Bo ten stan ducha to jednak ryzyko, skoro człowiek zadowolony ma coś do stracenia, prawda?

Rzuciłam ostatnie spojrzenie na tę trochę mi obcą istotę w lustrze i odwróciłam się, by podążyć za głosem dobiegającym z kuchni. Ktoś sobie podśpiewywał. Kto? Moja matka, niewątpliwie zajęta szykowaniem śniadania.

– Czyżby naleśniki?

– O, Jennie! Już jesteś! Wiem, że masz zamiar tylko złapać w przelocie jogurt, ale chciałam ci zaproponować coś konkretnego.

Ileż to razy w dzieciństwie marzyłam, by coś takiego właśnie się wydarzyło? Kochająca matka chce mieć pewność, że jej pociecha przed pójściem do szkoły zje porządne śniadanie. A kiedy pociecha wróci ze szkoły, kochająca matka przywita ją, całując w czoło, i pomoże w odrabianiu lekcji. No i proszę, kochająca mamusia pojawia się właśnie teraz, kiedy już nie potrzebuję matczynej opieki, bo nauczyłam się, jak sama walczyć o przetrwanie.

Ale miło było to usłyszeć, a naleśniki zjem z rozkoszą.

Nalałam sobie kawy i siadłam przy stole. Filiżankę podniosłam do ust w tym samym momencie, gdy matka podsunęła mi cukierniczkę. A ja przecież nie słodziłam, więc wypilałam pierwszy łyk i skrzywiłam się.

– Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do czarnej kawy! Ale postanowiłam, że

koniec z cukrem i śmietanką.

– O proszę. A od kiedy tak się umartwiasz?

– Od kiedyś tam. Pomyślałam, że im mniej kalorii, tym lepiej.

Małe niewinne kłamstewko, po prostu nic w porównaniu z monstualnym kłamstwem, jakim jest obecna sytuacja, kiedy siedzę w kuchni razem ze zmarłą przed dwudziestoma laty matką i gadamy sobie o naleśnikach oraz kawie.

Wszystko tu, niestety, opiera się na kłamstwie. Moja matka niewątpliwie jest pewna, że ona i siedząca naprzeciwko niej córka mają mnóstwo wspólnych wspomnień. A to nieprawda. Mam tylko wspomnienia o tamtej matce, sprzed wielu lat, a więc już mgliste. Pozostawiła również w moim sercu narastający z biegiem lat gniew, a w głowie mnóstwo pytań, na które zapewne nigdy nie uzyskam odpowiedzi. Pytania typu:

Dlaczego zabiłaś się wiele lat temu?

I to najważniejsze:

Czy mogłam coś zrobić, by cię uratować?

Przez większą część życia wrzeszczałam na duchy, a teraz, kiedy matka była ze mną, i tak nie potrafiłam tego wszystkiego wyrzucić z siebie. Nie mogłam żądać wyjaśnień dotyczących czegoś, co w jej rozumieniu w ogóle się nie zdarzyło.

Zrobiłam głęboki wdech, postanawiając dać sobie spokój z przeszłością i skupić się na tym, co tu i teraz.

– Masz dziś ciężki dzień? – spytałam, spoglądając znacząco na jej kostium biznesowy.

– Urwanie głowy przez cały tydzień – odparła, stawiając na stole talerz z okrągłymi naleśniczkami ociekającymi gęstym, słodkim syropem. – Trwa Ogólnokrajowy Tydzień Bibliotek, więc będzie się działo. Dzisiaj mam spotkanie z czwartą klasą ze szkoły podstawowej w Mourningkill.

Czyli pracowała w bibliotece, co miało sens. Mistrzynie słowa wśród książek. Czy kiedy głaskała ich grzbiety, przemykały przez jej głowę słowa, z których mogły powstać wiersze, lecz nie powstały?

Kiedyś potrafiłam godzinami przesiadywać w bibliotece wśród książek z bajkami. Czytałam i czytałam, zapominając o całym świecie. Do dziś pamiętam ten dreszcz emocji, kiedy dostałam swoją pierwszą kartę biblioteczną i otwarły się przede mną drzwi do tysięcy nowych światów. Pamiętałam też, jak byłam poruszona i zaciekawiona za każdym razem, gdy przekraczałam próg biblioteki.

– Chyba będzie ciekawie, prawda, mam? Nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym pojechała tam z tobą?

– Ależ oczywiście, że nie. Byłoby mi bardzo miło. Ale przecież ty, niestety, masz dziś to spotkanie.

– Spotkanie?!

– Tak, spotkanie. Tylko nie mów, że zapomniałaś! Parkerowi nie było łatwo

umówić cię na tę rozmowę o pracę. Naprawdę się postarał, więc nie możesz go zawieść.

O nie! Jakby tego wszystkiego było jeszcze za mało, dodatkowo będę przerabiać poczucie winy. Chociaż z drugiej strony powinnam się cieszyć, bo wiem już coś konkretnego o mojej skromnej osobie. Nadal nie mam pracy, choć obiecałam, że będę szukać. A Parker zgodnie z tym, co przeczytałam w pamiętniku, zamierza mi w tym pomóc, ponieważ uważa, że absolutnie nie powinnam już być na garnuszku matki.

Poprzedniego dnia wieczorem dużo myślałam o sytuacji, w jakiej się znalazłam. Jeśli nie był to sen, znaczyło to, że jakimś sposobem znalazłam się w alternatywnej rzeczywistości. Czyli to życie tutaj nie było moje. Czyje więc? Gdzie była teraz dusza kobiety, w której ciele zamieszkałam? Kiedy wrócę do tamtego, mojego świata? Czy po moim powrocie tutejsza rzeczywistość przestanie istnieć, czy też będzie istnieć dalej i ta kobieta, w której ciele zamieszkałam, po powrocie przekona się, że podczas jej nieobecności porządnie narozrabiałam w jej życiu? Ta możliwość przyprawiała mnie o ból głowy i uznałam, że stanowczo powinnam porozmawiać o tym z moją przyjaciółką Mayą. O ile kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę.

Maya powiedziała mi, że mam obserwować, uczyć się i słuchać. W pewnym sensie chodziło więc o podróż, ale nie taką prawdziwą, z miejsca na miejsce, tylko o podróż wewnętrzną, o wędrówkę umysłu i serca. Miałam wielką nadzieję, że rezultatem tej wewnętrznej podróży będzie ta normalna i w końcu znajdę się tam, gdzie powinnam być. A dopóki tak się nie stanie, najlepiej zrobię, jeśli będę po prostu potulnie przerabiać życie w tej rzeczywistości. Mam się wsłuchiwać w to, co podpowiada mi instynkt, no i oczywiście wywiązywać się ze swoich tutejszych obowiązków. Skoro jestem umówiona na rozmowę w sprawie pracy, powinnam tam pójść. Czemu nie? Trzeba tylko się dowiedzieć, gdzie i kiedy ma odbyć się ta rozmowa. Ostentacyjnie rozejrzałam się po pokoju.

– Ojej! Zapomniałam, gdzie położyłam kartkę, na której zapisałam, kiedy ma się odbyć ta rozmowa i gdzie.

– W twojej teczce. – Matka wstała, podeszła do szafy i po minucie wróciła ze skórzaną teczką, którą postawiła na stole tuż przede mną. – Masz tu wszystko, co jest ci potrzebne.

Pokiwałam głową, wpatrując się w ową teczkę. Nie, takiej teczki sama bym sobie nie kupiła. Prawdopodobnie był to prezent od starszego brata, tak skorego do pomocy. Miałam nadzieję, że w tej teczce faktycznie jest wszystko, czego mi teraz potrzeba. A może i trochę więcej, może coś, co okaże się ważną i pomocną informacją. Bo o jaką w końcu pracę tu chodzi i czy istotnie mam odpowiednie kwalifikacje? W moim świecie byłam barmanką w klubie, gdzie grają hard rocka. W tym natomiast świecie, o ile można było wierzyć wszystkiemu, co wyczytałam

w pamiętniku, stawiałam na muzykę i miałam wielkie aspiracje. Ale o co chodziło dokładnie? Co ja w ogóle umiałam? Tu, w tym innym świecie?

– Jenno... – zagadnęła matka, kładąc rękę na moim ramieniu. – Doskonale wiem, że to nie jest to, czego tak naprawdę szukasz, ale płacą nieźle, a przede wszystkim byłoby dobrze, gdybyś już miała jakieś zajęcie.

Sięgnęła po brudne talerze, ale zaprotestowałam. Ja pozmywam. Oczywiście, tym bardziej że to ona, mimo że tak bardzo zajęta, zrobiła nam pyszne śniadanie.

Matka nachyliła się i pocałowała mnie w czoło.

– W takim razie na mnie już czas. A ty, kiedy będziesz już po tej rozmowie, wpadnij do biblioteki i opowiesz mi, jak ci poszło.

– Oczywiście, że wpadnę, mam. A więc do zobaczenia!

Kiedy tylko usłyszałam, że matka zapuściła silnik, podskoczyłam do skórzanej teczki. W środku znalazłam drugą teczkę, na dokumenty, w której były starannie poukładane wszystkie papiery potrzebne do rozmowy o pracę. Na wizytówce, przypiętej do mojego CV, był naturalnie adres firmy, więc z dojechaniem nie powinnam mieć problemów. Szybko przebiegłam oczami po CV, zaskoczona, że mam tak niewielkie kwalifikacje, nawet gdyby chodziło o pracę dla początkujących, bez żadnego doświadczenia zawodowego. Ograniczało się do pracy dorywczej jako kelnerka, kasjerka i dekorator wyrobów cukierniczych. Czyli szanse raczej niewielkie. Szczerze mówiąc, to ja sama bym siebie nie zatrudniła.

Kiedy czytałam jednak dalej, dowiedziałam się, że ubiegam się o pracę jako recepcjonistka i maszynistka. Czyli w sumie nic trudnego. Stukać szybko w klawiaturę potrafię, bo kto tego nie umie w dzisiejszych czasach? Chyba wszyscy. Poza tym potrafię się miło uśmiechać i przyjmować telefony. Może więc mam jednak jakieś kwalifikacje do pracy dla początkujących. A to spotkanie miało się odbyć za półtorej godziny, mam więc sporo czasu, żeby się przygotować.

Przed wszystkim jeszcze raz bardzo dokładnie przejrzałam teczkę, wiedziona nadzieją, że znajdę tam coś jeszcze, co może mi się przydać. I znalazłam. Terminarz. Kiedy przeglądałam adresy, niespodziewanie natrafiłam na nazwisko mego ojca. No proszę, a mi nawet do głowy nie przyszło, by o niego spytać. A tu jest jego nazwisko. Czy to oznacza, że ojciec również żyje? Jak by zareagował, gdybym do niego zadzwoniła? Matka mówiła, że odszedł od nas, gdy byłam niemowlęciem. Czy utrzymywał z nami kontakt? Nic mi na ten temat nie wiadomo. W każdym razie jeśli istnieje w tej rzeczywistości, musi gdzieś tu być numer jego telefonu.

Czyli jeszcze jedno pytanie. Jakby było ich za mało!

Rozmowa o pracę poszła nieźle. Byłam pewna, że nie zrobiłam z siebie idiotki i nie rozczarowałam... brata – zadziwiająco, jak łatwo mi przyszło wypowiedzieć to właśnie słowo – z którym powinnam się dogadać chociażby

dlatego, że matce wyraźnie na tym zależy.

Zaraz po tej rozmowie poszłam do biblioteki i jak zwykle, kiedy przekraczałam jej próg, czułam dreszcz emocji. Kochałam bibliotekę od dziecka. Było to miejsce, do którego zawsze przychodziłam, gdy chciałam ukryć się przed całym światem. Nigdy i nigdzie nie czułam się tak dobrze, jak właśnie tutaj.

Już samo przejście między regałami uginającymi się od książek było wielkim przeżyciem. Szłam, wdychając ten jedyny w swoim rodzaju zapach starych książek kryjących w sobie bezkresny świat tajemnic, i marzyłam o tym, że kiedyś schowam się tu gdzieś, poczekam, aż bibliotekę zamkną i wszyscy pójdą do domu. I potem będę miała całą bibliotekę dla siebie. To marzenie nadal we mnie żyło, w tej części mnie, która pozostała dziewczynką, dla której świat był miejscem nieograniczonych możliwości.

Od zawsze wolałam przebywać w otoczeniu książek, a nie ludzi, i być raczej biernym obserwatorem życia, a nie pełnym zapału uczestnikiem. Pochłaniałam jedną książkę za drugą, starając się nie myśleć o tym, że bardzo chętnie sama bym coś napisała, tworząc swoje własne światy. Ale nie sięgałam po pióro. Dlaczego? Ponieważ obawiałam się, że wtedy byłabym jeszcze mocniej związana z matką, z jej losem, którego bałam się panicznie. A zresztą nawet gdybym uległa pokusie, czymże bym była w porównaniu z własną matką, kultową poetką, o której pamięć wciąż żyła? Poprzeczka została ustawiona zbyt wysoko, dlatego wolałam nasiąkać słowami innych pisarek, a własne słowa zdławić.

Przeszłam do działu poezji, gdzie były półki oznaczone „autorzy miejscowi”. Zawsze stały tam również cienkie tomiki wierszy matki. Teraz ich nie było. Ani jednej książki Marjorie Parker Hall, tylko inni autorzy. Kiedy to zobaczyłam, mimo że nie cierpiałam tej jej pisaniny, zrobiło mi się smutno. Jakbym coś straciła.

Pamiętałam, jak w tej właśnie bibliotece siedziałam cicho w kącie, kiedy matka czytała swoje wiersze. Mocno poruszeni ludzie chłonęli każde jej słowo. Nie wiedzieli, ile te słowa ją kosztowały, a przecież każde wydarte było z głębi duszy. Ale to wszystko minęło. Czytelnicy na całym świecie nigdy nie pojmą, jak wiele stracili.

Teraz, schowana w kącie, patrzyłam, jak matka czyta coś dzieciom ze szkoły zgromadzonym wokół niej. Jej głos był dźwięczny, melodyjny, a w opowiadaniu, które czytała, nie było żadnych jej słów, tych wydzieranych z duszy. Jeśli czegoś żałowała, to i tak nie dała tego po sobie poznać. A dzieci słuchały z zapartym tchem i był to tak miły obrazek, że koło mego serca od razu zrobiło się cieplej. Byłam z niej dumna. I taka zaspokojona. Świat stracił poetkę, owszem, ale ja w jakiś sposób zyskałam matkę. Moim zdaniem była to uczciwa wymiana. Tylko jaką cenę przyszło za to zapłacić?

Jeszcze zanim skończyła czytać i dzieci rozpierzchły się, wyszłam z ukrycia. Twarz matki na mój widok pojaśniała w uśmiechu, ja zaś pomyślałam, że ta

wymiana była nadzwyczaj sprawiedliwa, i rozczulona uściskałam matkę wyjątkowo serdecznie.

– Wspaniale radzisz sobie z dziećmi – powiedziałam, na szczęście w ostatniej chwili powstrzymując się od dodania, że wiadomo, dlaczego Cassie jest, jaka jest.

– Lata pracy robią swoje, kochanie! – odparła matka, nadal uśmiechając się promiennie, a ja nie po raz pierwszy pomyślałam z goryczą, że zostałam oszukana, bo nie dano mi życia, które powinno być moje. Odchrząknęłam, starając się jednak za bardzo nie rozżalać. Bo i po co, skoro i tak mam tyle powodów do rozżalenia przez tamto poprzednie życie. Lepiej wziąć się w garść i zacząć zdobywać informacje, ku czemu, jak można mniemać, wreszcie będzie okazja.

– Mamo, czy jest szansa na wspólny lunch?

– Niestety, kochanie, to niemożliwe. Jestem bardzo zajęta.

Sprawiła wrażenie, jakby naprawdę tego żałowała, ale ja i tak zacisnęłam pięści, bo do głosu doszedł tak długo trzymany na wodzy żal porzuconego dziecka.

– Może innym razem – dodała matka bez emocji, jakby nic wielkiego się nie stało.

Dla mnie, Niestety, się stało.

– Może – powiedziałam, wcale nie taka pewna, czy w ogóle kiedykolwiek będzie ten inny raz. Bo jak długo może trwać ta niby-bajka, która teraz się dzieje? Być może już jutro, kiedy rano otworzę oczy, okaże się, że jestem tam, gdzie byłam przedtem. Stoję sama przy grobie matki, jak zwykle zamysłona, tym razem zastanawiając się nad odpowiedziami na pewne pytania. Odpowiedziami, które matka zabrała ze sobą do grobu. Dlatego każda minuta spędzona z tym wariantem matki była dla mnie bezcenna i bardzo, ale to bardzo chciałam z nią pójść na ten lunch. Niestety nie mogłam jej o tym powiedzieć, bo wyszłabym na wariatkę, a stanowczo wolałam, żeby nikt mnie o to nie podejrzewał. Tym bardziej że starałam się usilnie przekonać samą siebie, że z moją głową wszystko w porządku. Poza tym mama faktycznie jest bardzo zajęta, więc dajmy już sobie z tym spokój.

Gdy poderwałam głowę, zauważyłam w kącie jakąś panią. Siedziała sobie z otwartą książką na kolanach.

Maya?

Natychmiast ruszyłam w tamtą stronę, tym razem zdecydowana dowiedzieć się czegoś właśnie od Mai. Bo niezależnie od tego, kim była, aniołem, przewodniczką duchową czy też po prostu jednym z wytworów mojej wyobraźni, nie pojawiła się tu bez przyczyny.

Ustawiłam sobie krzesło naprzeciwko niej i usiadłam, wlepiając w nią oczy. Jakbym szukała jakichś oznak.

Ale jakich?!

Czyżbym spodziewała się, że na przykład zacznie rozplływać się

w powietrzu? Albo na moich oczach dokona przemiany? Zmieni się w anioła, rozwinie skrzydła i odleci?

Kiedy tak sobie rozmyślałam, nagle Maya zrobiła coś, co dla mnie było szokiem. Najpierw, wyraźnie nad czymś się zastanawiając, bezwiednie popukała się w język końcem ołówka, a potem... Potem zaczęła coś pisać na kartkach otwartej książki. Książki z biblioteki!

– Mayu! – krzyknęłam przerażona. Przecież od małego byłam nauczona szanować książki. Nie zaginać kartek, nie niszczyć okładki i przede wszystkim nie wolno w nich gryzmolić!

Poderwała głowę, położyła palec na ustach i dalej pisała.

– Mayu, nie wolno tego robić – powiedziałam wcale nie cicho.

– A dlaczego? Czy uczenie się nie jest procesem zespołowym? Zdobywamy wiedzę również na bazie doświadczeń innych ludzi. Także ich błędów. A ja właśnie przekazuję swoje przemyślenia tym, którzy również sięgną po tę książkę.

I dalej spokojnie robiła swoje notatki. Podkreślała coś tam w tekście, stawiała znaki zapytania i bazgrała na marginesie.

Nachyliłam się ku niej tak blisko, że nasze czoła prawie się stykały.

– Mayu, powiedz, jak długo tu będę.

– To zależy – odparła, wzruszając ramionami. – W życiu nie ma nic pewnego, prawda?

– Może i tak. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Kąciki jej ust drgnęły i pojawił się na nich uśmiech. Taki prawie niezauważalny, coś jak uśmiech Mony Lizy.

– Bo takiej odpowiedzi nie potrafię ci udzielić, Jenno. Mogę ci tylko pomóc, żebyś sama odpowiedziała sobie na to pytanie.

– A wiesz, że jakoś nie bardzo sobie radzę z tym szukaniem odpowiedzi na pytania.

– Czasami nie możemy znaleźć odpowiedzi, ponieważ stawiamy niewłaściwe pytanie.

– Było takie jedno pytanie, które nie dawało mi spokoju: „Jakie byłoby moje życie, gdyby moja matka nie kierowała się egoizmem i nie odebrała sobie życia, zostawiając nas same?”. Teraz już wiem. Takie jak teraz, to znaczy jestem sama jak palec, nie mam pracy, mam za to brata, z którym nie bardzo mogę się porozumieć, i matkę, której właściwie nie znam... – Pochyliłam się jeszcze bardziej i dokończyłam szeptem: – Czy wiesz, że ona nie pisze już wierszy?

– Tak, wiem... – Maya pokiwała głową. – Jej poezja rodziła się w miejscu, gdzie były ból i żal. Spójrz na nią teraz. Czy wygląda na przygnębioną?

Spojrzałam na drugi koniec sali. Na matkę taką, jaką była teraz. Zadowoloną, pełną optymizmu, spełnioną. I nagle ożyły wspomnienia z dawnych lat, wspomnienia o tych dobrych chwilach, kiedy matka była w lepszej formie. Wtedy

udawało mi się dostrzec w niej kobietę uwięzioną w mroku, która podczas remisji melancholii mobilizowała wszystkie swoje siły i starała się być dobrą matką i żoną. Z powrotem zrobić z siebie jedną normalną całość. Kiedyś na przykład poszliśmy wszyscy do zoo, jak zwyczajna rodzina. Wrzucaliśmy do automatu dwudziestopięciocentówki, a z niego wyskakiwały porcje karmy, którymi częstowało się lamy. Albo te chwile, kiedy matka brała mnie na kolana i czytała książki, które razem wybrałyśmy w bibliotece. Zwykle bajki o wróżkach i o trollach. Pamiętam, że matka w takich chwilach potrafiła śmiać się głośno, co zdarzało się bardzo rzadko.

A więc była także garść dobrych wspomnień. Dlaczego tak rzadko ożywały w pamięci? Dlaczego skoncentrowana byłam tylko i wyłącznie na niedobrych wspomnieniach i w rezultacie było tak, jakbym całą przeszłość związaną z matką pokolorowała czarną kredką?

– Oczywiście, że nie – powiedziałam. – Wygląda na szczęśliwą.

I taka mogłaby być w moim prawdziwym życiu, coś jednak ją niszczyło i doprowadziło do tragicznego końca. Co konkretnie? Bardzo chciałam znać odpowiedź na to właśnie pytanie. Bardzo, bo gdybym wiedziała, o co tu chodzi, na pewno radziłabym sobie lepiej ze swoim życiem. Dlatego koniecznie muszę z nią porozmawiać, z matką stąd. O jej przeszłości, o decyzji zmieniającej jej całe dotychczasowe życie. Bo to może być jakiś trop. Z tym że oczywiście nie będziemy rozmawiać tutaj, przy ludziach, tylko w domu. Wieczorem. Będzie to taka szczerza rozmowa. Ja naturalnie zapomnę o wszystkich urazach, bo tylko wtedy, kiedy spojrzę na wszystko obiektywnie, mogę dojść prawdy.

A ta jej decyzja... Czy rzeczywiście była słuszna? Ludzie uwielbiali jej wiersze i szkoda, że został zmarnowany tak wielki talent.

– Wszystko zależy od tego, jakiego dokona się wyboru, prawda, Mayu?

– Tak. Zgadza się. A każdego dnia dokonujemy wyboru niezliczoną ilość razy. Czasami chodzi o jakiś drobiazg, czasami o coś naprawdę ważnego, za każdym jednak razem podejmujesz decyzję, mając nieograniczone możliwości.

Wybory.

Moja matka poprzedniego dnia też o nich mówiła. Znów spojrzałam na drugi koniec sali, tam gdzie ona była. Spojrzałam i pomyślałam, że jestem tak skoncentrowana na zmianach w moim życiu, że ani razu nie zastanawiałam się nad jej rzeczywistością, rzeczywistością mojej matki. W związku z tym zaczęło mi coś świtać w głowie. Niestety tylko to, bo realnych kształtów jeszcze nie przybierało.

– A co z wyborami innych ludzi? – spytałam. – Przecież również wpływają na nasze życie.

Cisza. Więc obejrzałam się. A Mai już nie było. Rozpłynęła się w powietrzu, ale pozostał po niej ślad. Książka, którą czytała. Leżała na stole tuż przede mną, czyli przynajmniej to było realne. Podsunęłam sobie ją pod nos i spojrzałam na

notatki na marginesie. Ściślej na rysunek. Maya narysowała drzewo. Gałęzie nie do końca, bo nie mieściły się na kartce. To drzewo było dziwnie podobne do mojej broszki, a Maya wyraźnie powiedziała, że z mojej broszki mogę wyczytać wszystko, co chcę wiedzieć.

Wpatrując się w drzewo narysowane przez Mayę, pomyślałam o tych wyborach, kiedy to podejmujemy decyzję i życie toczy się dalej, ale już w inną stronę. A możliwości wyboru są faktycznie nieograniczone. Co należy więc zrobić? Czy podjąć tę jedną, naszym zdaniem słuszną decyzję, czy wykorzystać wszystkie możliwości? Przerobić wszystkie warianty i dopiero wtedy powstanie całość. Historia naszego życia.

Zamknęłam książkę i naturalnie spojrzałam na tytuł. Spojrzałam i poczułam ciarki na plecach. Bo tytuł brzmiał: „DRZWI DO NA ZAWSZE”. I chociaż teraz, w tym momencie, praktycznie na nic jeszcze sobie nie odpowiedziałam, to czułam, że zacznę formułować właściwe pytania. A najważniejsze jest pytanie, dlaczego moja matka w tej rzeczywistości żyje i cieszy się życiem. W czym musiała wtedy wybierać, kiedy – jak to sama powiedziała – podjęła słuszną decyzję? Muszę to wiedzieć chociażby dlatego, że jeśli będę wiedzieć, co działo się w tej rzeczywistości, łatwiej będzie mi rozszyfrować mój prawdziwy świat.

Parker.

Tak, chodziło o Parkera. Byłam prawie pewna, że to on jest kluczem do tego wszystkiego. Ale na czym polegała jego rola? Czy jego narodziny wykończyły matkę psychicznie, czy też przeciwnie, miała jakiś problem, ale dzięki Parkerowi wyszła na prostą?

Powinam koniecznie porozmawiać z matką o Parkerze. Ale jak to zrobić, by nie wzbudzić podejrzeń? Już wiem! Lepiej o tym porozmawiać z ojcem. Oczywiście! Przy okazji podpytam go, dlaczego od nas odszedł, a wtedy będę mogła dodać do tej układanki już dwa brakujące elementy. A więc jak? Zadzwoić? Nie, to nie jest rozmowa na telefon. Trzeba stanąć z nim twarzą w twarz.

Podeszłam do matki siedzącej za biurkiem i powiedziałam, że wychodzę, bo muszę coś tam kupić. I zobaczymy się wieczorem.

– Ale zdążysz na obiad? – spytała.

Nie wiedziałam, ile czasu zajmie mi rozmowa z ojcem i czy potem nie będę musiała gdzieś pojechać, a nie chciałam, żeby matka czekała na mnie z obiadem, kiedy ja – najprawdopodobniej – zajęta będę szukaniem wiatru w polu. Dlatego wystąpiłam z propozycją:

– Może zróbmy tak. Dziś odpuścisz sobie stanie przy kuchni, a ja kupię pizzę i postaram się o DVD z jakimś ciekawym filmem. Zgoda?

– Świetnie! To naprawdę dobry pomysł!

Rozpromieniła się, wyraźnie miała ochotę mnie uściskać, ale na szczęście

udało mi się wycofać. Tak, bo po prostu nie potrafiłam udawać zażyłości, skoro ta moja matka, mimo moich najlepszych chęci, była dla mnie człowiekiem całkowicie obcym.

Oczywiście książkę „DRZWI DO NA ZAWSZE” wypożyczyłam i zaraz potem pomknęłam do... a jakże, do drzwi. Kiedy z nich wypadłam, omal nie staranowałam kogoś, kto stał na chodniku. I na jego widok uśmiechnęłam się promiennie, bo był to ten sympatyczny agent nieruchomości, który pokazywał mnie i Cassie Dom Łez.

– Witaj! – zawołałam, wyciągając do niego rękę. – Jesteś Bob, prawda? Bob Hartwood!

Nie powinnam być zaskoczona, że natknęłam się na niego. W końcu znajdowałam się w tym samym mieście co przedtem, więc żyli tu ci sami ludzie. Niemniej widok Boba był dla mnie szokiem, zupełnie jakbym podczas wakacji w odległym kraju raptem spotkała sąsiada.

Bob przekrzywił głowę i podał mi rękę, choć był wyraźnie zaskoczony.

– Przepraszam, ale czy my się znamy?

– Ja... no bo ja...

Tak, jękałam się, zdając sobie sprawę, że jeśli powiem mu prawdę, od razu pomyśli, że oszalałam. Nie mogę wymagać od niego, by uwierzył, że oczywiście się znamy, przecież pokazywał mi niewielki dom w lesie, dom, w którym jest tajemniczy pokój, i gdy tylko w nim się znalazłam, zostałam przerzucona do innej, dziwnej, równoległej rzeczywistości.

Trzeba po prostu coś wymyślić.

– Nie pamiętasz? Poznaliśmy się na imprezie u naszych wspólnych znajomych kilka miesięcy temu.

Bob zmarszczył czoło, naturalnie usiłując sobie tę imprezę przypomnieć, co rzecz jasna było niemożliwe, więc nadal nie miał pojęcia, kim jestem. Dlatego postanowiłam mu to podpowiedzieć.

– Nazywam się Jenna Hall – oznajmiłam, niby pragnąc ożywić jego pamięć, choć było już oczywiste, że w tej osi czasu nigdy się nie spotkaliśmy. Zauważyłam też, że ma szkła kontaktowe i czuje się z nimi świetnie, ale brakowało mi tych okularów kujonka w stylu Clarka Kenta.

Uściskał lekko moją dłoń i uśmiechnął się.

– Miło mi cię... znowu widzieć, Jenno.

Zabrzmiało to szczerze i nagle, rzecz dziwna, zapragnęłam otworzyć się przed nim, opowiedzieć o wszystkim w najdrobniejszych szczegółach. Był bardzo sympatyczny i uprzejmy, więc na pewno by mnie wysłuchał, a ja czułam się już wykończona tym zagubieniem, no i samotnością na kompletnie nieznanym terenie.

– Mnie również bardzo miło – odparłam tylko tyle, przecież wiadomo, że do zwierzeń nie dojdzie.

Mimo że – jeśli faktycznie wierzyć mowie ciała – były podstawy, by uznać, że Bob, chociaż mnie nie pamięta, z wielką chęcią poznałby bliżej. A więc jak? Iść za ciosem? Bez sensu. W końcu nie jestem jeszcze tak zdesperowana, żeby chwytać się każdego sposobu. A on na pewno nie podpowie mi nic takiego, dzięki czemu mogłabym wreszcie wrócić do domu.

W rezultacie zrobiło mi się tak jakoś smutno i bez słowa odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. Ale zrobiłam tylko dwa kroki i znów się odwróciłam.

– Bob, czy ty przypadkiem nie zajmujesz się nieruchomościami? Czy też pomyliłam ciebie z kimś innym?

– Nie, nie pomyliłaś się, ale mam zamiar przerzucić się na coś innego. No, za jakiś czas. Ale dlaczego pytasz? Czyżbyś szukała domu?

– Kto wie... Może i tak!

Wyjął z kieszeni wizytówkę.

– Proszę! – Podał mi ją.

I to w szczególny sposób, bo mogłabym przysiąc, że jego palce zetknęły się z moimi celowo, z rozmysłem, i dotykały ich zdecydowanie dłużej, niż było to potrzebne.

No i dokończył:

– Zadzwoń. Na pewno znajdę dla ciebie coś idealnego.

– Dzięki. Zadzwonię – powiedziałam, wkładając wizytówkę do torebki. A Bob stał tak blisko mnie, że czułam jego zapach. Nieprawdopodobnie świeży, pachniał jak prześcieradła, które schły na letnim wietrze. Czyli zapach cudowny, a ja najchętniej wtuliłabym się twarzą w szyję Boba, żeby się nawęchać, bo taki zapach to balsam dla duszy. A gdyby mnie jeszcze objął, tak po prostu, tak naturalnie, jakby robił to już setki razy...

Byłam przekonana, że wcale nie przypadkiem natknęłam się na Boba Hartwooda. Przecież to on – naturalnie nieświadomie – otworzył przede mną drzwi Domu Łez, czyli bramę do nowej rzeczywistości. I dlatego uznałam, że z nim też trzeba będzie porozmawiać. Może uda mi się zdobyć jakieś informacje, a poza tym, co tu się oszukiwać, był tak samo przystojny jak przedtem. Kto wie, czy nie był teraz jeszcze bardziej pociągający...

Kiedy odchodziłam, czułam na sobie jego wzrok. A ja szłam i naturalnie już rozmyślałam. Ileż to razy wpadamy na kogoś i nie wiadomo dlaczego, ale czujemy się w jakiś sposób z nim związani? Ileż to nieznanymi twarzami ma w sobie jednak coś znajomego, a nasz umysł nie jest w stanie wytłumaczyć, dlaczego tak się dzieje? Po prostu tak już bywa, i w rezultacie zaczęłam się zastanawiać, czy może jest tak, że wszyscy ludzie są ze sobą w jakiś sposób związani, i każdy z nas, właśnie my wszyscy tylko czekamy na sprzyjające okoliczności, by znów się odnaleźć.

Bezradnie potrząsnęłam głową, bo wciąż nasuwają się nowe pytania. Jest ich

już multum, a odpowiedzi niewiele. I nagle poczułam, jak budzi się we mnie tęsknota. Bliżej nieokreślona, ale na pewno za człowiekiem. Zbliżyć się do kogoś, tak, nawet kompletnie obcego, nawet tylko na chwilę. A najlepiej na dłużej. Po prostu mieć kogoś przy sobie, tak jak ci ludzie dookoła. Nikt nie był sam. Chodzili parami albo we trójkę czy w czwórkę, a wszyscy są roześmiani.

A ja zawsze jestem sama...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zdążyłam zrobić zaledwie kilka kroków, kiedy usłyszałam, jak woła mnie po imieniu. Z rozpędu zrobiłam jeszcze jeden krok, uśmiechnęłam się do siebie, no i odwróciłam ciekawa, cóż takiego jeszcze usłyszę. A on – widziałam przecież – zrobił głęboki wdech i wyrzucił z siebie:

– Nie miałabyś ochoty napić się kawy?

Zawahałam się. Miałam spotkać się z ojcem, niemniej perspektywa, że spędzę jeszcze trochę czasu w towarzystwie Boba, była bardzo pociągająca. Miło pogadać z kimś swobodnie, kiedy nie trzeba uważać na każde słowo. A tak, bo jeśli podczas rozmowy z Bobem nawet coś tam palnę, tragedii nie będzie. Owszem, miałam już okazję z nim się spotkać, ale w tamtym życiu, czyli ten obecny Bob nie jest tego świadomy, poza tym nic o mnie nie wie, więc nie będzie dla niego żadną rewelacją, jeśli wspomnę o siostrze, której w tej rzeczywistości nie mam, albo o zmarłej matce, która tutaj jest zdrowa jak rydz.

– Zrobisz mi wielką przysługę – kusił Bob. – Właśnie dostałem bardzo dobre wiadomości i nie mam się z kim nimi podzielić.

Patrzył na mnie z taką nadzieją, że naprawdę trudno było mu odmówić.

– O! Temu nie mogę się oprzeć! – rzuciłam dowcipnie, a on uśmiechnął się tak jakoś inaczej niż dotychczas, przez co wydał się i młodszy, i o wiele bardziej przystępny niż na samym początku naszego spotkania, czyli kiedy wpadliśmy na siebie.

No i poszliśmy. Zanim dotarliśmy do kawiarni, musieliśmy przejść spory kawałek, mijając kilka przecznic. Po drodze rozmawialiśmy o tym i owym, przy czym czułam się bardzo swobodnie. Bob chyba też. Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam tak się czuć w towarzystwie kompletnie nieznanego faceta, jednak nie mogę zaprzeczyć prawdzie. Znow odczuwałam bezpodstawne poczucie bliskości, jak wtedy, kiedy spotkałam go po raz pierwszy w drzwiach Domu Łez. Teraz nawet silniejsze, może więc zdarzyła się tego rodzaju sytuacja, kiedy zwykliśmy mawiać, że spotkało się bratnią duszę.

Kawiarnia była niewielka, właściwie kawiarenka, taki miły, intymny lokalik. Na kontuarze królowały muffinki własnego wypieku. Niemale, bo wielkości piłki do softballu.

– Masz ochotę? – spytał Bob.

– Jasne. Czytasz w moich myślach. A co sądzisz o muffince z borówkami?

– Z radością rzucę się na nią.

Usiedliśmy w przytulnym kąciku, a po chwili popijaliśmy kawę z kubków z grubej ceramiki i na zmianę odłamywaliśmy po kawałku muffinki, tej z borówkami. Aromat kawy plus sporadyczne ocieranie się naszych palców

podczas unicestwiania wspomnianej słodyczy z borówkami – ocieranie się przecież niewinne – odbierałam dziwnie mocno, jako coś cudownie niemoralnego. Na Boba też musiało to niezłe podziałać, bo zauważyłam, że kiedy przesuwalam palcem po wardze, by zetrzeć okruszki, przyglądał mi się w szczególny sposób.

– Bob, a jakież to wiadomości do ciebie dotarły?

Usiadł wygodnej w krzesło i zrobił głęboki wdech.

– Najpierw ty mi coś powiedz. Czy zdarzyło ci się, że zobaczyłaś jakiś dom i już wiedziałaś, że ten dom powinien być twój?

Nawet nie wiesz, jak dobrze znam to uczucie! – mogłabym odpowiedzieć, ale tylko potakująco skinęłam głową, próbując zbyt intensywnie nie myśleć o domu, w którym po raz pierwszy spotkałam się z Bobem. A chodziło o dom, który postanowił mnie wysłać do innego świata!

– Mnie też się coś takiego przytrafiło – mówił dalej Bob. – Jakiś czas temu razem z kolegami z firmy zrobiliśmy objazd, to znaczy pojechaliśmy oglądać domy wystawione na sprzedaż. I wtedy go zobaczyłem. To stary wiktoriański dom, po prostu przepiękny. Kiedy tylko na niego spojrzałem, wiedziałem już, że musi być mój. Od razu wydał mi się taki... bliski. Może to głupio zabrzmie, ale miałem wrażenie, jakbym spotkał bratnią duszę. Z tym że tą duszą był dom. Zafascynował mnie, chciałem go mieć, choć może to wydawać się bez sensu. Na co singlowi dwupiętrowy wiktoriański dom, w którym jest siedem pokoi?

Mówił, a ze mną działy się dziwne rzeczy. Kiedy usłyszałam „bratnia dusza” i „singiel”, serce zabiło szybciej. A poza tym palce. Moje palce, które koniecznie chciały zgarnąć w tył te cudne, czarne i wijące się włosy opadające Bobowi na czoło. Poza tym – i niestety – moje spojrzenie nieustannie przemykało ku jego ustom. Tak było, z tym że mimo tych niedogodności słuchałam go bardzo uważnie.

– Ten dom po prostu czekał na mnie, aż wreszcie wybiła godzina naszego spotkania. Zawsze marzyłem, by poprowadzić pensjonat, taki z noclegiem i śniadaniem, a ten dom nadaje się do tego idealnie. Stoi na uboczu, wśród drzew, między którymi wiją się ścieżki prowadzące do małego prywatnego jeziora. Niezwykle malownicza okolica. Z tym że sam dom nie jest w najlepszym stanie. Potrzebuje kogoś, kto go pokocha i zadba o niego. No i będzie to miał. Zrobię z niego ósmy cud świata.

– Czyli, jak rozumiem, już go kupiłeś?

– Tak. Godzinę temu moja oferta została przyjęta! – Rozpromienił się jak chłopczyk w święta Bożego Narodzenia, kiedy rankiem w skarpecie znajduje prezenty.

– Moje gratulacje! – powiedziałam z uśmiechem i uniosłam kubek. – Piję za spełnienie marzeń. Twoich... i moich też!

– A tak! – Stuknął kubkiem w mój kubek, a potem przez krótką chwilę nie odrywał ode mnie oczu, dzięki czemu to, co jeszcze dodał, a właściwie powtórzył,

miało swój podtekst: – Za spełnienie naszych marzeń!

A ja miałam wrażenie, że już to słyszałam, te same słowa, też w wykonaniu Boba i w tym samym miejscu. Czyli *déjà vu* trwające mgnienie oka. Inne uczucie natomiast nie zniknęło. Stuprocentowa pewność, że jestem tam, gdzie powinnam być. Z kimś, z kim powinnam być.

Czas mijał nieubłaganie, dla nas jednak nie miało to żadnego znaczenia, bo rozmawiało nam się świetnie. A o czym? O życiu w małym mieście, o książkach i o filmach, puszczałyśmy też wodze fantazji, przerzucając się pomysłami dotyczącymi prowadzenia pensjonatu. W rezultacie kiedy dotarło do mnie, że minęło już całkiem sporo godzin, postanowiłam wizytę u ojca odłożyć na później. Co się odwlecze, to nie uciecze, a poza tym muszę jeszcze zorganizować pizzę i film, co obiecałam matce. Do ojca wybiorę się jutro – o ile, oczywiście, nadal będę usidlona w tym dodatkowym świecie.

Zerknęłam na Boba, nagle boleśnie rozdartą. Bo wiadomo, że chciałam wrócić tam, skąd tu przybyłam, ale z drugiej strony jakoś nie bardzo mi się chciało opuszczać świat, w którym istniał Bob spoglądający na mnie właśnie tak jak teraz.

Odruchowo wyciągnęłam rękę i przykryłam jego dłoń swoją dłonią.

– Bob, z całego serca ci życzę, żebyś odniósł sukces z tym pensjonatem. Będziesz miał mnóstwo roboty, ale przecież warto. Każdy dzień będzie dla ciebie nową przygodą.

– Mam nadzieję – odparł, odwracając swoją dłoń, i oplótł moją ciepłymi palcami. – I nie ukrywam, że zamierzam wykorzystać kilka twoich pomysłów.

– Droga wolna. Wszystkie moje pomysły są twoje.

– Dzięki. Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc, bo jednak jest to wyzwanie. Wcale nie jestem pewny, czy nie porywam się z motyką na słońce! – Zaśmiał się cicho. – Szkoda, że nie szukasz pracy...

– Nie szkoda, bo tak się składa, że jestem wolna jak ptak.

– Naprawdę?

Oczywiście, że tak! Co tam recepcjonistka w porównaniu z pracą u Boba!

– Naprawdę – powiedziała stanowczym głosem i uwolniwszy rękę, sięgnęłam do torebki po kartkę, by zapisać mój numer telefonu. Ale zaraz... Przecież nie mam pojęcia, jaki to numer! Szperałam więc w torebce i szperałam, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji. I nagle – eureka! Moje palce otarły się o coś, co musiało być komórką. I było, ale to jeszcze nie rozwiązywało sytuacji.

– Chwileczkę... Wiesz, zawarłam nową umowę, mam więc nowy numer i jeszcze nie wbiłam go sobie do głowy.

Włączyłam komórkę i zaczęłam przeglądać listę kontaktów, mając nadzieję, że ten ktoś, kto korzystał z niej przedtem, na wszelki wypadek zapisał swój numer. I okazało się, że nadzieja wcale nie jest matką głupich. Kontakt zaznaczono jako „Dom”, podano numer i komórki, i stacjonarnego. Podyktowałam numer komórki,

a Bob zapisał go wpisał w swoim telefonie i powiedział:

– Będziemy w kontakcie.

Potem odprowadził mnie do samochodu, mimo że na moje wyczucie wcale mu nie było po drodze. Ale odprowadził, co było bardzo miłe z jego strony. Szło mi się z nim cudownie. Lekko, radośnie i wszystko dookoła też było takie radosne i bardzo kolorowe. Kiedy sadowiłam się w samochodzie i zapinałam pasy, Bob przytrzymał drzwi, potem je zamknął, ale nie odszedł, tylko oparł się o nie, popatrując na mnie ponad opuszczoną szybą. Przez chwilę byłam prawie pewna, że chce mnie pocałować, co wydawało mi się całkiem naturalne. Niestety nie pocałował, a ja wcale nie ukrywam, że byłam rozczarowana.

– Tak miło upłynął mi z tobą czas – powiedział. – Dziękuję, że byłaś razem ze mną.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparłam elegancko i zapaściłam silnik. Wcale nie miałam ochoty odjeżdżać, ale nie mogłam przeciągać tej miłej chwili w nieskończoność.

Bob odsunął się od samochodu.

– Musimy się jeszcze kiedyś spotkać, Jenno. Zadzwoń!

– Nie mam nic przeciwko temu!

Ruszyłam, zerkając do lusterka. Bob stał na chodniku i machał na pożegnanie. Kiedy skręciłam i straciłam go z oczu, wyciągnęłam szyję i spojrzałam do lusterka, tym razem na siebie. I poczułam się zaskoczona, gdy zobaczyłam, że moją twarz zdobi uśmiech aż do takiego stopnia głupawy.

Pamiętając o obietnicy danej mamie, wstąpiłam do wypożyczalni. Nie miałam pojęcia, jakie filmy lubi, zdecydowałam więc, że wezmę coś pogodnego, najlepiej którąś z komedii romantycznych. Sam film był zresztą sprawą drugorzędną. Najważniejsze to skłonić mamę do rozmowy. Bardzo chciałam poznać ją bliżej. Przecież straciłam mamę wiele lat temu, a teraz raptem odzyskałam! Może i byłam za bardzo ciekawska, ale trudno.

Kupiłam jeszcze pizzę i ruszyłam do domu, nie mogąc się doczekać, kiedy zacznę nadrabiać minione dwadzieścia lat.

Rozsiadłyśmy się na sofie w towarzystwie pizzy i dzbanka z mrożoną herbatą. Kiedy oglądałyśmy film, zaśmiewałyśmy się jak nastolatki. Od wieków nie bawiłam się tak dobrze. Czułam się tak, jakbym spędzała wieczór z najlepszą przyjaciółką.

Podczas jednej z czułych scen matka zawołała:

– O! To jedna z moich ulubionych piosenek! – Spojrzała przelotnie na pianino ustawione w rogu pokoju. – Bardzo lubię, kiedy grasz tę melodię.

– Ja? Przecież ja... – Na szczęście w porę ugryzłam się w język i nie poinformowałam mamy, że na pianinie nie gram. Bo w tym świecie musiałam grać, skoro matka o tym wspomniała. – No, wiadomo, że wcale dobrze nie gram –

dokończyłam.

Matka uśmiechnęła się pobłażliwie, jakby słyszała to już dziesiątki razy.

– Jesteś dla siebie zbyt surowa. Grasz pięknie, kochanie. Warto było wydać pieniądze na lekcje gry na pianinie.

Zerknęłam na dłonie, starając się dostrzec coś, co wskazywałoby na ukryty w nich talent. Wyglądały normalnie. Moje dłonie, które były tam, gdzie mnie nigdy nie było, i robiły to, o czym mogłam tylko pomarzyć. Bo faktycznie zawsze marzyłam o graniu na pianinie. Dlaczego więc tego marzenia nie spełniłam? Może dlatego, że granie na pianinie było zbyt bliskie twórczości prawej półkuli mózgu mojej matki, a ja chciałam być od tego jak najdalej. Od chaosu, który moim zdaniem zniszczył psychikę matki. I dlatego prawej półkuli kazałam być cicho, mimo że w głębi duszy pragnęłam realizować się jako twórca. Śpiewać przejmujące teksty albo malować pastelami pejzaże, czyli poprzez sztukę wyrażać swoje uczucia.

Owszem, pragnęłam, ale nigdy nie zaczęłam tego pragnienia wprowadzać w czyn, ponieważ chciałam być całkowicie inna niż poetka, która dała mi życie. Czy w ten sposób próbowałam ją ukarać, odwracając się plecami do wszystkiego, co kochała najbardziej? Może podświadomie tak, ale przede wszystkim próbowałam chronić siebie.

A w tym życiu, w tej rzeczywistości siadam do pianina...

I stąd płynie jakże ważny wniosek:

To życie tutaj jest takie, jakie mogłabym mieć. Jestem tu taka, jaką mogłabym być.

Czyli nie wszystko stracone! Po powrocie do domu – o ile coś takiego nastąpi – wreszcie będę mogła oddać się twórczości artystycznej, na przykład nauczyć się grać na pianinie. A tak! Zerwę kajdany, w które sama się zakułam, i stanę się człowiekiem takim, jakim powinnam być.

Zdawałam sobie sprawę, że aby to zrobić, muszę wyzbyć się urazy, jaką czułam do matki przez te wszystkie lata. Powinnam zawrzeć pokój z widmem przeszłości, powinnam zobaczyć inną kobietę, taką, jaką mogłaby być, czyli taką jak ta, która siedzi tuż obok mnie. Promienna – i dlatego bardzo przypomina Cassie. Dziwne. Zawsze zastanawiałam się, po kim Cassie odziedziczyła to cudowne usposobienie. Byłyśmy przecież całkiem inne. Ona radosna, słoneczna, a ja dostałam po matce tę mroczność. Byłam o tym głęboko przekonana, ale teraz, kiedy obok mnie siedziała matka promienna, zaczęłam się zastanawiać, czy z tym dziedziczeniem to prawda. Bo może niczego nie odziedziczyłam, tylko z własnej woli sama otulałam się płaszczem depresji. Czy uda mi się go kiedyś z siebie zerwać?

Kiedy film się skończył, bardzo nie chciałam, by ten miły wieczór również dobiegł końca. Cóż, przez całe moje życie brakowało mi tego rodzaju bliskości.

- A wiesz, mam, na co mam ochotę?
- Na co, kochanie?
- Na filmy o nas. Kiedy oglądałyśmy je po raz ostatni?

Matka potrzęsła głową.

– Chyba wieki temu. Zaraz, zaraz... Gdzie mogłam je schować? – Wstała i zaczęła przeszukiwać regał z książkami. – O, tu są!

Wsunęła pierwszą z płyt CD do odtwarzacza, no i zaczęło się oglądanie mego życia w tej rzeczywistości. Dzidzius w pieluszkach, raczkujący maluch, szczerbata nastolatka. I wszędzie, gdzieś w tle, moja matka. Niemal non stop uśmiechnięta. Pomaga mi w jeździe na rowerku bez dodatkowych kółek bocznych. Kroi tort urodzinowy. Co roku, a więc zdjęć z tortem było bardzo wiele. Zabawne. Jakby chciała mi zrekompensować te lata, kiedy nie obchodziłam już urodzin.

Widziałam też, jak rośnie Parker, jak robi głupie miny do kamery, jak rozradowany rozpakowuje gwiazdkowe prezenty, jak – gdy tylko ma okazję – z tyłu przystawia mi do głowy dwa palce, żeby wyglądało tak, jakbym miała rogi. Typowy brat, typowe sceny z życia rodziny.

Kogoś jednak tam brakowało. Cassie. Dlaczego?

Nagle moja tutejsza promienna matka posmutniała.

– Och, Jennie! Przyznam ci się, że często tęsknię za dawnymi czasami. Za dwójką rozbrykanych łobuziaków biegających po całym domu. Jak to szybko minęło! Ani się człowiek obejrzał, a już jesteście dorośli.

Wzięłam ją za rękę i delikatnie uścisnęłam. Ale słowa, które tak bardzo chciałam wypowiedzieć, nie przechodziły mi przez gardło. Spytałam ją tylko o coś, co też było bardzo ważne:

– Jesteś szczęśliwa, mam?

Przechyliła głowę i wyraźnie zaskoczona moim pytaniem, spojrzała mi prosto w oczy.

– Szczęśliwa? Raczej zadowolona. To chyba to samo, prawda?

– Nie wiem – przyznałam uczciwie. – Ale może istotnie tak jest.

Wyciągnęła do mnie ręce i tym razem nie cofnęłam się. Uściskałyśmy się tak naprawdę serdecznie. Policzek przy policzku, serce przy sercu. Byłam bardzo wzruszona, i stąd decyzja. Nie, nie będę psuć tego wieczoru, maglując mamę pytaniami. Może zrobię to jutro, po rozmowie z ojcem, bo dziś chcę się cieszyć chwilą. Przemiłym wieczorem w nierealnym życiu, takim, jakim mogłoby być moje życie prawdziwe.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Byłam zaskoczona, że obudziłam się w tym samym pokoju, w którym zasnęłam wczoraj wieczorem. Tak, pokój był identyczny, ale gdy otworzyłam oczy i przemknęłam spojrzeniem dookoła, poczułam coś innego. Poprzedniego dnia pomyślałam, że po pobycie w świecie snów wracam do świata rzeczywistego, ale tego dnia już się nie łudziłam. Świat nierealny nadal był realny, a moje poprzednie życie było jak sen. Kto wie, może jeśli zostanę tu dłużej, przestanę dostrzegać różnicę, albo nawet moje dawne życie w ogóle zatrze się w pamięci. Przecież taka jest kolej rzeczy, jeśli chodzi o sny.

Odwróciłam się i wsunęłam głowę pod poduszkę, a nastrój ogarnął mnie podły. Bo niby dlaczego dalej tu jestem? Po co, skoro zrobiłam już to, czego ode mnie oczekiwano? Byłam pewna, że chodziło o zmianę mego nastawienia do zmarłej matki. Zmiana nastąpiła, więc na zdrowy rozum powinnam już wrócić tam, gdzie moje miejsce. Być w moim prawdziwym świecie, z siostrą, którą bardzo kocham. Znowu mieć to swoje poprzednie życie, które teraz zaczęłam doceniać.

W tym momencie odezwał się budzik. Jakby się ze mnie naśmiewał! Usiadłam, poczęstowałam rozwrzeszczany zegar gniewnym spojrzeniem, a kiedy go wyłączyłam i zapadła cisza, pomyślałam, że trudno. Życie tutaj nie jest idealne, ale trzeba się z tym pogodzić chociażby dlatego, że budzik darł się jak opętany, a żaden anioł nie przyleciał z odsieczą. Zrezygnowana wstałam z łóżka. Nie miałam pojęcia, co czeka mnie tego dnia, dlatego starałam się tak ubrać, żeby w różnych okolicznościach wyglądać przyzwoicie. Szafę pełną sukienek, dla mnie trochę dziwnych, zignorowałam, za to spenetrowałam komodę w poszukiwaniu czegoś bardziej w moim stylu. I znalazłam. Biały T-shirt, spodnie khaki, do tego krótki sweter. Ubrałam się, chwilę postąpiłam przed lustrem, uznając, że wyglądam nieźle, a kiedy się odwróciłam, czekała mnie niespodzianka. Tak wielka, że aż krzyknęłam. Bo któż to taki siedział na krześle koło łóżka?

– Mayu! – zawołałam. – Skąd się tu wzięłaś?!

Wydęła wargi.

– Coś mi się wydaje, że nie jesteś zachwycona moim widokiem.

– Oczywiście, że jestem, ale wołałabym, żeby moja matka cię nie widziała, bo może się wystraszyć.

Z przylegającej do sąsiedniego pokoju łazienki dolatywał szum prysznica. Co by to było, gdyby matka po skończeniu ablucji zajrzała tutaj i zobaczyła mego niezwykłego gościa?

– Chyba umarłaby ze strachu – stwierdziła beznamiętnym głosem Maya.

Jakby czytała w moich myślach, ale już zaczynałam się do tego przyzwyczajać. A kiedy powiedziała właśnie to, niestety ja, zanim zdążyłam

pomyśleć, palnęłam:

– Przecież ona nie żyje!

Wtedy Maya wstała. Powoli nabierała wysokości, rozkładając się jak skrzypiąca drabina teleskopowa, mrugnęła do mnie z chytrym uśmieszkiem i stwierdziła:

– Może powinnaś zastanowić się, co znaczy śmierć.

Dziwne, bo niby nad czym miałabym się zastanawiać? Śmierć to śmierć. Jesteś tu, a potem tam. Na zawsze. Nic dodać, nic ująć. Chociaż nie. Moja matka w jakimś sensie była gdzieś pomiędzy.

Albo może i mnie wsadzili do tego „pomiędzy”...

– Wczoraj wieczorem śnił mi się pogrzeb matki – powiedziałam cicho bardziej do siebie niż do Mai. I pomyślałam, że gdybym miała tu zostać na zawsze, w rzeczywistości, w której matka żyje, będę musiała przerabiać to jeszcze raz. O nie! To niesprawiedliwe. Jeden raz stanowczo wystarczy.

Maya milczała, popatrując na mnie. Spoglądała bardzo łagodnie, jakby znów czytała w moich myślach niczym w otwartej książce i rozumiała mnie doskonale.

Tak, śnił mi się pogrzeb matki. Sen był bardzo realistyczny, chociaż to, co w nim się działo, zdecydowanie odbiegało od tamtego pogrzebu, który zachowałam w pamięci. W moim śnie matka, co oczywiste, była w trumnie, ale nie leżała nieruchomo, tylko siedziała, spoglądając mi prosto w oczy.

I mówi do mnie:

– Ty wiesz, Jennie, jak to się skończy. Czy zrobiłam dobrze?

A ja odpowiadam najuczciwiej, jak potrafię:

– Człowiek czasami wybiera dobrze, czasami źle, bo na tym polega wybieranie. A ty wybrałaś to, co sama uważałaś za słuszne, i to jest najważniejsze.

Chyba to właśnie chciała usłyszeć, bo nie pytała już o nic, tylko wyszła z trumny i ruszyła do drzwi. Zanim przestąpiła próg, rzuciła jeszcze przez ramię:

– Najważniejsze jest to, że możemy mieć nadzieję.

Zauważyłam, że Maya skwapliwie pokiwała głową, jakby zgadzała się z tym całkowicie. Więcej – jakby te słowa ze snu wypowiedziała sama.

– Chcę wracać do domu – wyjęczałam. Tak, bo nie powiedziałam tego normalnie, i wcale mi się to nie podobało.

– Naprawdę? Dopiero co tu przybyłaś – powiedziała Maya, podchodząc do mojego biurka. Mojego? Dziwne, że tak pomyślałam, skoro to biurko należało do kogoś, do kogo należało tutejsze życie. Na pewno nie do mnie, bo moje życie toczyło się gdzie indziej. Tutaj nie jestem u siebie i muszę bardzo uważać, żeby będąc tutaj, nie zatracić siebie.

– Masz jeszcze coś do zrobienia – powiedziała Maya, podchodząc do regału. Wzięła jakąś książkę i zaczęła ją przeglądać. – Dziś wieczorem spotykasz się z Parkerem. A poza tym chciałaś wybrać się do ojca, prawda?

Przytaknęłam kiwnięciem głowy, a Maya położyła książkę na biurku. Był to mój pamiątkowy album ze szkoły średniej otwarty na stronie, gdzie wklejone było zdjęcie blondynki o wyjątkowo promiennym uśmiechu.

– Och, to Diane! – Zdumiona wpatrywałam się w doskonale mi znaną twarz mojej najlepszej przyjaciółki z dawnych lat. Byłyśmy nierozłączne, ale po śmierci matki, kiedy tyle zważyło mi się na głowę, nasze drogi się rozeszły. – Mayu – spytałam – czy tu, w tym świecie, Diane i ja nadal jesteśmy przyjaciółkami?

– Tak.

Wpatrywałam się w zdjęcie, odtwarzając w pamięci to wszystko, co się wtedy wydarzyło. A więc byłyśmy przyjaciółkami, ale kiedy matka umarła, musiałam wydorosnąć w błyskawicznym tempie, ponieważ spadło na mnie mnóstwo obowiązków. Na nic innego nie miałam czasu i w rezultacie odpychałam od siebie życzliwych mi ludzi, którzy nadal chcieli istnieć w moim życiu. Ale Diane nie rezygnowała. Nawet kiedy nie oddzwaniałam do niej, kiedy nie chciałam się z nią spotkać, wymyślając jakieś usprawiedliwienie, ona i tak szukała ze mną kontaktu. Dopóki...

Tak, pamiętałam doskonale to wydarzenie, które spowodowało, że nasza przyjaźń zakończyła się definitywnie. Było to sześć lat temu, dokładnie dwudziestego trzeciego czerwca. Diane zaprosiła mnie na swój ślub. Ja naturalnie opierałam się, ale w końcu udało jej się mnie przekonać. Kupiłam sukienkę, zrobiłam wszystko, co robi się w takich okolicznościach, ale rano, w dniu ślubu, Cassie źle się poczuła. I to posłużyło mi jako wymówka. Nie poszłam na ślub, ale raczej nie z powodu Cassie, której stan wcale nie był tragiczny. Przede wszystkim dlatego, że patrzeć na cudze szczęście było ponad moje siły. Nie chciałam być tego świadkiem. Patrzeć i myśleć o tym, co mi zostało odebrane.

Moja nieobecność na ślubie przelała czarę goryczy. Diane nigdy już się do mnie nie odezwała, a ja właśnie zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi jej brakowało, jak pusto zrobiło się w moim życiu. Czemu sama sobie byłam winna.

– A co się stało... – zaczęłam, rozglądając się dookoła. Niestety, Mai już nie było. Odeszła tak samo nagle, jak się pojawiła, a ja przez moment zastanawiałam się, czy istotnie tu była.

Do pokoju zajrzała matka w turbanie z ręcznika na mokrej głowie.

– Mówiłaś coś, Jennie?

– A... Coś tam do siebie. Każdemu się zdarza! Ale chciałam ci też coś powiedzieć. Nie będzie mnie na obiedzie. Wychodzę.

– Dobrze, skarbie.

I znikła w głębi korytarza. Kiedy byłam już pewna, że odeszła na dobre, zaczęłam oglądać album, dokładnie, strona po stronie. Ku memu zaskoczeniu, często byłam widoczna na zdjęciach grupowych. Czyżbym więc jednak miała jakichś znajomych? Przecież na wszystko brakowało mi czasu, a już najbardziej na

życie towarzyskie. W tamtych czasach zawsze coś musiałam: zaopiekować się Cassie, gotować, sprzątać. Musiałam być matką, ojcem i nianią. A w tej rzeczywistości było inaczej. Okazało się, że śpiewałam w chórze, byłam cheerleaderką i należałam do kółka dramatycznego. Moja roześmiana twarz została również uwieczniona na wielu niepozowanych zdjęciach, zrobionych między innymi podczas potańcówek szkolnych. Tutaj nie miałam żadnych trosk i nadmiaru obowiązków. Starczało mi czasu na wszystko, także na przebywanie z rówieśnikami, na zawieranie przyjaźni, miałam więc możliwość normalnego rozwoju i kształtowania swojej osobowości. I dlatego teraz, patrząc na tę moją wersję, poczułam ukłucie zazdrości. Ta dziewczyna ze zdjęcia miała życie beztrudne, a ja zaliczałam kolejny rok niedoli. Oczywiście! Było mnóstwo powodów, by czuć się rozżaloną i przytłoczoną życiem. Czyżbym właśnie dlatego znalazła się tutaj? Nie po to, by karmić się zazdrością, ale przyjrzeć się, wyciągnąć z tego naukę i po powrocie do prawdziwego życia to i owo wyprostować.

Kiedy doszłam do ostatniej strony, uśmiechnęłam się rozczulona. Bo tę stronę zawłaszczyła całkowicie Diane tym swoim okrągłym pismem z ozdóbkami, czyli serduszkami i gwiazdkami. Napisała o naszej przyjaźni, obiecała też solennie, że zawsze będzie moją najlepszą przyjaciółką, a także wspomniała o naszych wspólnych planach na przyszłość. A więc na pewno idziemy razem do jednego college'u i oczywiście będziemy mieszkać w kampusie w tym samym pokoju. A potem razem ruszamy na podbój świata! Jakie to wszystko było inne niż moje prawdziwe życie, w którym wcale nie zapisałam się do college'u, tylko musiałam iść do pracy, żeby utrzymać siebie i Cassie. Diane poszła na prywatną uczelnię i tam poznała swego przyszłego męża. A ja nie byłam na jej ślubie.

Nie stać mnie było na opłacenie studiów. Pracowałam w trzech miejscach, żeby mieć na czynsz i jedzenie, no i żeby pomóc Cassie w spełnieniu jej marzenia. A wymarzyła sobie, że zostanie nauczycielką. Wcale nie żałuję, że jej pomagałam, bo warto było. Cassie jest świetna w tym, co robi, a dzieciaki ją uwielbiają. Ułożyła już sobie życie, jak chciała, więc chyba wreszcie kolej na mnie, prawda? Mówi się, że na spełnianie marzeń podobno nigdy nie jest za późno. Tylko zaraz... Jakie to mogą być te moje niespełnione marzenia?

A tak w ogóle to trzeba się nad tym wszystkim jeszcze raz zastanowić, nad tą w końcu niełatwą sytuacją. Zamknęłam album, siadłam na podłodze po turecku i zamknęłam oczy, zmuszając głowę, by pracowała na najwyższych obrotach. A więc... Do tej chwili koncentrowałam się na różnicach między moim dotychczasowym życiem a życiem tutaj, do którego zostałam zmuszona. Może jednak nie o to chodzi? Może odpowiedzi na moje pytania kryją się nie w różnicach, ale przeciwnie, w podobieństwach? I właśnie w tym, co nie jest inne, kryją się jakieś wskazówki dla mnie?

Z tego, co zdążyłam zobaczyć, wynikało, że na pewno identyczna jest

biblioteka. Cmentarz też, choć z pewnymi wyjątkami. Nie ma ani nagrobka mojej matki, ani nagrobka Addie Rose z zapłakany aniołkiem. A dom, który dla mnie był Domem Łez, zdawał się ośrodkiem tego wszystkiego.

Kiedy pomyślałam o tym domu, przypominałam sobie jeszcze o czymś, być może istotnym. Drzwi do Domu Łez otworzył przede mną Bob Hartwood, agent nieruchomości. I właśnie na Boba raptem natknęłam się tutaj, w tym świecie. Przed biblioteką. Czy to zwykły zbieg okoliczności, że tak się stało? A jeśli... działa tu jakaś siła wyższa? Być może... W każdym razie zaczynałam już coś dostrzegać. Na razie tylko cienkie nitki splatające się ze sobą i tworzące pojedyncze wzory. Ale kiedyś powstanie z nich jedna przejrzysta całość...

Ze znalezieniem domu ojca nie miałam problemu. Niewielkiego domu na przedmieściu, w którym, jak się okazało, nie mieszkał sam, ponieważ założył nową rodzinę. Co było zaskakujące, skoro zrobił to ten sam człowiek, któremu nie można było zaufać, w efekcie czego obowiązek opieki nad dwiema dziewczynkami po śmierci ich matki spadł na jedną z nich. Trzynastolatkę. Nawet w najśmielszych marzeniach nie potrafiłabym sobie wyobrazić ojca jako człowieka rodzinnego. A tu proszę, rodzina jest. Mało tego, po całym ogrodzie leżą porozrzucane piłki, kije bejsbolowe i inne akcesoria świadczące o tym, że i dzieci są. Niewątpliwie chłopcy, czyli Parker nie jest moim jedynym bratem.

Zadzwoiłam do drzwi, mając nadzieję, że mina ojca na mój widok pomoże mi rozszyfrować, jakie obecnie są relacje między nami. Drzwi jednak otworzył nie ojciec, a jakaś mizerna, wyraźnie zmęczona kobieta bez śladu makijażu, z fryzurą bardzo niewymyślną i wygodną, bo włosy zebrała w koński ogon.

– O, Jenna! – powiedziała bez odrobiny entuzjazmu, wyjątkowo energicznie ocierając białe od mąki ręce o spodnie. Twarz nieruchoma, czyli sprawa jasna. Mój widok nie sprawił jej radości.

– Ja... chciałam zobaczyć się z ojcem.

– Oczywiście! Chcesz się z nim zobaczyć. – Potrząsnęła głową i na moment zacisnęła usta. – No cóż... Nie ma go w domu, zachowaj więc amunicję na inny dzień.

Amunicję?! – powtórzyłam w myślach, ale milczałam, ona zaś dodała gwałtownie:

– Jestem już zmęczona tym twoim przychodzeniem, żeby mu po prostu nawrzucać! – I nagle spuściła z tonu, przygarbiła się i dokończyła trochę łagodniej:

– Daj sobie z tym spokój, Jenno. Co było, to było. Trzeba żyć dalej.

– Ale ja chciałabym się czegoś dowiedzieć.

– Dowiedzieć? Nie oszukasz mnie. Chcesz tylko, żeby miał wyrzuty sumienia. I to ci się udaje. Wiesz doskonale, że on nigdy cię stąd nie wyrzuci. Wyżywasz się na nim, a on potem przez wiele tygodni chodzi jak struty, a ja i dzieciaki musimy sobie z tym poradzić.

– Bardzo mi przykro.

– W takim razie powtarzam, zostaw nas w spokoju, a swój problem tatusia postaraj się rozwiązać gdzie indziej.

Problem tatusia?!

Omam nie roześmiałam jej się w twarz. Jeszcze by tego brakowało! Że tylko po to w tej rzeczywistości pozbyłam się „problemu mamusi”, żeby zająć się „problemem tatusia”! I z pewnością jest to poważny problem, skoro ta mizerna kobieta o niebrzydkiej i w sumie sympatycznej twarzy stoszy piórka i udaje groźnego ochroniarza. Stała ze skrzyżowanymi ramionami na rozstawionych nogach, skutecznie blokując wejście do domu. Bardzo chciałam jej jakoś to wyjaśnić, powiedzieć, że na pewno nie stanowią żadnego zagrożenia ani dla niej, ani dla całej tej rodziny. Ale jakoś nie przeszło mi to przez usta. Może dlatego, że dla mnie była całkowicie obcym człowiekiem, nawet nie znałam jej imienia.

– Wracaj do swojej matki – powiedziała szczególnym tonem. Czyżby z goryczą? – Twoja matka dawno temu dokonała pewnego wyboru. To była jej decyzja i musi z tym żyć.

I znowu te wybory. Wszystko się kręci wokół nich.

– Bardzo mi przykro.

Miałam nadzieję, że wyczuje szczerą w moim głosie, ale nic z tego, bo spojrzęła na mnie ze złością. Może już wiele razy słyszała te słowa, ale niczego one nie zmieniły. W każdym razie wiedziałam już, że stosunki między mną a ojcem i jego nową rodziną są napięte. Cóż, być może kiedyś uda się to naprawić. Jeśli nie mnie, to może dokona tego mój sobowtór, który nie wiadomo gdzie się podział. Dokona tego, kiedy wróci tu i zajmie należne mu miejsce w tym życiu.

W drodze powrotnej przetrawiałam to wszystko, a przede wszystkim fakt, że chociaż w tym życiu wiodło mi się nieźle, wcale nie byłam człowiekiem, o którym się mówi „do rany przyłóż”. Nadal winą za moje problemy obarczałam innych. Czepiam się mego brata, mam żal do ojca. Ale pora z tym skończyć. Najwyższy czas przestać winić innych za swoje porażki zarówno w tamtym życiu, jak i tym obecnym, i po prostu iść do przodu, biorąc na siebie całkowitą odpowiedzialność za swoje życie, jakiegokolwiek by ono było.

Droga powrotna wydłużyła się z powodu głębokich rozważań, których dotąd unikałam jak ognia. Przede wszystkim grzebania w swojej psychice. Bałam się, co tam znajdę, i w rezultacie moje wnętrze było dla mnie niewiadomą. Teraz, owszem, zastanawiałam się nad tym i owym, aż w którymś momencie nagle mnie olśniło. Jest ktoś jeszcze, kto mógłby mi pomóc w rozszyfrowaniu tej zwariowanej sytuacji, ktoś, kto zna mnie na tyle dobrze, że z pewnością odpowie na moje pytania. Tak! Przecież Maya, podsuwając mi album ze zdjęciami, wyraźnie chciała nakierować mnie na tę właśnie osobę.

Diane.

Zatrzymałam samochód i wyjęłam z torebki komórkę. Jak się spodziewałam, numer Diane był w kontaktach. Bojąc się, że jednak mogę stchórzyć, szybko nacisnęłam „połącz” i zamknęłam oczy, wsłuchując się w miarowy sygnał.

Proszę, bądź tam i odbierz. Proszę.

Wreszcie odezwała się. Jej głos się nie zmienił. Od razu go poznałam i łzy zakręciły się w moich oczach. O Boże, jak ja za nią tęskniłam...

– Diane? Tu Jenna. Jenna Hall.

– A co tak oficjalnie? – spytała rozbawiona. – Co się dzieje, Jen?

A ja, zaciskając kurczowo drżące palce na komórce, milczałam przez chwilę, bo miałam przed oczami Diane z tamtych lat. Roześmiane oczy i burza jasnych loków nie do ujarznienia. Kiedy zaczęła się nasza przyjaźń? Od pierwszego dnia, kiedy poszłyśmy do szkoły. Czekaliśmy na szkolny autobus i oczywiście gadałyśmy. Okazało się, że obie uwielbiamy Backstreet Boys i kolor fioletowy, i od tej chwili byłyśmy nierozłączne. Razem szalałyśmy po placu zabaw, odrabiałyśmy lekcje, razem spędzałyśmy weekendy w moim domu albo w jej.

A ten wspólny wyjazd pod namiot z jej rodzicami... Lato, długie dni wypełnione leniuchowaniem. Dwie chude i piegowate od słońca dziewczynki. Nasze paznokcie u nóg, świeżo pomalowane lakierem pudrowy róż, migające pod wodą. Żłociste plamki słońca rozrzucone po falach jak legiony roztańczonych wróżek, kiedy wyszeptywałyśmy sobie do ucha największe tajemnice lub grałyśmy w „Prawda czy fałsz” albo „Co by było, gdyby”, dopóki mama Diane nie zawołała nas na obiad. A wieczorem przez długie godziny nie kładłyśmy się spać, tylko gadałyśmy i gadałyśmy, zaśmiewając się do rozpuku. Te magiczne dni zatarły się w mej pamięci, może dlatego, że Diane przez tyle lat zawsze była ze mną i wspomnień było mnóstwo. A może też specjalnie je wymazałam, wszystkie, żeby nie żałować tego, co straciłam.

Jak mogłam usunąć Diane ze swego życia? Ileż musiało być we mnie goryczy i zazdrości, że pozwoliłam, by ktoś tak drogocenny odszedł? Czy uda się nadrobić stracone lata? Tak bardzo tego chciałam. W tym alternatywnym świecie kobieta, która nazywała siebie moją matką, była całkiem inna niż matka, którą znałam. Brata w tamtym świecie nie miałam, tutejszy brat był dla mnie całkowicie obcym człowiekiem. Za to Diane – czułam to! – była jedyną stałą wartością w obu rzeczywistościach, tej, w której jestem, i tej, z której odeszłam.

– Cieszę się, że cię słyszę, Diane.

– Ja też się cieszę. Ale powiedz, Jen, czy z tobą wszystko w porządku? Bo mówisz trochę dziwnie.

No i co mam teraz powiedzieć? Co?

Odchrząknęłam.

– Ja... hm... po prostu muszę z tobą pogadać.

– Oczywiście. Pogadamy. Przyjeżdżaj, już robię kawę.

Uff, co za ulga, bo wszystko wskazuje na to, że tu, w tym świecie, nasza przyjaźń wcale się nie rozpadła i możemy spokojnie się spotkać. Niestety mimo ulgi był cień niepokoju. Bo jednocześnie wcale nie byłam taka pewna, czy potrafię jeszcze być przyjaciółką, i co gorsza, nie byłam pewna, czy potrafię zaakceptować czyjaś przyjaźń.

Wszystko jasne. Mam się tego nauczyć. Czyli jeszcze jeden powód, dlaczego mnie ściągnęli do tego świata.

Znów odchrząknęłam

– Diane, może zrobisz coś dla mnie?

– Oczywiście. Jen, co się dzieje? Chyba nie jesteś chora?

– A skąd! Chciałam podjechać po ciebie, żebyśmy wyskoczyły na drinka, ale z moim samochodem coś nie tak. Może więc podjechałabyś po mnie?

Bo niby jak miałam jej wytłumaczyć, że nie wiem, gdzie ona mieszka? Gdybym o to spytała, na pewno pomyślałaby, że oszalałam. Z tym że to naprawdę pikus w porównaniu z tym, co jeszcze ode mnie usłyszy. Bo jeśli wierzyć intuicji, to Diane się nie zmieniła. Pozostała człowiekiem godnym największego zaufania, czyli w tej zwariowanej sytuacji była tą jedyną osobą, na którą mogę liczyć, tą jedyną osobą, która pomoże mi zrozumieć, co się właściwie dzieje. A jeśli mam już otworzyć tę szczególną puszkę Pandory, potrzebuję dla kurażu niejednego drinka.

– Zaraz tam będę – powiedziała Diane.

Rozłączyłyśmy się, ale ja jeszcze przez długą chwilę trzymałam komórkę w ręku, przeżywając fakt, że w końcu znalazłam kogoś, kto może być łącznikiem z moją przeszłością. I tego kogoś nie zamierzałam wypuścić z rąk.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wróciłam do pustego domu. Do swojego domu. Dziwne, jak te słowa gładko przechodziły mi przez gardło. Ale tak było, bo ten właśnie dom od pierwszej chwili, gdy tylko na niego spojrzałam, wydał mi się moim domem. Bob otworzył drzwi, ja ponad jego ramieniem spojrzałam do środka i od razu się zakochałam. Miłość od pierwszego wejrzenia, ślepa i gorąca, i w tym to właśnie domu wiodłam życie będące kontynuacją nieznaną mi przeszłości. Ale uczucia do samego domu były dokładnie takie same. Podobnie zresztą było w przypadku Boba, dlatego coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Ja, Bob i Dom Łez.

Jakieś dziesięć minut po moim powrocie na podjazd wjechała Diane. Powitałam ją w drzwiach. Jej twarz naturalnie była mi znajoma, chociaż w wyglądzie zaszły zmiany. Przynajmniej włosy, teraz o wiele jaśniejsze, z wyszukanyimi pasemkami, poza tym profesjonalnie wyprostowane. Niestety po burzy jasnych loków zostało tylko wspomnienie. Poza tym obecna Diane była opanowana, ułożona i wyrobiona, zdecydowanie mnie pod tym względem przewyższając. Także innym. Sama torebka musiała kosztować więcej niż tygodniowy zarobek w Latającej Małpie. Zarobek plus napiwki. Ale niezależnie od tych różnic, i tak miałam wielką ochotę rzucić jej się w ramiona i serdecznie uściskać. Naturalnie nie zrobiłam tego, bo wyglądałoby to podejrzanie, skoro w jej świecie nie byłyśmy odseparowane od siebie przez długich sześć lat.

– Myślałam, że gdzieś wyskoczymy – powiedziała Diane, mierząc mnie wzrokiem. A ja jak zwykle ubrana byłam swobodnie, czyli w to, co udało mi się wyłowić z pękającej od ciuchów szafy. Swobodnie, a więc całkiem inaczej niż Diane, która ubrana była modnie i bardzo elegancko.

– Właśnie miałam się przebrać, Diane. Chodź, pomożesz mi zdecydować, co mam na siebie włożyć.

Miałam nadzieję, że taka sytuacja już się zdarzała. Przecież u najlepszych przyjaciółek to standard. Na szczęście tak właśnie było. Przebierałam się, może to, a może tamto, Diane coś tam doradzała, a przede wszystkim przez cały czas gadałyśmy jak najęte. Potem związałam włosy w koński ogon i przejechałam po nich rozgrzaną prostownicą. Trochę tuszu na rzęsy, na wargi błyszczczyk i już twarz w lustrze zmieniła się w taką, do jakiej przywykłam.

W tymże samym lustrze pojawiła się również uśmiechnięta twarz Diane.

– Ostatni raz widziałam cię w końskim ogonie, kiedy miałyśmy dwanaście lat!

Tak powiedziała?! Wzruszyłam ramionami, ale trochę mnie to zaniepokoiło. Bo to dowód, że jednak nie bardzo sobie radzę w nowej sytuacji. Jesteśmy ze sobą

kwadrans, może trochę dłużej, a ja z pewnością mam już za sobą niejedno potknięcie, bo niestety nie czułam się zżyta z Diane, obca mi była też umiejętność porozumiewania się bez słów, którą posiadają osoby zaprzyjaźnione od lat. Kto wie, czy Diane już nie wychwyciła tych moich potknięć, może i drobnych, ale po nich mogą nastąpić duże.

Chociaż może nie będzie tak źle. Lepiej nie panikować, tylko cieszyć się, że Diane jest ze mną. Wreszcie ktoś, z kim mogę szczerze porozmawiać o przedziwnej sytuacji, w jakiej się znalazłam. A jeśli okaże się, że ta sytuacja ma trwać wiecznie, łatwiej będzie to znieść, mając przy sobie kogoś takiego jak Diane.

– Jedziemy moim autem – powiedziała Diane, ruszając do drzwi. – Może wpadniemy do Diablos?

– Czemu nie?

Chwyciłam torebkę i popędziłam za przyjaciółką.

Diablos to restauracja wyspecjalizowana w przyjmowaniu całych rodzin i podawaniu ostrych dań, takich jak żeberka z grilla na ostro, mocno przyprawione nachosy z tortilli oraz skrzydełka z kurczaka, pikantne i bardzo pikantne. Jeśli chodzi o mnie, to szukałam w menu czegoś, co nie będzie z papryczkami jalapeño i nie będzie ociekało sosem.

W rezultacie zamówiłam sałatkę i kieliszek białego zinfandela, doskonale zdając sobie sprawę, że akurat w tej sytuacji na jednym kieliszku się nie skończy. Diane zamówiła martini z granatem. Trochę żałowałam, że się pośpieszyłam i nie zamówiłam tego samego, ale trudno, potem się nadrobi.

Po złożeniu zamówienia Diane usiadła wygodniej, skrzyżowała ramiona i rzuciła we mnie pytaniem zasadniczym:

– Co się dzieje, Jen?

– Nic... – wyjąkałam. – O co ci właściwie chodzi?

Diane przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek.

– O to, że dziwnie się zachowujesz. Wszystko jest nie tak. Ten koński ogon, makijaż, a przede wszystkim co ty miałaś na sobie, kiedy po ciebie przyjechałam! Poza tym nie miałaś nic przeciwko Diablos, a teraz siedzisz ze skwaszoną miną. A problemu nie ma. Możemy iść gdzie indziej. Aha, i jeszcze coś. Wino. Zawsze śmiesz się z tych, co piją białego zinfandela, a dziś sama go zamówiłaś.

– I to wszystko ci się nie podoba?

– Nawet bardzo! Bo zdecydowanie nie jesteś sobą. Dlaczego?

– Są powody.

– Jakie? Oświeć mnie!

Na szczęście w tym momencie podano nasze wino. Chwyciłam kieliszek, dwa potężne łyki i wypiłam do dna. A potem wskazałam na kieliszek Diane.

– Proszę przynieść mi to samo – powiedziałam do kelnerki, zanim zdążyła nam umknąć. – Bardzo proszę – dodałam, nie przejmując się, czy w tym świecie

uprzejmość leżała w moim charakterze. Byłam gotowa zniszczyć swój wizerunek w oczach Diane.

Zrobiłam głęboki wdech, zebrałam się w sobie, po czym wydałam z siebie głębokie westchnienie w stylu, że trudno, skoro tak ma być, to będzie. Powiem.

– Co byś zrobiła, gdyby nagle wszystko, w co dotąd wierzyłaś, stanęło na głowie?

– Wielkie dzięki, kochana – Diane uniosła znacząco brwi – że zadajesz mi takie proste pytania!

Oczywiście roześmiałam się, dzięki czemu atmosfera zdecydowanie zelżała.

– Masz rację, Diane. Dziś nie jestem sobą. Bo tak naprawdę to wcale nie jestem Jenną, którą znasz – wyrzuciłam z siebie jednym tchem, w czym pomógł fakt, że wino, które zdążyłam wlać w siebie, uderzyło do głowy i rozwiązało język.

– A więc... Sama nie wiem, od czego zacząć.

– Wiadomo, od czego. Od samego początku!

– Początek... Pamiętasz, jak kiedyś grałyśmy w „Co by było, gdyby”?

– Jasne.

– W takim razie może w to zagramy... – Na moment zamilkłam, ponieważ pojawiła się kelnerka z moim martini. Tym razem piłam powoli, prawie sączyłam, zastanawiając się, jak to wszystko wyjaśnić i zarazem nie wyjść na wariatkę. – Diane, co byś zrobiła, gdybyś nagle znalazła się w alternatywnej rzeczywistości? Po prostu pewnego dnia obudziła się w świecie niby podobnym, ale jednak różniącym się od twojego świata?

– Pomyślałabym, że to sen.

– W pierwszej chwili tak, ale ten sen dalej trwa, więc zaczynasz się zastanawiać, czy przypadkiem nie oszalałaś. Tylko ty, a ludzie dookoła są w porządku.

– Wszystko może się zdarzyć – oświadczyła z uśmiechem, dzięki czemu nie zabrzmiało to uszczypliwie.

A mogło, i trudno by było mieć o to pretensje.

– Tak, Diane. Wszystko może się zdarzyć. Trzeba więc sprawdzić, jak to jest naprawdę. Kłopot w tym, jak to zrobić?

– Moim zdaniem jest tylko jeden sposób – oświadczyła po krótkiej chwili namysłu. – Trzeba porozmawiać z kimś, kto zna ciebie lepiej niż ty sama. Z kimś, kto od razu wyczuje, czy kłamiesz, czy mówisz prawdę.

– Czyli z kimś takim jak ty?

Diane nachyliła się, wytrzymując mój wzrok.

– Zgadza się.

– Ale ty od razu pomyślisz, że rzuciło mi się na mózg!

– Oczywiście! I to nie po raz pierwszy!

Zaśmiała się, a ja uznałam, że koniec podchodów, trzeba iść na całość.

Pokusa, by komuś się zwierzyć, była zbyt wielka. Tak, zrobię to, z tym że najpierw powinnam wyrzucić z siebie to, co jest najtrudniejsze do ujawnienia. Ale nie wolno odkładać tego na później.

– Diane, w moim świecie, w którym byłam przedtem, nie jesteśmy już przyjaciółkami.

Drgnęła, jej oczy ze zdziwienia zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Dlaczego?!

– Moja wina, choć trochę to skomplikowane. Trzeba zacząć od tego, że tu, w twoim świecie, uczyłyśmy się w tym samym college'u, prawda?

– Oczywiście! Tak jak sobie zaplanowałyśmy.

– A w moim świecie wcale tak nie było. Po śmierci matki nie mogłam sobie pozwolić na college.

– Co?! – Była zszokowana, a także bardzo mną zmartwiona. Widziałam to w jej oczach. Przed minutą starała się mnie rozbawić, dodać otuchy, a teraz po prostu bała się, czy istotnie nie zwariowałam. – Powiedziałaś, że twoja matka nie żyje?

Pokiwałam głową, czując, jak łzy napływają mi do oczu. Bo kiedy spotkałam matkę w tej rzeczywistości, już jako człowiek dorosły, jej śmierć bolała jeszcze bardziej niż wtedy, gdy patrzyłam na wszystko oczami opuszczonego dziecka.

– Jen, tak jak mówiłyśmy, zacznij wszystko od początku. Bardzo cię proszę.

Nie zauważyłam, że Diane dała znak kelnerce, a musiała to zrobić, skoro na stoliku znów pojawiły się kieliszki z martini. W jednym z nich dla kurażu od razu umoczyłam usta i mówiłam dalej:

– W moim świecie moja matka była sławną poetką.

Sięgnęłam po torebkę i wyjęłam zmiętą kartkę z wierszem mojej matki. Kartkę znalazłam koło jej grobu, a gdy ocknąłam się w tej rzeczywistości, kartka nadal była w mojej kieszeni. Nie miałam pojęcia, jak i dlaczego razem ze mną odbyła tę niebywałą podróż, czułam jednak, że ma to jakieś znaczenie.

Wyglądziłam kartkę i położyłam ją przed Diane, która szybko pochyliła się nad tym kawałkiem papieru i zaczęła czytać bezgłośnie, ale poruszając wargami. Kiedy skończyła, wyprostowała się i potrząsnęła głową.

– To naprawdę napisała twoja matka?

– Tak. Takie właśnie wiersze pisała. Mroczne, depresyjne jak ona sama. Kiedy miałam trzynaście lat, popełniła samobójstwo, ale mnóstwo kobiet pielęgnuje jej pamięć i regularnie odwiedza grób. Jedna z nich przy jej grobie zostawiła tę kartkę, a ja ją znalazłam, a potem, tego samego dnia, przeniosłam się do twojej rzeczywistości.

Diane jeszcze raz przeczytała wiersz, potem spojrzała na mnie pytająco, ale milczałam. Więc ona też, oczywiście świadoma, że jeśli będzie mnie popędzać, zatnę się i niczego jej już nie powiem.

– A więc... – zaczęłam po krótkiej chwili – po śmierci mojej matki musiałam zaopiekować się sobą i Cassie.

– Cassie?

– W moim świecie mam młodszą siostrę. Brata nie mam. Parkera po raz pierwszy zobaczyłam dwa dni temu w tym świecie.

– Nie ma czego żałować – mruknęła Diane. – Żebyś wiedziała, jaki był w wieku dojrzewania! Wybacz, ale powiem szczerze. Zwyczajny gnojek.

O dziwo, byłam w stanie się roześmiać. Jak to dobrze, że Diane lubiła pożartować, bo dzięki temu rozmowa stawała się odrobinę łatwiejsza. Oczywiście nie miałam pojęcia, czy przyjaciółka wierzy choć jednemu memu słowu, ale słuchała mnie i przynajmniej na razie nie wzywała ludzi w białych fartuchach.

– Nie poszłam do college’u, bo nie mogłam sobie na to pozwolić. A ty wyjechałaś do innego stanu dalej się uczyć, i tam poznałaś przyszłego męża.

Oczy Diane znów zrobiły się wielkie i okrągłe.

– To ja mam męża?! Naprawdę? Czy jest przystojny?

– Przystojny, uroczy, dowcipny.

– Czyli jestem szczęściarą!

– Tak, jesteś. On całuje ślady twoich stóp.

– Czyżby? – Uśmiech zgasł, w oczach Diane pojawił się smutek. – To wcale nie jest śmieszne, Jen.

– Ale to prawda, Diane. On tam jest, w tym drugim świecie. A ty jesteś tutaj, dlatego go nie spotkałaś. W mojej rzeczywistości pobraliście się sześć lat temu, dwudziestego trzeciego czerwca... – Zamknęłam oczy, nabrałam głęboko powietrza i pomodliłam się w duchu, żeby mi uwierzyła. – Bo to jest tak, Diane. Wybierasz coś. Nawet się długo nie zastanawiasz. Wybierasz i wszystko się zmienia, ale niekoniecznie bezpowrotnie, bo istnieje coś takiego jak przeznaczenie. Jeśli raz zaprzepaścimy szansę na spotkanie naszej drugiej połówki, wcale nie jest powiedziane, że nigdy już nie pojawi się kolejna szansa.

Pomyślałam o Bobie. Czyżby był tą moją drugą połówką? Czyżbyśmy też zaprzepaścili szansę odnalezienia siebie, tak jak moja przyjaciółka i jej mąż?

– Miałam być na waszym ślubie, ale tamtego dnia Cassie rozchorowała się i musiałam zostać w domu. A może po prostu byłam zazdrosna, że tobie się powiodło, a mnie nie. Tak, przyznaję się bez bicia. W każdym razie nie przyszłam. Bardzo mi przykro, że cię zawiodłam.

Diane nachyliła się ponad stołem i chwyciła mnie za rękę.

– Ależ Jen! Akurat mnie nie musisz za nic przepraszać, bo to nie był mój ślub!

Oczywiście, że miała rację. W tamtym świecie ta Diane, która siedziała przede mną, nie istniała. Była inna Diane, którą odrzuciłam, którą zawiodłam. Cóż za ironia losu, że dotarło to do mnie dopiero teraz, kiedy jestem w innej

rzeczywistości.

– A więc podsumujmy – powiedziała Diane, prostując się na krześle. – Jeśli uzna się twoje hipotetyczne przesłanki za słuszne, siłą rzeczy nasuwa się pytanie: dlaczego? Z jakiego powodu jesteś tu, a nie tam?

– Tego właśnie staram się dowiedzieć.

O Mai ani słowa. Jak dotąd Diane uprzejmie i cierpliwie wysłuchiwała mojej chaotycznej opowieści, gdybym jednak dorzuciła Anioła Stróża, miarka pewnie by się przebrała. Dlatego tę ciekawostkę zachowałam dla siebie.

– Myślę, że jestem tu po to, by się czegoś nauczyć. Często zastanawiałam się, jakie byłoby moje życie, gdyby mama żyła. W tej rzeczywistości mam okazję przerobić ten wariant i dociera do mnie, że wcale nie byłoby to życie jak z bajki, nie takie, jak sobie wyobrażałam. Bo tutaj też nie wszystko jest idealne.

– Bo nigdzie nie jest idealnie! Jen... – Diane chwyciła mnie za rękę i spojrzała prosto w oczy. – Nie wiem, czy mówisz prawdę, czy też chwilowo oderwałam się od rzeczywistości, ale ta Jenna, jaką znam, nigdy się nie poddaje. Jest wojownikiem i jeśli czegoś naprawdę chce, znajdzie sposób, by to zdobyć.

– Tyle że nie jestem tą Jenną, którą znasz. Diane, twoja Jenna jest wesółą i beztroską. Miała normalne dzieciństwo i mogła spełniać swoje marzenia. I na pewno by cię nie zawiodła w tym najważniejszym dniu twojego życia. Nie jest pełna żalu i goryczy, bardzo samotna...

– I wstawiona!

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Jen, to jak? Zamawiany jeszcze po jednym?

– Oczywiście! Ale pod warunkiem, że płacę za taksówkę, która zawiezie nas do domu. Po twój samochód przyjedziemy jutro.

– Zgoda.

Nie jestem pewna, czy natrafiłyśmy na śpiewającego taksówkarza, co to nie tylko wiezie, ale i rozbawia pasażerów, czy też taksówkarz, nawdychawszy się charakterystycznego zapachu wydzielanego przez nasze pory, również odleciał. W każdym razie przez całą drogę wszyscy troje pokładaliśmy się ze śmiechu. Jeśli chodzi o mnie, to alkohol na pewno spełnił swoją rolę, ale był jeszcze jeden powód, dlaczego byłam w tak cudownym nastroju. Nie miałam pojęcia, czy Diane uwierzyła mi, czy też nie, ale bardzo się cieszyłam, że wreszcie mogłam z kimś o tym porozmawiać. Bo kiedy mówiłam na głos, w głowie zaświtało i zaczęłam coś kojarzyć, a nawet wyciągać wnioski. Co prawda wszystko było jeszcze mgliste, ale miałam nadzieję, że z czasem się przejaśni.

Diane wysiadła pierwsza, a po kilku chwilach podjechałam pod mój dom. Zapłaciłam taksówkarzowi, dodając niemały napiwek, i cichutko, na palcach podeszłam do drzwi, gorączkowo szukając w torebce klucza, który okazał się niepotrzebny, ponieważ drzwi otworzył Parker. Wściekły.

– Cześć! – pisnęłam.

– Zapomniałaś, że mieliśmy pogadać?

– O nie! – mruknęłam niby skruszona i przemknęłam obok niego, starając się usilnie nie potknąć i nie polecieć na twarz. A tym, że zapomniałam o spotkaniu z Parkerem, wcale nie byłam zdziwiona. Przecież od kilku dni nie widziałam go na oczy.

– No tak! Cała ty! – warknął. – Dla Jenny liczy się tylko to, co dla niej ważne. Reszta jej nie obchodzi.

– Och! Tak, tak! – wykrzyknęłam radośnie i wykrzywając się do niego, powtórzyłam słowo w słowo: – Dla Jenny liczy się tylko to, co dla niej ważne. Reszta jej nie obchodzi.

– Bardzo zabawne. Piłaś?

– Nie zaprzeczam. Razem z Diane. Bardzo dobre wino. Możesz mnie zastrzelić, ale naprawdę miałam ciężki dzień. Nowa żona naszego tatusia mocno mi nawcisnęła. Powiedziała, że mam zostawić ich w spokoju.

I niestety zachwiałam się. Gdyby Parker nie chwycił mnie za ramię, na pewno poleciałabym na twarz. Ale on chwycił i wrzasnął:

– Kiedy do ciebie dotrze, że to beznadziejna sprawa?! Nie możesz go zmusić, by ciebie pokochał!

– Ależ to nasz ojciec! – zajęczałam, mrugając oczami, bo zrobiło się w nich podejrzenie mokro. – Czy to nie ma żadnego znaczenia?

Parker potrząsnął głową.

– Jest TWOIM ojcem! Moim na pewno nie!

– Co?!

Szok. Jakby ktoś w moją pijaną głowę chlusnął lodowatą wodą. Szok, a jednocześnie – dziwne – wcale mnie to nie zaskoczyło.

Czyżby chodziło o to wybieranie? O te możliwości?

Szybko odpięłam od bluzki broszkę, tę od Parkera, i przyjrzałam się maleńkim gałązkom. Popatrzyłam, potem dotknęłam gałązki z kamieniem urodzinowym Parkera, i nie odrywając palca od gałązki, przesunęłam go w stronę pnia. Kiedy to robiłam, zaczęło mi coś świtać w głowie, nie było to jednak w pełni zrozumiałe. Może dlatego, że cały świat dookoła wirował, a w żołądku wszystko się przewracało. Bo, wiadomo, zrobiło mi się niedobrze.

Szybko zakryłam dłonią usta.

– Muszę do łazienki – wymamrotałam i chwiejnym krokiem ruszyłam właśnie tam. Tuż przed drzwiami omal nie upadłam, ale udało mi się w ostatniej chwili złapać kłamkę. Weszłam do środka, zamknęłam drzwi i...

I wydałam z siebie rozpaczliwy jęk.

– O nie... Proszę, jeszcze nie teraz, kiedy zaczynam wszystko rozumieć. Proszę!

Bo to wcale nie była łazienka, tylko tamten okrągły pokój, który już wirował, a nawet jakby się rozpędzał. Wiedziałam doskonale, co się stanie, i chociaż bardzo chciałam zobaczyć Cassie i wrócić do mojego prawdziwego życia, byłam zła, że opuszczam matkę, którą powoli zaczęłam poznawać, i odnalezioną po tylu latach przyjaciółkę, która, jak się okazało, jest jedynym człowiekiem gotowym mi uwierzyć.

W odchodzeniu zawsze byłam dobra. W pokazaniu pleców kochankom czy znajomym, jakby nie znaczyli dla mnie nic. Bo ważne jest, bym odeszła pierwsza, odeszła jako człowiek kompletny, zanim do mnie dotrze, co straciłam i poczuję się zdruzgotana. Tak, w odchodzeniu byłam wyjątkowa, niczego innego nie potrafiłam robić lepiej.

Tym razem jednak wyglądało to inaczej. Nie byłam gotowa, by odejść, co więcej, nawet nie miałam możliwości z kimkolwiek się pożegnać.

Znowu.

Próbowałam się opierać, walczyć, ale i tak czułam, jak moja świadomość opuszcza moją głowę, jak wyciągają się niewidzialne ręce i mkną ku nieskończoności. Przez krótką chwilę, zanim przed oczami zrobiło się ciemno, wydawało mi się, że posiadam wszystkie tajemnice wszechświata. Wszystko wiem, widzę, słyszę. Coś na pewno wiedziałam... Coś? Przecież miałam wiedzieć wszystko. A niczego już nie wiem. Wszystko znikło, nie pozostało nic prócz bezkresnej ciemności.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Budziłam się powoli, jak z bardzo głębokiego snu, i zanim jeszcze otworzyłam oczy, czułam, że wszystko się zmieniło. Na pewno jest inaczej, a to, co wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni, wydawało się nierealne. Prawie jak sen. Sen taki, że najchętniej znów zamknęłabym oczy i śniła dalej, bo tyle w tym śnie się wydarzyło. Spotkałam się z moją najlepszą przyjaciółką, odnalazłam moją matkę, której niestety nie zdążyłam jeszcze dobrze poznać, no i odkryłam, że mam starszego brata, któremu zależy na mnie do takiego stopnia, że kupuje mi to, co sobie wymarzyłam. Mimo że z byle powodu skaczymy sobie do oczu.

A poza tym Bob. Kiedy pomyślałam o nim, od razu w sercu zakłuło. Bo żal, że zaiskrzyło, ale dalszego ciągu nie będzie. Nie ma na to żadnych szans. Tylko jedna uroczą rozmowa pełna obietnic, i na tym niestety koniec, bo już przerwali mnie na inny, nieznany łąd.

W głowie mi się kręciło, jakbym za dużo wypijała. Zabawne. Chociaż... No tak! W tym śnie faktycznie nie żalowałam sobie! Owszem, ale wstać trzeba. Podjęłam próbę, nic jednak z tego nie wyszło, bo pokój zawirował. Odruchowo zacisnęłam pięści i nagle dłoń tak zabolala, że aż krzyknęłam. Oczywiście błyskawicznie rozwarłam palce i znów omal nie krzyknęłam, tym razem z wielkiego zdziwienia, bo zobaczyłam na otwartej dłoni broszkę w kształcie drzewa. Prezent urodzinowy od Parkera. Dziwne, naprawdę dziwne, bo chociaż byłam jeszcze półprzytomna, zdawałam sobie sprawę, że ze snu, nawet najbardziej realistycznego, nie zabiera się żadnych przedmiotów. Jest to po prostu niemożliwe. W takim razie o co tu chodzi?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć sobie na to pytanie, skrzypnęły drzwi i ktoś wszedł do środka.

– Jen, Jak tam? Wszystko w porządku?

W porządku? Na pewno nie, bo okazało się, że boli mnie jeszcze gdzie indziej. Gdzieś z tyłu głowy. Kiedy ostrożnie dotknęłam feralnego miejsca, okazało się, że mam tam regularnego guza.

– Niby tak... Ale... – I przytknęło mnie, bo dotarło do mnie, czyj to głos. – Bob?!

– Oczywiście! – Przyklął koło łóżka i delikatnie dotknął palcem mej skroni.

– Krew. Jen, co się stało?

– A... Upadłam. Zdarza się.

Co się dzieje? Skąd się wziął tu Bob? Czyżbym wróciła do punktu wyjścia, czyli Cassie i ja chcemy kupić dom, a ona jest w pokoju obok?

Odruchowo spojrzałam na broszkę, bo może ona mi coś podpowie.

Bob spojrzał tam gdzie ja.

– Skąd to masz?
– Prezent od Parkera.
– Parkera?
– Mojego brata... – Niestety było już za późno, żeby ugryźć się w język.
– Przecież nie masz brata. – Bob delikatnie przesunął palcami po guzie na potylicy i zmarszczył czoło. – Niedobrze. Musiałaś porządnie o coś rąbnąć. Bardzo boli?

Pokiwałam głową. Owszem, bolało, i to bardzo, ale nie z powodu głupiego guza. Bolała świadomość, że matki, którą zaczynałam poznawać, już nie ma. Ledwie ją odnalazłam, i już straciłam. Teoretycznie po dwudziestu latach żałoby nie powinnam tego wszystkiego tak mocno odczuwać, a jednak tak właśnie się działo, tylko rodzaj cierpienia był inny. Bolało to, że należy pozbyć się złudzeń i uświadomić sobie, że żadnych możliwości już nie ma.

Chciałam zapytać o Cassie, ale bałam się otworzyć usta. Lepiej poczekać, kiedy będę już jako tako zorientowana w sytuacji. Bob wziął mnie pod ramię. Kiedy z jego pomocą udało mi się stanąć na chwiejnych nogach, objął mnie, a ja oparłam głowę na jego ramieniu. Wtedy owionął mnie zapach Boba, i to zrodziło nowe pytanie. Jeśli ten wczorajszy dzień nie był rzeczywistością, to dlaczego zapach Boba wydaje mi się taki znajomy? Przecież to kolejny dowód, że wspólnie spędzony czas nie był snem, lecz czymś w rodzaju alternatywnej rzeczywistości. W takim razie gdzie ja teraz jestem? Rozejrzałam się z nadzieją, że jakiś znany mi przedmiot coś mi podpowie. Niestety była to zwyczajna łazienka, wręcz bezosobowa, bez żadnych osobistych akcentów.

Znów się zachwiałam, a wtedy Bob wziął mnie na rękę i zaniósł do sypialni, gdzie było już inaczej, bo dostrzegłam coś, co nie było mi obce, ale niestety nie stanowiło niezbitego dowodu, że kiedyś tu byłam. Nie, ale czułam, że gdybym to ja miała zaprojektować romantyczne miejsce dla dwojga, którzy chcą skryć się przed całym światem, wyglądałoby właśnie tak. Ściany w kolorze morskiego błękitu, w otwartym oknie cieniutkie jak mgiełka firanki, którymi bawi się łagodny wietrzyk. Wszystko ładne, pociągające, począwszy od miękkiej, dwuosobowej sofy w rogu pokoju, na poduszkach leżących na łóżku skończywszy. Poduszkach w prześlicznych koronkowych poszewkach.

No i przede wszystkim był tu Bob, taki przystojny i szarmancki. Może i nie dla każdej kobiety byłby wymarzonym facetem, ale dla mnie na pewno.

Mój.

Tak, w tym momencie byłam po prostu zaborcza. Chciałam, żeby Bob należał do mnie i tylko do mnie. Dzielił się ze mną nadziejami, marzeniami, całym życiem. I wszystko właśnie na to wskazywało. Ale czy naprawdę tak to się dzieje, czy też jest to tylko gra mojej wyobraźni? Kolejny wymysł wyprodukowany przez głowę we śnie, kiedy niewątpliwie miałam wysoką gorączkę.

Bob ostrożnie posadził mnie na łóżku, na grubej miękkiej kołdrze, w którą aż się zapadłam. Czułam się cudownie, taka lekka i rozpieszczana podczas przenoszenia z jednego snu do drugiego. Tak, snu, bo to chyba właśnie to, i proszę mnie nie budzić.

Kiedy przekręciłam głowę na bok i wtuliłam w poduszki, zauważyłam fotografię w ramce ustawioną na stolyczku przy łóżku. Pan młody w czarnym smokingu, wyprostowany, pewny siebie, obok zarumieniona panna młoda w koronkach koloru kości słoniowej. Ma się rozumieć, to zdjęcie ślubne, a na tym zdjęciu Bob i... ja!

Czułam, jak po plecach przebiega mi lodowaty dreszcz i krew uderza do głowy. Przerazona nabrałam głęboko powietrza, desperacko próbując zebrać się w sobie i jakoś to wszystko wytrzymać, ale i tak na nic to się zdało. Po raz drugi w ciągu niecałej godziny otoczyła mnie bezkresna ciemność, tylko ona, a cała reszta pograżyła się w niebycie.

– ...wstrząśnienie mózgu. Niewielkie, ale zatrzymamy ją do rana na obserwacji...

Słyszałam przyciszone głosy, ale nie otwierałam oczu, starając się jakoś zebrać myśli. Czułam, że to żadne tam wstrząśnienie mózgu, tylko szok po przerzuceniu do kolejnej alternatywnej rzeczywistości. Bo oczywiście przerzucili, tylko po co? I dlaczego mam ze sobą broszkę od Parkera? Czyżby stanowiła dowód na to, że obie te alternatywne rzeczywistości faktycznie są realne?

Kiedy zastanawiałam się nad tym, nagle przypomniałam sobie, że gdy po raz pierwszy ocknęłam się w ukrytym pokoju, nadal miałam przy sobie znaną przy grobie matki kartkę z jej wierszem, a także figurkę Dorotki należącą do Cassie. Teraz nie miałam ich ze sobą, ale broszkę tak, czyli prawdopodobnie zawsze coś, co akurat trzymam w ręku, albo na przykład coś z ubrania przenosi się ze mną do innej rzeczywistości.

W każdym razie jedyne, co mogę zrobić, to do czasu, aż w pełni zrozumiem moją obecną sytuację, trzymać się następującej instrukcji: „Nie dyskutować, nie zaprzeczać, tylko się dostosować”. Ale jak mam udawać, że jestem bardzo bliską osobą kogoś, kogo prawie nie znam? Oszukiwać mężczyznę, który jest moim mężem od... A właśnie. Ileż to już lat jestem szczęśliwą mężatką? Na pewno nie od wczoraj i Bob miał czas poznać swoją żonę na wylot. A ja niestety o tym, jaka mam być jako żona Boba, nie mam bladego pojęcia.

Uff... Nie dam rady przez to wszystko przebrnąć. Byłam już bliska załamania, gdy nagle mnie olśniło. Jeśli lekarze orzekli, że mam wstrząs mózgu, to mogę udawać, że mam amnezję. Oczywiście! Niewielką chwilową amnezję jako jeszcze jedno następstwo uderzenia w głowę, i będę mogła spokojnie o wszystko pytać, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Będę kombinować z tą amnezją tak długo, aż wyciągnę od Boba wystarczająco dużo informacji o świecie, do którego

mnie przerzucono, i zyskam jaką taką pewność, na czym stoję. Poza tym koniecznie trzeba znaleźć pamiętnik, który gdzieś tutaj musi być. To bezcenne źródło informacji, dzięki któremu lepiej zrozumieję moją obecną sytuację, i co bardzo istotne, zdobędę wiadomości o mężu. Jak się poznaliśmy, jak długo chodziliśmy ze sobą, kiedy narodziło się uczucie, kiedy mi się oświadczył. Nasz pierwszy pocałunek, nasz pierwszy raz...

Nagle usłyszałam czyjeś kroki. Były coraz bliżej i bliżej. Ucichły tuż koło mojego łóżka. Wiedziałam, że to Bob. Stoi tu i patrzy na mnie. Kiedy wziął mnie za rękę, otwarłam oczy i serce zabiło zdecydowanie szybciej, bo w oczach mego męża – tak, męża! – po prostu lśnił bezmiar czułości. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewałam się, że ktoś kiedyś tak właśnie na mnie spojrzy.

– Cześć! – powiedział z uśmiechem, choć nie był to wesoły uśmiech. – Ale napędziłaś mi stracha!

– Przepraszam.

Delikatnie pogłaskał moje palce.

– Jak się czujesz?

– Przymulona. – Przynajmniej w tej kwestii mogłam pozwolić sobie na szczerość. Bob znów pogłaskał mnie po dłoni, a ja drugą ręką ostrożnie dotknęłam jego okularów. – Bob, nie myślałeś o tym, żeby przestawić się na szkła kontaktowe?

Roześmiał się.

– Owszem, zastanawiałem się nad tym, ale powiedziałaś, że będziesz miała wrażenie, jakbyś spała i z Clarkiem Kentem, i z Supermanem.

Uśmiechnęłam się, bo ta odpowiedź była absolutnie w moim stylu.

Odwrócił moją dłoń i znów spochmurniał.

– A gdzie obrączka?

– Nie mam pojęcia – odparłam zgodnie z prawdą, wzruszając ramionami. – Może zostawiłam na umywalce, kiedy myłam ręce. Nie pamiętam. Ja w ogóle bardzo wielu rzeczy nie pamiętam.

– Nie przejmuj się, przy urazach głowy to normalne. Jestem pewien, że przejdzie.

– Oby! A dopóki to nie nastąpi, zdaję się na ciebie. Pomożesz to, co wypadło mi z głowy, znowu do niej wsadzić?

– Oczywiście, skarbie. Pytaj o wszystko.

– Dzięki. A więc... Może zaczniemy trochę sentymentalnie. Opowiedz mi o nas, kiedy się poznaliśmy i tak dalej.

– Bardzo chętnie, to jedna z moich ulubionych historyjek – odparł z uśmiechem, opierając się łokciami o brzeg łóżka. – A więc... wszystko zaczęło się od tego, że mój najlepszy przyjaciel wpadł, to znaczy zakochał się po uszy. Na

początku byłem trochę zły, że już nie ma czasu na imprezki, ale najważniejsza dla niego była jego nowa dziewczyna, którą poznał w college'u. Tylko Diane. Diane to, Diane tamto...

– Diane?! – Czy to możliwe, żeby mówił o mojej Diane?

– Wcale nie wstydzę się przyznać, że byłem zazdrosny – dodał Bob. – Ale tak było do czasu, aż ją poznałem i okazało się, że jest tak, jak mówił kumpel. Diane to superdziewczyna i pasują do siebie idealnie. Czy mogłem więc dalej się wściekać, skoro mój najlepszy przyjaciel spotkał swoją drugą połówkę?

– A ty wierzysz w to? W te dwie połówki? Pokrewne dusze i tak dalej?

– Teraz wierzę. – Spojrzał bardzo ciepło, a moje serce naturalnie wykonało ten jedyny w swoim rodzaju podskok. – A teraz zgadnij, Jen, kto na jego ślubie był pierwszym drużbą.

Czyli wszystko zaczynało do siebie pasować.

– Ty, prawda?

– Jasne. A kto był pierwszą drużną?

– Zaraz... zaraz... Chyba ja, prawda?

– Tak, kochanie. – Uśmiechnął się i w dowód uznania pocałował mnie w czubek nosa. – To była miłość od pierwszego wejrzenia. Z mojej strony na pewno, bo jeśli chodzi o ciebie, miałaś wtedy... pewien problem.

A więc to tak! W moim prawdziwym świecie nie poszłam na ślub Diane, ponieważ Cassie się rozchorowała i nie chciałam zostawić jej samej. Siedziałam w domu i dlatego nie spotkałam mojej drugiej połówki...

– Cassie była wtedy chora.

Bob spojrział w bok. A ja, choć nie znałam go przez wszystkie te lata, wyczułam od razu, że coś przede mną ukrywa.

– Tak, była chora i długo się zastanawiałaś, czy nie zostać jednak w domu. Ale sytuacja nie była tragiczna, poza tym Cassie już dawno przestała być małym dzieckiem i na te kilka godzin mogła zostać sama. – Powiedział to takim tonem, jakby mówił mi to już ze sto razy. – To naprawdę nie twoja wina!

Przerażona zerwałam się z poduszek, próbując usiąść.

– Ale... o co chodzi? Co nie było moją winą?! Co się stało z Cassie? Mów!

Zraniła się? Nie żyje? Co ja zrobiłam?! O Boże, przecież wiedziałam, że nie powinnam zostawiać jej samej. W tamtym świecie nie zostawiłam. I w tym też nie powinnam, nawet jeśli oznaczało to, że nie spotkam Boba i nie wyjdę za niego. Bo nie powinno stać się to kosztem zdrowia siostry.

– Co się stało? – spytałam drżącym głosem.

Bob chwycił mnie za ramię.

– Spokojnie, Jen. Cassie jest cała i zdrowa. A teraz pogadajmy o czymś innym, dobrze? Chciałaś wiedzieć, kiedy ci się oświadczyłem...

– Bob, przede wszystkim muszę zobaczyć się z Cassie.

– Jutro ją tu przyprowadzę i przekonasz się na własne oczy, że wszystko z nią w porządku, dobrze? A teraz może już zaśnij. Jak się wyśpisz, na pewno wszystko wróci do normy.

Wcale nie byłam tego taka pewna. Dla mnie każde obudzenie się to wielkie ryzyko, tym bardziej że nawet już nie wiedziałam, co jest normalne, a co nie. Wiedziałam tylko jedno. Muszę przekonać się na własne oczy, że z Cassie rzeczywiście wszystko w porządku.

– Proszę, Bob. Powiedz, jak wtedy było z Cassie. Muszę wiedzieć.

– No dobrze. – Westchnął ciężko. – A więc... Jak powiedziałem, było to w dniu ślubu Diane. Nie chciałaś zostawiać siostry samej, ale Diane zdołała cię przekonać, że Cassie da sobie bez ciebie radę.

O ile pamięć mnie nie zawodzi, rzeczywiście mnie przekonała. Byłam gotowa iść na ten ślub, ale w ostatniej chwili zrezygnowałam. Bo szczerze mówiąc, nie chciało mi się tam iść i przez kilka godzin udawać, jaka to jestem wesoła, rozbawiona, po prostu szczęśliwa.

– Czulaś instynktownie, Jen, że chociażby dla świętego spokoju lepiej zostać w domu. Ale ponieważ przyjaciółce tak bardzo zależało na twojej obecności, poszłaś na ten ślub. A Cassie niestety była jeszcze bardzo młoda i samowolna. Kiedy po twoim wyjściu z domu zadzwonili do niej znajomi, uznała, że w sumie czuje się nieźle, i pojechała z nimi na imprezę.

– I co?! – zawołałam pełna najgorszych przeczuc.

Niestety nie myliłam się.

– Wypadek – lakonicznie wyjął Bob, po czym dodał: – Samochód wjechał na drzewo. Dwie osoby zginęły. Cassie przeżyła, ale odniosła bardzo ciężkie obrażenia. Przez wiele lat chodziła na terapię i do dziś ma blizny.

– O Boże!

Bob chwycił mnie za rękę i lekko ścisnął moje palce. A jego palce drżały.

– To nie była twoja wina, Jen, a ty się tym katujesz. Cassie nauczyła się żyć z bliznami, ale ty nie możesz sobie wybaczyć, że tamtego dnia zostawiłaś siostrę samą, i wciąż starasz się jej to jakoś wynagrodzić. Choć to nie była twoja wina.

– Ale gdybym wtedy została w domu...

– Jen, błagam, przestań o tym myśleć i obwiniać siebie. Przeszłości nie da się zmienić. Co było, to było, i trzeba żyć dalej.

Zamknęłam oczy. O Boże... Jakbym słyszała drugą żonę mego ojca. Mówiła o przeszłości dokładnie to samo. I niedawno, bo zaledwie wczoraj. W tamtej rzeczywistości.

– Jen, może pośpisz trochę? – spytał Bob.

– Masz rację. – Owszem, przytaknęłam, choć wiedziałam, że nie będę w stanie zasnąć, dopóki nie zobaczę Cassie. Ale wiedziałam też, że Bob za nic nie pozwoli mi wyjść ze szpitala. Był niezwykle opiekuńczy, co bardzo sobie ceniłam,

choć byłam tak mocno związana z siostrą, że dalej kłamałam jak z nut. – Czuję się okropnie zmęczona. – Ziewnęłam szeroko. – Jak się wyśpię, na wszystko spojrzę inaczej.

– Oczywiście – powiedział z wyraźną ulgą. – Zostanę tu, poczekam, aż zaśniesz.

W pierwszej chwili zamierzałam zaprotestować, ale powstrzymałam się. Było to bezcelowe. Jedyne, co mogłam zrobić, to zamknąć oczy i udawać, że zasypiam. Zamknęłam więc oczy, starając się oddychać głęboko i miarowo. Niestety Bob zaczął delikatnie głaskać mnie po głowie, nic więc dziwnego, że poczułam się cudownie, jak powinna się czuć kobieta kochana i bezpieczna, i w rezultacie już po chwili zaczęłam zapadać w sen.

A jednak tak do końca nie zasnęłam i gdzieś po kwadransie – a może po godzinie – zorientowałam się, że Bob wyszedł. Zostałam sama, i to była moja szansa, by wymknąć się ze szpitala i odszukać Cassie.

Zerwałam się z łóżka i błyskawicznie pozbyłam szpitalnej koszuli. Swoje ubranie znalazłam w szafce przy łóżku. Torebki nie znalazłam, czemu wcale się nie dziwiłam. Bob, kiedy zawoził mnie do szpitala, nie zawracał sobie głowy czymś takim jak torebka, która bardzo by mi się przydała, bo może znalazłabym w niej namiary na Cassie. Poza tym nie mam kluczyków do samochodu, nie mam pieniędzy ani żadnego dokumentu potwierdzającego moją tożsamość. Niemniej wcale mnie to nie powstrzymywało. Byłam gotowa na własnych nogach pokonać całe miasto, byle tylko odnaleźć Cassie.

Kiedy wymykałam się z pokoju, nikt z personelu mnie nie zauważył. Podobnie kiedy szłam korytarzem. Niezatrzymywana przez nikogo pewnym krokiem minęłam pokoje pielęgniarek i...

I nagle na widok młodego lekarza nadchodzącego z przeciwnej strony stanęłam jak wryta.

– Parker?!

Mój brat spojrział na mnie pustym wzrokiem i poszedł dalej. Podskoczyłam więc do niego i złapałam za ramię.

– Parker! To ja, Jenna!

– Proszę wybaczyć, ale musiała mnie pani z kimś pomylić.

Spojrzałam na identyfikator:

Dr n. med. Daniel Cody

Czyli nie Parker. Dla pewności spojrzałam jeszcze raz na twarz. Przecież to on! Parker! Znam go dopiero od kilku dni, ale nie mogłam się pomylić.

– Bardzo prze... przepraszam, ale jest pan tak podobny...

Zanim zdążyłam coś jeszcze wyjąkać, zobaczyłam kolejną znajomą postać nadchodzącą korytarzem. Maya szła szybkim krokiem, a kiedy zrównała się ze mną, chwyciła mnie pod rękę i pociągnęła za sobą.

– Mayu, to ty? Czy nie ty?
– Naturalnie, że ja, kochanie. A kim miałabym być?
– Och, sama już nie wiem. Spójrz na tego lekarza, o tam. Czy to nie Parker?
– I tak, i nie – powiedziała, prowadząc mnie z powrotem do mego pokoju.
– Mayu, poczekaj. Muszę odnaleźć Cassie.
– Wcale nie musisz, dziecko. Z twoją siostrą wszystko w porządku. Przez całe życie troszczyłaś się o nią, a teraz nadszedł czas, byś zadbała o siebie.

– Ale...
– Nie ma żadnych „ale” – powiedziała surowym tonem, zupełnie jak nie ona.
– I nie wolno marnować czasu na uzalanie się nad sobą. Wszystkie odpowiedzi na twoje pytania są tutaj, trzeba je tylko odnaleźć.

Zrobiłam, co mi kazano. Owszem, bez odrobiny entuzjazmu, jednocześnie jednak poczułam się o wiele spokojniejsza, kiedy był przy mnie ktoś, kogo darzyłam wielkim zaufaniem. Posłusznie z powrotem położyłam się do łóżka i przykryłam kołdrą aż po brodę.

– A ja uważam, Mayu, że byłoby o wiele prościej, gdybyś po prostu mi powiedziała, o co w tym wszystkim chodzi.

– Mogłabym to zrobić – odparła Maya, przysuwając sobie krzesło bliżej łóżka – ale to mijaloby się z celem.

Najpierw ziewnęłam, zresztą bardzo szeroko.

– No dobrze... A więc mam już pewien pomysł. Może i nie jeden, ale kilka. Powiem ci, a ty mi wyjawisz, czy jestem na właściwym tropie.

– Nie musisz. Sama wyczujesz, czy trop jest właściwy, a jeśli tak, to będziesz wiedziała, co powinnaś zrobić – odparła Maya, zgarniając mi włosy z czoła.

Rozczulona macierzyńskim gestem wtopiłam się w poduszki, mamrocząc:

– Czyli patrz, ucz się i słu...chaj? – Ostatni wyraz został rozdzielony kolejnym potężnym ziewnięciem.

– Oczywiście! – Maya mrugnęła do mnie wesoło. – A wiesz, może się zdarzyć, że przy okazji poznasz bliżej tego swojego męża przystojniaka!

Mąż! Kiedy to usłyszałam, senność natychmiast przeszła. Zupełnie zapomniałam o Bobie! O MOIM MĘŻU! Szok, ale jednocześnie jakoś bardzo mi to pasowało. Już podczas naszego pierwszego spotkania czułam, że jesteśmy sobie przeznaczeni, i gdybyśmy się nie spotkali w Domu Łez, na pewno wpadlibyśmy na siebie gdzie indziej. A potem już trochę inny wariant. Czułam, że w tej czy innej rzeczywistości nasze drogi w końcu zejdą się na dobre. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pokój szpitalny był realny i choćbym usilnie wmawiała w siebie, że ten wczorajszy dzień był tylko snem, realność posępnych szpitalnych murów nie podlegała dyskusji. A skoro mury są realne, to cała reszta też. I dlatego, kiedy przypominałam sobie, co Bob mówił o Cassie, byłam załamana.

Nadal też przeżywałam króciutkie spotkanie z Parkerem na korytarzu. Czy to możliwe, żeby Parker w tej rzeczywistości był lekarzem? I dlaczego mnie nie poznał? Niestety Maya nie udzieliła mi żadnych wyjaśnień. Jak zwykle zostawiła mnie z większą liczbą pytań niż odpowiedzi, niemniej jednak nastawiona byłam do tego optymistycznie. Przecież mogło to świadczyć o tym, że Maya prowadzi mnie drogą, podczas przebywania której sama jestem w stanie dojść do ważnych wniosków. Im szybciej to wszystko rozszyfruję, tym szybciej znajdę się tam, gdzie moje miejsce.

Nie spałam pół nocy, zastanawiając się nad różnymi możliwościami. Moim podstawowym tropem był fakt, jak moje życie się zmieniło po ślubie Diane. W moim świecie tamtego dnia zostałam w domu razem z Cassie, w konsekwencji czego nie spotkałam Boba. A w obecnej osi czasu nie tylko poszłam na ślub, lecz także poznałam tam Boba i wyszłam za niego. Niestety moja parogodzinna nieobecność w domu miała tragiczne konsekwencje. Wypadek Cassie.

Czyli wszystko kręci się wokół dokonanych wyborów. Konsekwencją wyboru, jakiego miałam dokonać tamtego dnia, były dwie odrębne rzeczywistości. To jasne. Więc zastanówmy się nad tym, co widziałam w poprzedniej rzeczywistości. Cóż takiego wybrała moja matka, co sprawiło, że z pogodnej i zrównoważonej pani domu zmieniła się w nękaną przez depresję poetkę, która popełnia samobójstwo? Odpowiedzi na to pytanie jeszcze nie znałam, a więc być może z tego to powodu znalazłam się w tej rzeczywistości.

Broszka od Parkera, zgodnie z tym, co mówiła Maya, mogła w moich poszukiwaniach okazać się pomocna. A więc przekonajmy się. Przyłożyłam palec do pnia i przesunęłam go w górę, do pierwszego rozwidlenia. To tutaj wydarzyło się coś, co zaważyło na dalszym życiu matki. Po jednej stronie rozsądna, poukładana kobieta, którą niedawno opuściłam, a po drugiej stronie matka z myślami samobójczymi, czyli taka, jaką zachowałam w pamięci.

Przesunęłam palec wyżej, do następnego rozwidlenia. Ślub Diane i znów dwa warianty. Wariant z jednej strony – poszłam na ślub i spotkałam Boba, a z drugiej – zostałam w domu razem z Cassie. Czy każdy wybór tworzy alternatywną rzeczywistość, czy też tylko wybory naprawdę ważne, warunkujące nasze dalsze życie? A wybieramy każdego dnia kilka razy, a nawet kilkanaście. Decyzje podejmujemy codziennie. Kilka, kilkanaście. Więc ile powstaje

alternatywnych rzeczywistości? Poza tym – jeśli w konsekwencji wyboru tworzą się rzeczywistości istniejące w tym samym czasie – to skąd ma się wiedzieć, która rzeczywistość została słusznie wybrana, a która nie?

– Jak się czujesz, Jen?

– Lepiej.

I była to prawda. Na pewno też znakomicie wpływał na mój nastrój widok Boba przechodzącego przez próg. Bo to ktoś, na kogo zawsze mogę liczyć. Bob w razie potrzeby zawsze będzie przy mnie, tak jak teraz. Usiadł koło łóżka, wziął mnie za rękę i uściskał. Ja też lekko ścisnęłam jego palce, życząc sobie z całego serca, by w tej osi czasu pozostać już na zawsze, pozostać tu, gdzie mam u boku mężczyznę z moich snów. Ale co z Cassie? W tej rzeczywistości moja siostra miała straszny wypadek, a więc lepiej stąd odejść. I co? I być nieszczęśliwą, że u mego boku Boba już nie ma? A mogło być tak pięknie...

Wyciągnął do mnie rękę.

– Spójrz, co znalazłem.

Na odwróconej dłoni Boba lśniła złota obrączka. Z inskrypcją. Wzięłam obrączkę do ręki i przeczytałam:

Na Zawsze

Dlaczego wydało mi się to takie bliskie, dobrze znane?

Bob wstał, obszedł łóżko i objął mnie ramieniem.

– To tytuł wiersza, który napisałaś dla mnie po moich oświadczeniach.

Naprawdę? Dziwne, przecież nigdy nie pisałam wierszy. Nigdy, ale tę informację zachowałam dla siebie.

– To obrączka mojej matki – powiedział Bob. – Na pewno by cię pokochała.

Czyli matka Boba też nie żyła. Może fakt, że oboje nie mamy matek, dodatkowo zbliżył nas do siebie. Ciekawe, czy istnieje alternatywna rzeczywistość, w której matka Boba żyje. Czy Bob też ma swoją Mayę? Czy ma ją każdy?

Odebrał ode mnie obrączkę i wsunął mi na palec. Pasowała jak ulał, a Bob patrzył na mnie z taką czułością, że szybko spojrzałam w bok. Bo zabolął fakt, że na tę miłość w jego oczach to nie ja zasłużyłam, tylko inna Jenna, która była z nim od lat. A poza tym wolałam się nie przyzwyczajać, że ktoś tak właśnie na mnie patrzy, bo ten świat był ulotny. Nie wolno mi się przyzwyczajać, że jestem kochana, bo za bardzo będzie bolało, kiedy tę miłość stracę.

– Jen? Na pewno dobrze się czujesz?

– Na pewno. Ale nie jest łatwo, kiedy człowiek nic nie pamięta.

– Doktor powiedział, że to minie. Gdyby nie minęło, będę musiał się postarać, byś znowu się we mnie zakochała!

Uśmiechnęłam się, bo akurat o to nie musiałby się długo starać.

– A ja kocham twój uśmiech, Jen...

Nachylił się i musnął wargami moje usta, zanim zdążyłam się odsunąć.

A może wcale tego nie chciałam, tego odsuwania się? Jego zachłanne i namiętne wargi były jednocześnie nieskończenie delikatne. I na domiar wszystkiego Bob nie miał pojęcia, że to nasz pierwszy pocałunek. Pocałunek, który był jak ta obrączka. Dla mnie idealny.

– Rozmawiałem z doktorem. Powiedział, że nie ma żadnych przeciwwskazań i możesz wracać do domu, oczywiście pod warunkiem, że czujesz się już zdecydowanie lepiej.

– Na pewno lepiej, a naprawdę dobrze się poczuję, jak wrócę do domu!

Miałam nadzieję, że tak właśnie się stanie, tym bardziej że choć to miejsce nie jest mi znane, to jednak problemu nie będzie. Miałam wstrząs, teraz mam amnezję i o wszystko mogę spytać, prawda? No i dzięki temu pojawi się więcej możliwości na znalezienie odpowiedzi na moje pytanie.

Chociaż nie. Jeden problem był. Bob na pewno spodziewa się, że będziemy sypiać razem. W końcu jesteśmy małżeństwem... Ale co tam! To zmartwienie na później, a teraz najważniejsze, to jak najszybciej zniknąć z tego szpitala.

Bob zaprowadził mnie do mojego pokoju.

Przepraszam – naszego pokoju.

Z jednym łóżkiem, dlatego poczułam się dziwnie, bo tej nocy będę dzielić z mężczyzną nie tylko pokój, lecz i łóżko. Oczywiście nie po raz pierwszy w życiu miałam spać z mężczyzną, ale tym razem było to jednak coś więcej. Bo nie chodziło o zwykłe łóżko, ale łożo małżeńskie, a Bob spodziewał się, że w tym łożu pojawi się jego żona. Którą teraz jestem ja. No i jak wypadnę w tej roli? Czy spełnię jego oczekiwania?

Jeśli chodzi o sam dom, to czułam się w nim znakomicie. Nie tylko w tym pokoju, lecz wszędzie, i sama nie wiem dlaczego, ale wcale nie byłam zaskoczona, że znowu znalazłam się w Domu Łez. Przeciwnie, miałam wrażenie, że dopiero tutaj moja dusza wreszcie jest zadowolona. Choć nie była to pełnia szczęścia, bo pewien problem wciąż istniał i absolutnie nie dawał się unieważnić. To życie tutaj, ten dom, ten mężczyzna – wszystko to razem składało się na to, co określamy po prostu jako MÓJ DOM. A mój prawdziwy dom, za którym bardzo tęskniłam, był jednak gdzie indziej. Moja dusza i owszem, pragnęła tego wszystkiego, co miała do zaoferowania ta rzeczywistość, ale zarazem byłam boleśnie świadoma, że nie zaznam prawdziwego szczęścia, jeśli nie wrócę tam, gdzie zaczęła się moja przedziwna podróż.

Kiedy zostałam sama, wstałam z łóżka i zaczęłam gorączkowo szukać dziennika albo pamiętnika, czegokolwiek, w czym znalazłabym jakieś informacje o moim życiu w tej rzeczywistości. A musiało tu coś takiego być, skoro pisanie leżało w mojej naturze, mimo że usilnie starałam się temu zaprzeczyć. Jednak taka była prawda, pisanie okazało się jedyną stałą w każdej z tych osi czasu.

I wyszło na to, że mam rację. Dziennik znalazłam w szafce nocnej. Wyjęłam

go, wróciłam do łóżka i rozsiadłam się, gotowa na czytanie historii mego życia. Trochę mi było głupio, w końcu czytałam dziennik pisany przez kogoś innego. Bez sensu byłoby wmawiać sobie, że to pisałam ja, tylko w innej osi czasu, z czego nie zdawałam sobie sprawy. Nie, to nie tak, dla mnie pisał to ktoś inny. Ktoś, kto wygląda identycznie, zachowuje się podobnie, ale na pewno nie jest mną.

Osoba, która pisała ten dziennik, w przeciwieństwie do mnie, okropnej pesymistki, była do życia nastawiona bardzo optymistycznie, wyznając zasadę, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Akurat ja absolutnie się z tym nie zgadzałam. Byłam zdumiona i zmartwiona naiwnością tej osoby. Miałam wrażenie, że ona, roztańczona optymistka, zapamiętała się w radosnym tańcu życia, nie zauważając, że podłoga zasłana jest minami przeciwpiechotnymi. Chciałam ją ostrzec, ale co by to dało? A poza tym spójrzmy prawdzie w oczy. Gdybyśmy zamieniły się rolami, to ona z kolei martwiłaby się o mnie, o wszystkie moje mroczne lęki. Wciąż by powtarzała, że mam być pogodna i cieszyć się każdym dniem.

Przewracając kartkę za kartką, natrafiłam na fragment o tym, jak zakochałam się w Bobie. O naszej pierwszej randce, o pierwszym pocałunku, o tym, że podczas szczególnych okazji Bob zawsze dawał mi różowego goździka. Przeczytałam o letnich wyjazdach z przyjaciółmi, o imprezach, na które chodziliśmy, o dniach wolnych od pracy, kiedy siedzieliśmy w domu i było nam ze sobą tak dobrze, tak radośnie. A kiedy czytałam o oświadczeniach Boba, co wydarzyło się na srebrzonej blaskiem księżyca plaży, czułam, że ponownie się w nim się zakochuję.

A potem wiersz, o którym wspomniał Bob. Powiedział, że tytuł tego właśnie mego wiersza podsunął mu pomysł, by na naszych obrączkach wygrawerować te właśnie wyrazy. Na Zawsze.

NA ZAWSZE

Kochałam cię, gdy nie byłeś jeszcze mój

I dopadłam cię. Mój będziesz po wsze czasy.

Będę przy tobie dziś, jutro, w nieskończoność.

Moja miłość też. Na zawsze.

Słodki wierszyk, nic oryginalnego, ale romantyczny. Jakże inny od rozdzierających serce wierszy matki! W moim prawdziwym świecie wierszy nie pisałam, w ogóle trzymałam się z daleka od jakiegokolwiek twórczości literackiej. Była to domena matki, a ja bałam się, że odziedziczyłam po niej mroczne wnętrza, które dojdzie do głosu, gdy chwycę za pióro tak naprawdę, nie ograniczając się tylko do pamiętnika. I może to był błąd. Może i we mnie drzemią piękne słowa, wcale nie ponure, może drzemią całe opowieści, które czekają, kiedy wreszcie przeleją je na papier...

Książki...

Kiedy pomyślałam o książkach, nagle dotarło do mnie, dlaczego słowa

wyryte na obrączce wydały mi się znajome. Były w tytule książki, którą Maya czytała w bibliotece.

„DRZWI DO NA ZAWSZE”.

Nie, to na pewno nie jest zbieg okoliczności. Musi być jakoś ze sobą powiązane. I ciekawe, co powstało najpierw, książka czy wiersz. Czy też powstały w tym samym czasie? Może, ale czy ma to jakieś znaczenie? Przynajmniej w tej chwili raczej nie, wniosek więc taki, że szkoda marnować czas na zastanawianie się nad czymś w końcu nie tak ważnym, kiedy mam możliwość znalezienia odpowiedzi na pytania, które prześladują mnie przez całe życie.

Byłam tak pochłonięta dziennikiem, że prawie nie zauważyłam, że nie jestem sama. A ktoś jednak był, więc poderwałam głowę i kiedy zobaczyłam, ktoś to taki stoi w drzwiach, natychmiast zeskoczyłam z łóżka.

– Cassie! Och, Cassie! Jak mi ciebie brakowało!

Dopałam do niej i omal nie zmiażdżyłam w uścisku. I dziwne, bo Cassie, zawsze tak serdeczna i skora do uścisków, wysunęła się z moich objęć, jakby czuła się skrępowana. A to ja zawsze pierwsza się odsuwałam.

Teraz ona, a ja mogłam spojrzeć na jej twarz. Śliczną twarz, ale poznaczoną bliznami. Bob uprzedził mnie, wspominał o tych bliznach, ale kiedy zobaczyłam je na własne oczy, byłam wstrząśnięta. Największa blizna biegła od nasady włosów przez czoło, przecinając brew, potem tuż koło oka i kończyła się pod kością policzkową. Druga blizna zaczynała się na dolnej wardze, zakrywając ją prawie w dwóch trzecich, potem skręcała w dół, na brodę, i dalej w bok, po szczęce. Wstrętne, oszpecające blizny, ale najgorsze było to, co dostrzegłam w jej oczach, tak zawsze skrzących i roześmianych. A teraz zero radości, chociaż uśmiech niby ten sam. Moja beztroska, spontaniczna siostra zmieniła się w człowieka nadzwyczaj powściągliwego. Wiadomo dlaczego. Kiedy ma się za sobą tyle lat nieustannego przebywania pod obstrzałem pełnych współczucia spojrzeń, wtedy dzieje się to, czego być może inni nie dostrzegają. Ale ja tak. Że blizny zaczynają sięgać głębiej, o wiele głębiej. Są już nie tylko na ciele, lecz i na duszy.

Jedna pochopna decyzja całkowicie zmieniła jej życie. Czy Cassie obarcza mnie winą? Bob mówił, że przede wszystkim to ja obwiniam siebie. Ale teraz rozumiałam, że istotnie to była tylko i wyłącznie decyzja Cassie. Nie moja. Dlatego nie powinnam czuć się odpowiedzialna za to, co zrobiła moja siostra i jakie są tego konsekwencje.

Pogłaskałam ją po głowie.

– Kocham cię, Cassie.

Chciałam też powiedzieć, jak mi przykro, że zostawiłam ją samą i nie było mnie z nią, by powstrzymać przed popełnieniem błędu, który fatalnie odmienił jej życie. Na zawsze. Ale nie powiedziałam, bo niewątpliwie mówiłam jej to już setki razy, a poza tym przeprosiny niczego nie mogły zmienić. Korciło mnie też, by

powiedzieć jej, że w innych rzeczywistościach istnieją wersje jej osoby bez żadnych blizn i tam nie musi chować twarzy przed ciekawsko-okrutnymi spojrzzeniami. Ale tego też nie powiedziałam, bo i po co? Mogła się tylko rozżalić.

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili głosem bardzo łagodnym:

– I ja ciebie kocham, siostrze.

Wtedy znów przytuliłam ją do siebie. Moją Cassie. Odkąd sięgałam pamięcią, zawsze się nią opiekowałam i czasami byłam rozżalona, że przez nią zostałam pozbawiona prawdziwego dzieciństwa. A przecież to nie wina Cassie, że mnie obarczono odpowiedzialnością. Na pewno nie jej, młodszej siostry, którą tuliłam do siebie, a koło mego serca robiło się wyjątkowo ciepło. Zawsze myślałam, że bardziej już kochać siostry nie można. A to nieprawda. Bo to był tylko ułamek uczucia, jakie teraz mnie rozsadzało.

– Czego się napijecie, dziewczyny? – zawołał Bob, pojawiając się w drzwiach.

– Zielonej herbaty – odpowiedziałyśmy chórem.

A tak! Dlatego Cassie uśmiechnęła się do mnie, ja do niej, a potem wybuchnęłyśmy głośnym śmiechem. Bo takich właśnie zgodnych odpowiedzi udzielałyśmy bardzo często. Ja, oprócz tego, że rozbawiona, byłam również zachwycona, że coś jednak jest takie samo jak przedtem.

Przy stole kuchennym spędziliśmy kilka godzin, popijając herbatę i zajadając się ciastem. Staralam się nie okazywać zdumienia, kiedy Cassie chwaliła moje ciasto. A było naprawdę pyszne, dlatego pomyślałam, że chyba powinnam dać... sobie przepis.

Kiedy Bob zostawił nas same, nachyliłam się do Cassie i wyszeptałam:

– Muszę porozmawiać z tatą. Pojechałabyś tam ze mną?

Bardzo tego chciałam. Tak bardzo, że gotowa byłam zaszantażować moim „urazem głowy”. Na szczęście nie było to konieczne, ponieważ Cassie odparła natychmiast:

– Oczywiście! Kiedy jedziemy?

Spojrzałam przez drzwi do drugiego pokoju, gdzie znikł Bob. Po prostu trząśł się nade mną, dlatego byłam pewna, że na żadną wyprawę nie będzie chciał się zgodzić.

– Może jutro, dobrze?

Tak. Bo do jutra uda mi się go ubłagać, żeby zgodził się łaskawie stracić mnie z oczu na tych kilka godzin.

– Zgoda.

Cassie podniosła się, wstawiła swoją filiżankę do zlewu, potem podeszła do mnie i uściskała... tak jakoś oszczędnie.

– Podjadę po ciebie około dwunastej. O tej porze nie powinien być jeszcze pijany. Jeśli będzie, to trudno, wpadniemy gdzieś na lunch, żeby jakoś to

zrekompensować.

Pijany?! Czyli wyglądało na to, że ojciec w tej osi czasu zachowuje się podobnie jak w tej, którą zachowałam w pamięci. No cóż... Trudno, nikt nie jest doskonały. Ale przynajmniej w tej ostatniej rzeczywistości jest inaczej. Tu odkupuje swoje grzechy przy drugiej żonie i dzieciach.

Bob odprowadził Cassie do drzwi. W progu coś tam do siebie szeptali, byłam pewna, że chodziło o mnie. Może moje zachowanie wydało im się podejrzane? Ach, błażostka. Najważniejsze, że jutro Cassie i ja znajdziemy odpowiedzi na pytania, na które powinnyśmy je otrzymać już wiele lat temu. I te odpowiedzi być może wskażą mi drogę do świata, do którego należę.

Słyszałam, jak Bob podchodzi do mnie i staje za moimi plecami. Objął mnie, ciepłe wargi musnęły policzek.

– Miło było patrzeć, jak świetnie się dogadujecie.

Jego głos podziałał na mnie piorunująco. To znaczy poczułam rozkoszny dreszczyk, a przez głowę przemknęła myśl, że może spanie w jednym łóżku to nie jest taki zły pomysł. Przecież, pomijając wszystko inne, JESTEŚMY małżeństwem, prawda?

– Wiesz, kochanie, jak chciałbym spędzić dzisiejszy wieczór? – spytał.

A o to wołałam nie pytać, zważywszy na to, o czym pomyślałam przed sekundą.

– A... a co?

– Chciałbym zaprosić moją dziewczynę do jej ulubionej restauracji, a potem tańczyć z nią przy blasku księżyca.

– O proszę! Brzmi zachęcająco. Mogę jechać z wami?

Zaśmiał się, co również bardzo na mnie podziałało. Po prostu jakby śmiech, uwięziony gdzieś tam, w moim brzuchu, wydostał się stamtąd, prawie rozsadził klatkę i wreszcie wyszedł na wolność przez usta. Nie pamiętałam już, kiedy po raz ostatni śmiałam się tak serdecznie. Było to tak dawno, że ledwie mogłam uwierzyć, że to ja. A to ja po prostu ryczę ze śmiechu.

Pośmialiśmy się, a potem kątem oka dostrzegłam w rogu pokoju coś dziwnie znajomego.

– Bob, czy to przypadkiem nie jest...

– Tak. Jest. Stary adapter twojej matki.

Podeszłam tam i pogłaskałam lśniące drewno.

– Matka nigdy nie mówiła „adapter”. Zawsze była to jej „victrola”.

Bob też podszedł i podniósł wieko, odsłaniając miejsce na płytę.

– Dziś kosztuje majątek – dodałam, choć oczywiście nie sprzedalabym tego adapteru za nic w świecie. Nie pamiętałam, jakie były jego losy w mojej rzeczywistości, ale kiedy na niego spojrzałam, wydał mi się czymś bezcennym. – Spójrz, Bob! W tej szufladzie są płyty. Stare płyty winylowe. Czy wiesz, jak trudno

je dzisiaj zdobyć?

– Nie tak trudno, jeśli pracuje się w sklepie z płytami – odparł, spoglądając na mnie bardzo przenikliwie. Rzecz jasna niecierpliwie czekał na jakieś oznaki, że zaczyna mi wracać pamięć. Ja naturalnie niczego nie pamiętałam, ale oczywiście domyśliłam się, że chodzi o mnie. To ja w tej rzeczywistości pracuję w sklepie z płytami, co wcale mnie nie zaskoczyło, skoro oprócz pisania dziennika to muzyka była drugą nicią przeciągniętą przez wszystkie moje rzeczywistości.

W kolejnej szufladzie były stosy płyt, które pamiętałam z dzieciństwa. Rewelacja! Usiadłam po turecku na podłodze, po czym zaczęłam je przeglądać i układać, od najstarszych począwszy. Kiedy spoglądałam na połówkę okładki, w głowie odzywały się stare piosenki. Cudne teksty poruszające najbardziej czułe struny w sercu, no i melodie. Kiedy słuchało się tej muzyki, człowiek mimo woli zaczynał się kołysać. Bo tę muzykę po prostu się CZUŁO. Nic dziwnego, że przestałam jej słuchać. Bo kiedy tak słuchasz, to odczuwasz i przeżywasz, a wtedy do głosu mogą dojść emocje, które złamią ci serce. Stare piosenki niepotrzebnie budziły we mnie wspomnienia o tym, o czym starałam się zapomnieć, ale te wspomnienia wciąż jeszcze tkwią w jakimś zakamarku pamięci. Może nadszedł czas, by przestać je tłumić hałasem i chaosem? Może nadszedł czas przypomnieć sobie o tym, co nie było bolesne. Och, te bolesne wspomnienia też... i przebaczyć.

Bob pocałował mnie w czubek głowy.

– Zarezerwuję stolik, a ty posłuchaj sobie płyt.

Więc słuchałam jednej po drugiej, a czasami jednej po dwa razy, żeby mieć jeszcze większą przyjemność. I nie zdawałam sobie sprawy, że łyżką kapią na stary album Beatlesów. Ale to były dobre łyżki, uzdrawiające.

Kiedy wrócił Bob, zdążyłam już posegregować wszystkie płyty. Piosenki sentymentalne, smutne, muzyka taneczna, klasyka i rock.

– Ależ beznadziejne teksty mają piosenki na tych płytach. Na przykład „Jestem doktor Jajcarz” albo „Ktoś zostawił ciasto na deszczu”. O nie! To już ja napisałabym lepsze teksty. Piosenka powinna człowiekowi dodawać skrzydeł. Właśnie tak! I dostarczać pięknych przeżyć.

– Zgadzasz się... Zastanowiłaś się już nad tym?

– Nad czym?

– Nad pisaniem tekstów.

Znów wpatrywał się we mnie z wielką uwagą. Czyżbyśmy rozmawiali już na ten temat? Czy w tej rzeczywistości, jak w tej mojej pierwszej, marzyłam o czymś, co stanie się w moim życiu prawdziwym przełomem?

– Od pisania jest moja matka.

Powiedziałam to drewnianym głosem, jak automat. Jakby podkreślanie mojej odrębności od matki było czymś w rodzaju pastylki i miało mnie uzdrowić. Tak, ale to byłam ja z przeszłości. Lepiej już rozumiałam matkę i skłonna byłam

przyznać, że fakt, iż posiadam talent do tego samego, wcale nie musi oznaczać, że skończę tak samo jak ona.

Nagle poczułam, że tak, że absolutnie powinnam zabrać się do pisania, na pewno jednak nie wierszy, jak moja matka. Połączę pisanie z muzyką, która jest moją pasją, i zacznę tworzyć teksty piosenek, które będą miały zbawienny wpływ i na duszę, i na ciało.

Bob chwycił mnie za rękę i pomógł wstać z podłogi.

– Na dziś dość. Koniec słuchania – oświadczył, podając mi rękę, by pomóc wstać z podłogi. – Zarezerwowałem stolik w twojej ulubionej restauracji. Masz dwie godziny na wyszykowanie się. Tylko dwie!

I uśmiechnął się, jakby to był nasz stały prywatny żarcik.

Ale ja niestety nie pamiętałam, co zgodnie z naszym rytuałem powinnam odpowiedzieć!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bob miał rację. Znany z włoskiej kuchni Warwick był moją ulubioną restauracją. Niewielki lokal na uboczu, gdzie jedzenie jest pyszne, a ceny rozsądne. Bywałam tu często, zwykle wybierając zaciszne miejsce na piętrze z widokiem na jezioro. Niestety nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek była tu z Bobem. Zresztą zwykle przychodziłam sama, a jedynymi towarzyszami przy stole były jedzenie i książka. Zawsze miałam ją w torebce, na wypadek gdybym musiała stać w kolejce albo gdyby dokumentnie mi zbrzydły rozmowy z kimkolwiek. Wtedy książka okazuje się bardzo pomocna, ponieważ ludzie rzadko zaczepiają kogoś, kto zagłębia się w lekturze.

Witając nas, hostessa zwróciła się do mnie po imieniu. Zanim dotarliśmy do stolika, trzy razy ktoś nas zatrzymał, by powiedzieć, że miło mu nas widzieć. Ja naturalnie do tych całkowicie nieznanym ludzi uśmiechałam się promiennie, co wychodziło mi bokiem, ale musiałam udawać choćby po ty, by nie stawiać Boba w niezręcznej sytuacji. Krótko mówiąc, tego wieczoru nie było mowy o zasłonięciu się książką.

– Bob, my znamy co najmniej połowę miasta? – rzuciłam niby żartobliwie, ale tak naprawdę chciałam to wiedzieć.

– Nie wiem, czy połowę, ale znamy niemało – odparł, odsuwając dla mnie krzesło, ponieważ dotarliśmy do naszego stolika. – I to ty ich przyciągasz. Ja jestem tylko dodatkiem.

– Ja? Przyciągam? Niemożliwe... – wymamrotałam.

– Co tam mruyczysz?

– Nic, nic...

Zamówiłam kieliszek wina i zaczęłam przeglądać menu, zastanawiając się, czy wybrać chrupkiego łososa w japońskiej panierce panko z zieleniną, czy coś z kuchni włoskiej.

– Dziś zjem bakłazana z parmezanem – oświadczyłam po chwili, ale Bob nie słuchał, bo właśnie dawał znaki komuś, kto musiał być gdzieś za moimi plecami. Naturalnie skierowałam tam wzrok i ku wielkiej radości zobaczyłam Diane, która zmierzała w naszą stronę. Nie byłam tym zaskoczona, przecież w tej rzeczywistości byłam na ślubie Diane, z pewnością więc nadal byłyśmy przyjaciółkami i często się widywałyśmy. A jednak coś w jej wyglądzie zwróciło moją uwagę. Brzech, który dumnie niosła przed sobą. Tak okazały, jakby Diane była w czternastym miesiącu ciąży.

– Witaj! – Wstałam i uściskałam ją serdecznie. – Miło na ciebie spojrzeć, bo masz przepiękne rumieńce.

– Dzięki. Czyli jestem wielkim zarumienionym hipopotamem.

– Przestań! Wyglądasz świetnie!

Mąż Diane, który szedł za nią, cmoknął żonę w policzek.

– A z tym nie mogę się nie zgodzić.

– Proszę. – Bob wstał i odsunął krzesło dla Diane. – Siadajcie razem z nami.

Diane ostrożnie usiadła na krześle z wysokim oparciem, w które wbiła się plecami, by zrównoważyć ciężar brzucha.

– Posiedzimy z wami, jeśli pozwolicie mi chociaż powąchać wino.

– Wystarczy, że raz powąchasz, i już jesteś wstawiona! – rzuciłam dowcipnie i oczywiście zaśmiałam się.

– Faktycznie. Taki już mój los – przyznała Diane, ale uśmiech na jej twarzy wcale nie był smętny. Uśmiechała się słodko jak Madonna, czule głaszcząc gigantyczny brzuch. – A teraz zgadnijcie, kogo jeszcze wytypowałam na rodziców chrzestnych.

– Jak to?! Jest ktoś inny? – zaprotestował Bob, udając wielkie oburzenie. – Byłem pewien, że tylko nas bierzesz pod uwagę!

– Tak będzie, jeśli dotrzecie do finału.

– Dean! – Bob, nadal niby oburzony, zwrócił się do męża Diane. – I ty jej tak po prostu na wszystko pozwalasz?

A więc mąż mojej przyjaciółki nazywa się Dean. Pomyślałam, że Bob specjalnie zwrócił się do niego po imieniu, bo nie był pewien, czy to pamiętam. I faktycznie nie pamiętałam, byłam więc mu wdzięczna, bo uniknęłam poważnej wpadki. Kto wie, może nawet Diane i Dean skreśliliby nas z listy kandydatów na rodziców chrzestnych. Chociaż nie, wystarczyłoby im powiedzieć o tej mojej amnezji.

Atmosfera była cudowna, prawie rodzinna, i to cały czas, a we czworo spędziliśmy przy tym stoliku niejedną godzinę. Najpierw podziwialiśmy piękny zachód słońca, które niebo malowało pastelami, a taflę jeziora zarzuciło migotliwymi, złocistymi plamkami. Potem zapadł zmierzch i zapalono świece. Uszczęśliwiona i rozczulona popatrywałam na otaczające mnie pogodne, roześmiane twarze, pragnąc z całego serca zachować ten miły sercu obrazek w pamięci, by przywoływać go, gdy będzie mi smutno i źle.

– Jen? Słyszysz? – spytał półgłosem Bob, nachylając się ku mnie.

– Ale co?

– Grają naszą piosenkę. Zatańczymy?

Poprowadził mnie na niewielki parkiet, objął i zaczęliśmy się kołysać w rytm melodii. Piosenkę rozpoznałam od razu. „Tysiąc nocy”, sentymentalny kawałek o tęsknocie, o pragnieniach. Jak się okazuje, to „nasza piosenka”. Nigdy nie miałam swojej piosenki, ale ponieważ ta była śliczna i poruszająco rzewna, nie miałam nic przeciwko temu, żeby to ona była naszą piosenką.

Bob podczas tego kołysania tulił mnie do siebie. Słyszałam bicie jego serca,

czułam, że mój mąż już jest cały rozpalony. We mnie też budziła się namiętność, bo czymże innym mogły być rozkoszne gorące fale powoli płynące w górę ciała.

Zamknęłam oczy, pozwalając muzyce zawładnąć mną, uwodzić...

Życie jest zbyt krótkie

Wieczność nie trwa wiecznie

Ale ja i tak zacznę od tysiąca dni

I tysiąca nocy wypełnionych tobą...

Co? Już koniec? Jaka szkoda! Bardzo chciałam, by śpiewano nadal, by ten cudowny wieczór nigdy nie miał końca. Bo cudownie być razem z Bobem, Diane i Deanem, i tak właśnie powinno wyglądać moje życie. Mąż, którego uwielbiam, i oddani przyjaciele. Sama sobie jestem winna, że w swoim świecie tego nie miałam. Nigdy nie pokochałam siebie wystarczająco, by pozwolić, żeby inni zbliżyli się do mnie. Nic więc dziwnego, że byłam sama, ale miałam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno i po powrocie do mego prawdziwego świata uda mi się coś zmienić. Tym bardziej że w głębi duszy byłam przekonana, że moja samotność to jednak stan przejściowy.

A w tej rzeczywistości Bob był moim mężem. Wspaniałym, i z największą ochotą przyjąłabym wszystko, co mógłby mi dać. Bezwarunkową miłość i oparcie. W tej miłości po prostu bym się zanurzyła, kąpała się w niej, zatraciła. Niestety wiedziałam, że mój czas jest ograniczony i będę musiała stąd odejść, i to z jeszcze większym żalem niż z poprzedniego świata. Nigdy nie wezmę na ręce dziecka Diane, nie zestarzeję się razem z Bobem. Odejdę i do końca życia będę się zastanawiać, któż to taki kocha go zamiast mnie...

Ale nie mogłam tu zostać, bo w żadnym razie nie było to moje prawdziwe życie, które toczyło się gdzie indziej, tam, dokąd powinnam wrócić. Może nie było to życie idealne, ale moje, a ja przywykłam do niego. Wrócę tam, ale ponieważ zobaczyłam i przemyślałam to i owo, podejmę pewne kroki we właściwym kierunku. Jeśli chodzi o moją matkę, to wiadomo, nie mogę dokonać żadnych zasadniczych zmian. Nie zdołam sprawić, by razem ze mną wróciła do prawdziwego świata, ale wielką pociechą była świadomość, że tych, których kochamy, nigdy tak naprawdę nie tracimy. Oni są, naprawdę są, choć akurat teraz podążają inną drogą niż my.

A co z Bobem? Dlaczego nasze drogi konsekwentnie się spotykają? Czyżbyśmy byli sobie przeznaczeni i w prawdziwym życiu też mu przysięgnę, że będę jego do końca moich dni? Serce mi się ścisnęło, bo czułam, że zakochuję się w Bobie na zabój i nie wyobrażam sobie życia bez niego. Pragnęłam jak najgoręcej wieść życie takie, jak tutaj, u boku Boba. Mieszkać z nim w tym domu, urodzić mu dzieci i razem z nim się zestarzeć.

Zakochiwałam się w nim już w niejednej rzeczywistości i zawsze rozstawaliśmy się, chociaż mieliśmy się znowu spotkać. Za chwilę, za kilka godzin

albo za kilka dni. Ale teraz będzie inaczej, bo postanowiłam, że po powrocie do prawdziwego świata przejmę inicjatywę. Jak najszybciej odszukam Boba i postaram się go przekonać, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Zrobię to, chociaż absolutnie nie wiadomo, co z tego wyniknie. Równie dobrze mogę potem czuć się tylko i wyłącznie zraniona. Ale spróbować trzeba, bo nie zniosę już dłużej tego czekania w nieskończoność na swoją drugą połowę. Tym bardziej że już wiem, kto nią będzie!

Nagle – i nie po raz pierwszy – w uszach zabrzmiała urzekająca melodia z jednej ze starych płyt, których słuchałam tego dnia. Najpierw sama muzyka, potem już i słowa, które teraz jeszcze mocniej chwyciły mnie za serce:

Kiedy jestem sama

Tylko z marzeniami

Które nigdy się nie spełnią,

Cóż mam zrobić...

Bob, moje marzenie.

Wyciągnęłam rękę, szukając jego dłoni.

– Wszystko w porządku, kochanie? – szepnął, nachylając się ku mnie.

Pokiwałam głową i szybko zamrugałam, by zetrzeć łzy.

– Jestem po prostu szczęśliwa.

I była to najprawdziwsza prawda.

Po powrocie z restauracji było jeszcze za wcześnie, by kłaść się spać. Czyli zrobić coś, co nadal było dla mnie wielką niewiadomą, ponieważ nie wiedziałam, jaka jest koncepcja Boba dotycząca tego spania.

– Może siądziemy na chwilę i pogadamy – zaproponował Bob. – O tym, czego jeszcze możesz nie pamiętać.

– Przepraszam cię, Bob, ale chyba nie. Szczerze mówiąc, głowa mi pęka od nadmiaru informacji. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to zniknę w łazience i z rozkoszą wezmę gorącą kąpiel.

Bo w wannie myśli mi się najlepiej, no i będę miała trochę czasu, by się zrelaksować. A przy okazji rozejrzę się po domu i spróbuję odszukać ukryty pokój. A znaleźć go trzeba jak najprędzej, bo choć przebywam tu od niedawna, to jest już tak słodko, że jeszcze dzień, dwa tej słodocizny, i będę chciała zostać tu na zawsze.

Bob wziął pilota i rozsiadł się na kanapie.

– Kąp się, skarbie, kąp. I nie śpiesz się, bo dziś jest film, który chcę obejrzeć. Z tym że gdybyś mnie potrzebowała...

Już podrywał się z kanapy, ale przystopowałam go uniesioną ręką.

– Siedź! Dam sobie radę. W końcu to nie taki problem znaleźć łazienkę i ręczniki. Przy okazji przejdę się po domu, może to odświeży mi pamięć.

– Dobrze – mruknął Bob, przerzucając kanały. – Ale gdyby co, zawołaj mnie.

Zostawiłam go na kanapie i ruszyłam w nieznane. Niby powinnam czuć się intruzem, ale tak nie było, ponieważ wszędzie odnajdywałam siebie i w doborze kolorów, i mebli, i bibelotów. Nie mogłam więc nie czuć się tu jak w swoim domu.

Szłam i szłam, otwierając kolejne drzwi, za każdym razem niestety czując wielką ulgę, że to jeszcze nie to, czego szukam. Bo nie ma co się oszukiwać. Gdybym miała na stałe zostać w którejś z alternatywnych rzeczywistości, na pewno wybrałabym tę, w której jestem teraz. Ale cóż... Wszystkiego mieć nie można. Potrząsnęłam głową, nakazując sobie myśleć racjonalnie. A więc nie wolno mi tym wszystkim za bardzo się upajać, bo choćbym nie wiadomo jak chciała, to i tak nie jest to mój prawdziwy dom.

Po sprawdzeniu wszystkich pokoi wróciłam do łazienki. Czułam się jednak trochę skrępowana, dlatego zanim się rozebrałam, zamknęłam porządnie drzwi. Na klucz. Może to i głupie, przecież Bob musiał widzieć mnie nagą niezliczoną ilość razy, ale jeszcze nie byłam gotowa do takich poufałości. Obok wanny znalazłam słoiczek z lawendowymi kryształkami do kąpieli. Wzięłam porządną garść, nastawiłam wodę w prysznicu na odpowiednią temperaturę i podsunęłam kryształki pod strumień. Rozpuściły się, potem poczekałam, aż wody w wannie zbierze się tyle, że będę mogła się zanurzyć. No i zanurzyłam się w rozkosznie ciepłutkiej wodzie, i aż westchnęłam, czując, jak cała się odprężam. Leżałam więc sobie z zamkniętymi oczami i odtwarzałam w pamięci tych kilka ostatnich dni, które spędziłam głównie na zdobywaniu informacji i wskazówek. Było to i wyczerpujące, i frustrujące, ale mimo wszystko na pewno lepsze od życiowego letargu, do którego przywykłam. Tyle lat byłam jak odrętwiała. Odsunęłam się od ludzi i wprost puchłam z dumy, że potrafię zapanować nad emocjami. A teraz, choć sytuacja była frustrująca, po raz pierwszy od wieków czułam, że żyję. Że moja egzystencja nabrała sensu, a przyszłość jawiła się jako zbiór nieograniczonych możliwości. Innymi słowy, nadszedł czas, by wrócić między ludzi i pokierować swoim życiem.

Zanurzyłam się jeszcze bardziej, rozkoszując aromatycznym ciepłem. Czułam się cudownie rozluźniona, choć zwykle byłam spięta. W rezultacie miałam wrażenie, jakbym zamieszkała w ciele innej kobiety. Może i tak, może to wszystko właśnie na tym polega. Dzięki temu obecnie żyję jak ona. Biorę lawendową kąpiel w jej wannie, kocham jej męża. No właśnie... Nagle poczułam się jak złodziejka, mimo że ta kobieta była wersją mnie samej, a poza tym wszystko, co działo się teraz, nie działo się z mojej woli.

Czas mijał, woda w wannie zrobiła się zimna, uznałam więc, że nie ma sensu tego przeciągać, starając się opóźnić chwilę, kiedy stanę twarzą w twarz z rzeczywistością. Czyli z problemem, gdzie będę spać i z kim. Wyszłam z wanny, a gdy już wytarłam się porządnie, uświadomiłam sobie, że nie mam się w co ubrać. Po tak cudownej kąpieli włożenie ciuchów, w których chodziło się przez cały

dzień, byłoby zbrodnią. A nic czystego nie było pod ręką, bo po prostu o tym nie pomyślałam. W rezultacie włożyłam szlafrok, gruby szlafrok frotté, już leciwy, dlatego cudownie mięciutki. Co dla mnie miało wymiar symboliczny. Szlafrok cudowny. Dlaczego? Bo nie mój!

Kiedy przechodziłam przez próg naszego pokoju, omal nie wpadłam na Boba. Boba z poduszką i kocem w objęciach!

– Bob! A ty dokąd?!

– A... – Minę miał niewyraźną. – Pomyślałem, że skoro nic nie pamiętasz, to może przez jakiś czas wolisz spać sama. A ja będę spać na kanapie w salonie.

Gdybym już wcześniej w nim się nie zakochała, to po takiej deklaracji na pewno by tak się stało.

– Nie pamiętasz nawet naszej nocy poślubnej – mówił dalej Bob. – Gdybym teraz poszedł z tobą do łóżka, czułbym się tak, jakbym cię molestował.

– Czyli nie sypialiśmy ze sobą przed ślubem, prawda? – spytałam, bo niby ze mnie taka skromnisia.

A on uniósł znacząco brwi.

– No cóż... Fakt, że tego też nie pamiętasz, to jeszcze jeden argument przemawiający za tym, bym spędził noc na kanapie.

– Rozumiem. Czy mogę być z tobą szczerą?

– Oczywiście.

– Bardziej niż myślisz doceniam twoją delikatność, ale szczerze mówiąc, tej nocy wolałabym nie być sama.

– Ja też nie – odparł z westchnieniem, jak sędzę ulgi.

– Czyli to już ustaliliśmy – oświadczyłam, otulając się szlafrokiem. – A teraz powiedz mi, proszę, w czym zwykle sypiam?

– W niczym. – Szybko spojrzał w bok, niewątpliwie dlatego, że to, co malowało się na mojej twarzy, był to szok. Potem znów spojrzał na mnie, uśmiechnął się chytrze i wyjął z szafy bawełnianą koszulę nocną. – W niczym oprócz tego.

Zanim odebrałam koszulę, trzepnęłam go po ramieniu.

– Bob, czy zawsze uważam, że jesteś niesamowicie dowcipny?

– Oczywiście! – Uśmiechnął się i ruszył do drzwi, rzucając jeszcze przez ramię, ale już srogo: – Wracam za dziesięć minut! I nie życzę sobie żadnych ekscesów. Masz być w koszuli! Pamiętaj, masz być w koszuli!

Oczywiście roześmiałam się, a kiedy Bob znikł z pola widzenia, karnie przebrałam się w ową koszulę. Zanim wsunęłam się pod kołdrę, przysiadłam na brzegu łóżka, wpatrując się w złotą obrączkę na moim palcu. Po chwili ułożyłam się plecami do drzwi, nie widziałam więc wchodzącego Boba. Ale oczywiście słyszałam, z tym że ani drgnęłam. Zaraz potem materac ugiął się pod ciężarem męskiego ciała, a ja poczułam na plecach rozkoszne ciepło bijące od tego ciała.

Nadal jednak się nie ruszałam, nawet wtedy, kiedy Bob objął mnie jedną ręką i pocałował w żyłkę pod moim uchem.

I szepnął:

– Dobranoc, kochanie.

Oczywiście zadrzałam. Był to taki powolny dreszcz, i wcale nie przebiegł po plecach, lecz umiejscowił się gdzieś we mnie, w środku.

– Dobranoc – wymamrotałam, wtulając się w Boba. Pasowaliśmy do siebie idealnie, w ogóle czułam się cudownie, taka rozluźniona i całkowicie bezpieczna, dlatego już po krótkiej chwili zaczęłam zapadać w sen. Głęboki, zdrowy sen bez żadnych snów.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Obudził mnie zapach bekonu. I słyszałam go, bo skwierczał. Wciągnęłam głęboko w płuca upojny zapach, przeciągnęłam się i powitałam uśmiechem nowy dzień. Ciekawe, czy Bob zawsze wstaje pierwszy, czy też tego dnia zrobił to specjalnie, żebym nie czuła się skrępowana. Czyli znów wykazał się nadzwyczajną delikatnością, chociaż prawdę mówiąc, wcale nie czułam się skrępowana. Raczej trochę rozczarowana, że nie obudziłam się wtulona w jego ciepłe, twarde ciało. No tak... Ale nie wiadomo, na czym by się to skończyło...

Wiadomo na czym, skoro każdy nerw w moim ciele dygotał. Bardzo chciałam uwieść swego męża i kochać się z nim namiętnie, do utraty tchu. Niestety wszystko wskazuje na to, że będę musiała zadowolić się bekonem.

Wstałam z łóżka i powędrowałam do łazienki. Kiedy spojrzałam w lustro, przytknęło mnie. Czy to możliwe, że ta rozpromieniona, po prostu jaśniejsza kobieta to ja? Kiedy szczotkowałam włosy, zachwycona nie mogłam oderwać od siebie oczu. Bo i proszę, mamy tu najlepszy dowód, jak zadowolenie cudownie wpływa na wygląd człowieka. To o wiele lepsze niż botoks!

Włożyłam znoszone, a więc mięciutkie dzinsy i niebieski top. Pasowały na mnie jak ulał, co nie było dla mnie niespodzianką. Ale zdziwiło mnie coś innego. Tatuaz na lewym przedramieniu, od spodu. Przyjrzałam mu się dokładnie. Był to malutki biały konik ze skrzydłami, a więc Pegaz. Do tego śliczny. Potarłam go, by upewnić się, że to nie żaden zmywalny kit, lecz prawdziwy tatuaz, i pomyślałam, że to jednak dziwne, bo nigdy mnie coś takiego nie pociągało. Tylko przekłute uszy, ale na ciele żadnych malunków. A tymczasem moje alter ego zrobiło sobie tatuaz. Zapewne był ku temu jakiś powód, więc trzeba podpytać Boba.

Zeszłam na dół i stanęłam w progu kuchni, popatrując na męża, który tego ranka wyglądał jeszcze bardziej pociągająco. Prawie każdy włos w inną stronę, prawdopodobnie więc po wstaniu z łóżka tylko przeczesał je palcami. A na sobie miał szary T-shirt, cudownie sprany, w związku z czym podjęłam w duchu decyzję, że ów T-shirt przy pierwszej okazji zostanie bezczelnie skradziony i będę go nosić owiana zapachem Boba.

Patelnię ze skwierczącymi frytkami – własnego wyrobu! – podrzucał fachowo, prawie jak szef kuchni. A tak w ogóle to facet krzątający się po kuchni ma w sobie to coś. Coś seksownego oczywiście.

Odchrząknęłam, a jakże, i Bob natychmiast odwrócił się do mnie.

– Witaj, moja piękna!

Kto ma być tą piękną? Ja?! – zapytałam gorączkowo w duchu.

– Nie wiedziałem, czy będziesz miała ochotę na francuskie tosty, czy naleśniki z czekoladą, a nie chciałem cię budzić, więc sam podjąłem decyzję. Dla

ciebie naleśniki.

– Świetnie – odparłam, chociaż nie przypominałam sobie, żebym zajadała się naleśnikami z czekoladą. Musiałam jednak przyjąć do wiadomości, że naleśniki są tym, co lubię najbardziej.

Bob skinął na mnie, bym usiadła przy już nakrytym niewielkim stole w stylu bistro. Talerze, serwetki i sok pomarańczowy w kryształowej karafce. Na środku wazonik, a w nim jeden różowy goździk. A w pamiętniku napisane było, że Bob daje mi je przy szczególnej okazji. A więc...

Usiadłam przy stole, Bob podał śniadanie. Czyli dalej jak w bajce, do czego oczywiście zaczynałam się już przyzwyczajać.

– Bob, czy mogę o coś spytać?

– Naturalnie – odparł, sadowiąc się na krześle obok.

A ja wyciągnęłam rękę, demonstrując tatuaż.

– Skąd się to tu wzięło?

– A... Twoje zwierzątko totemiczne?

– Przepraszam, co?

– Często mi powtarzałaś, że właśnie Pegaz reprezentuje te aspekty twego życia, nad którymi chcesz popracować. Pegaz, a więc „p” czyli postęp w rozwoju duchowym, „e” – etyka pracy, „g” darowałaś sobie, a potem „a”, czyli akceptacja, i „z” – zdrowe odżywianie. Tak to sobie wykombinowałaś. Powiedziałaś, że jeśli codziennie nad tym trochę popracujesz, to nie będziesz koniem, tylko czymś więcej, bo koniem ze skrzydłami.

– A... Rozumiem.

– Ja nie. Bo dla mnie zawsze byłaś nadzwyczajna.

– Dzięki... – mruknęłam, delikatnie przesuwając palcem po tatuażu. A więc życie duchowe, praca, akceptacja i zdrowe odżywianie. Słusznie. – Jest prześliczny! Kocham go!

Na naleśniki rzuciłam się, jakbym od wieków nie miała ich w ustach. Były pyszne, dlatego po prostu się nimi zażerałam. Kiedy po chwili podniosłam głowę, zauważyłam, że Bob przygląda mi się bardzo uważnie. Owszem, uśmiechnął się, ale jego spojrzenie było czujne. Czyżby wiedział już, że jestem oszustką w ubraniu jego żony? Trudno, wie albo i nie wie, a ja dalej jestem głodna.

Sięgnęłam po bekon i wtedy, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, Bob złapał mnie za rękę.

– Jesteś wegetarianką, Jen.

– Czyżby? To dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wczoraj, kiedy byliśmy w restauracji?

– Nie było potrzeby. Przecież jadłaś bakłażana.

Wziął plasterek boczku i włożył do ust.

– Bob! Ale ty jesz mięso!

– Zgadza się. Trudno, to jedna z moich wielu wad, ale na szczęście ty i tak mnie kochasz.

Szczerze mówiąc, to nie widziałam w nim żadnych wad. Owszem, na pewno różniliśmy się pod wieloma względami, ale to dobrze, bo wtedy wspólne życie jest o wiele ciekawsze. A wracając do bekonu, to postarałam się już o nim nie myśleć, szanując ciało, w którym zamieszkałam na jakiś czas. Jednak mimo woli zerknęłam jeszcze raz na ten bekon. Było go mnóstwo. Dlaczego, skoro Bob miał go zjeść sam? Z wyjaśnieniem nie musiałam długo czekać, bo drzwi otwarły się i do kuchni wparowała Cassie, mamrocząc pod nosem coś, co zapewne miało być „dzień dobry”. I od razu podeszła do stolika, wzięła plaster bekonu, wsadziła sobie do ust i zaczęła pracowicie przeżuwać.

– Jedz, Cassie, jedz, nie żałuj sobie – powiedziałam uprzejmie, choć nie ukrywam, że skręcało mnie z zazdrości.

Cassie przełknęła.

– Dzięki. Odkąd jesteś wegetarianką, kiedy tylko mogę, staram się pomóc szwagrowi w skonsumowaniu bekonu na śniadanie. Biedny Bob nie może się przyzwyczaić, że smaży bekon tylko dla jednej osoby.

W rezultacie poczułam się trochę głupio, że przywitałam ją tak zjadliwie, ale kiedy wypiłam łyk czarnej kawy, którą kocham, poczułam się lepiej. Jednak zanim sobie tej kawy nalałam, zerknęłam na Boba, bo kto wie, czy nie zrezygnowałam również z kofeiny. Na szczęście nie zauważyłam żadnych oznak, że znów coś jest nie w porządku.

– A więc jak, Jen? Jedziemy dziś do taty? – nieco dziwnym tonem spytała Cassie.

– Dobrze – powiedziałam, ale bez entuzjazmu, bo poczułam się trochę niepewnie.

Cassie zerknęła na Boba, potem znów spojrzała na mnie.

– Kiedy ostatnio widziałas się z tatą, Jen, pokłóciliście się.

– O co?

Cassie spojrzała w dół, potem z powrotem na mnie.

– O coś, co zdarzyło się dawno temu.

Dawno temu? Czułam, że powodem kłótni było coś, co niewątpliwie dotyczyło Cassie. Ale co konkretnie? Czy odżyły dawne żale, że zostałam obarczona tak wielką odpowiedzialnością, że może gdyby był z nami, wszystko potoczyłoby się inaczej? Bo to on ponosi winę za to, co stało się Cassie tamtego dnia, oczywiście w tej rzeczywistości? Może i o to chodziło, w końcu byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym całą winę nie wzięła na siebie.

Potrząsnęłam głową. Nieważne. W końcu ojciec jest jedynym człowiekiem, który zna przeszłość mojej matki, jest więc dla mnie bezcennym źródłem informacji.

– Cassie, jeśli chcesz, możemy jechać już teraz.

– Dobrze. Jedziemy. – Poczęstowała się jeszcze bekonem. Przeżuła bardzo szybko, przełknęła i spojrzała na zegarek. – Ruszajmy, bo po południu na pewno będzie wstawiony.

Czyli znów coś, co mimo zmiany osi czasu nie uległo zmianie. Nałóg mego ojca. Wiedziałam doskonale, że kiedy ojciec jest pijany, rozmowa z nim jest bezcelowa. Tak więc Cassie miała rację. Komu w drogę, temu czas.

Ojciec wyglądał na starszego o co najmniej dwadzieścia lat. Bruzdy na twarzy, szpakowata broda i wąsy. Smutny, jakiś taki bezbronny i dlatego, mimo że zgody między nami nie było, bardzo chciałam go uściskać. Ojca, który ma tyle wad, ale przecież nikt nie jest doskonały. Poza tym może ojciec postąpił najlepiej, jak potrafił. Może żałuje wszystkiego i to go dobija. I dlatego pije.

Ale spojrzenie miał twarde.

– Wyglądasz jakoś inaczej – powiedział.

Dziwne, że właśnie on pierwszy wyczuł, że ja to nie ja.

– Pewnie dlatego, że zmieniłam uczesanie.

Ojciec spochmurniał i spojrzał w bok. Czyli albo potrafiłam świetnie kłamać, albo ojcu było wszystko jedno. Moje stosunki z nim zawsze były napięte, nawet przed śmiercią matki. Wygląda na to, że w tym świecie jest podobnie.

Cassie cmoknęła go w policzek, choć raczej tak z obowiązku, i usiadła w poplamionym zgniłozielonym fotelu, którego podłokietniki były tak wytarte, że miejscami widać było dziury. A kiedy siadała, fotel zaskrzypiał złowieszczo, dlatego rozejrzałam się po pokoju, szukając czegoś mniej odpychającego. I znalazłam składane metalowe krzesło. Usiadłam i spojrzałam tam, gdzie zerknęła Cassie, czyli na stolik pod ścianą, na którym stała butelka piwa i szklanka z whisky napełniona do połowy. A była godzina dziesiąta. Rano.

W tamtym świecie, kiedy próbowałam spotkać się z ojcem – a było to zaledwie kilka dni temu – mieszkał w schludnym domku z zadbanym ogrodem, gdzie na trawie leżały zabawki małych chłopców i gdzie miał żonę, która broniła go jak lwica. Tym bardziej więc ta jego obecna sytuacja była przygnębiająca.

Postanowiłam, że od razu przejdę do meritum.

– Tato, muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co stało się z mamą.

Ojciec westchnął długo i głęboko, nim spytał:

– Po co znów to rozgrzebywać?

– Bo to ważne dla mnie. Przez wszystkie te lata zamartwiałam się, że odziedziczyłam po niej słabości, które popchnęły ją do samobójstwa. I pewnego dnia zrobię to samo.

– Niemożliwe. – Ojciec pokręcił głową. – Bo problemy waszej matki nie były związane z genami.

– A skąd to wiesz?

– Po prostu wiem – powiedział, wyraźnie unikając mego spojrzenia, czyli na pewno coś przede mną ukrywał. Zgarbił się, zacisnął usta.

Oczywiście wiele razy słyszałam, jak szeptano o stanie umysłu mojej matki, o depresji, o tym, że jej wszystkie wiersze są mroczne. Ale moim zdaniem chodziło o coś więcej. Bo matka, z którą niedawno się rozstałam, była całkiem inna niż matka ze skłonnościami samobójczymi. Po prostu niebo i ziemia. Jaka więc była prawdziwa przyczyna tej zmiany?

Parker. Tak. Od razu pomyślałam o nim i zdecydowałam, że trzeba wykorzystać szansę i spytać wprost:

– Czy mama, zanim mnie urodziła, miała już syna?

Ojciec zgarbił się jak pod jarzmem i ciężko usiadł na kanapie, starając się nie patrzeć ani na Cassie, ani na mnie.

– Miałem nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie – wymamrotał. – Ale to była tylko kwestia czasu...

Cassie zrobiła wielkie oczy i spojrzała na mnie pytająco, ale tylko potrząsnęłam głową. Czułam się winna, że jej nie uprzedziłam, o czym będzie mowa, a powinnam to zrobić, skoro zależało mi, by właśnie podczas tej rozmowy była obecna.

Ojciec sięgnął po whisky i wypił prawie do dna.

– Kiedy wstępowałem do wojska, byłem zaręczony z waszą matką – zaczął powoli, z ociąganiem. – I poszedłem na wojnę. Wróciłem po dziesięciu miesiącach i okazało się, że wasza matka jest w ciąży. Oczywiście nie ze mną. – Nadal unikał mego spojrzenia i bezwiednie przeciągnął palcem po ósemkach wygrawerowanych na obrączce leżącej na stole koło butelki piwa. – To była moja wina. Gdybym nie kazał jej wybierać...

Cassie gwałtownie wpadła mu w słowo:

– Kazałeś jej wybierać między tobą a dzieckiem?

– Tak. – Pokiwał głową. – Byłem wściekły. Kiedy tylko spojrzałem na tego chłopca, od razu się we mnie gotowało. Jego widok nieustannie mi przypominał, że kiedy brałem udział w bezsensownej wojnie na drugim końcu świata, wasza matka mnie zdradzała.

– Ale... ale przecież to było dziecko... – wyszeptała Cassie.

– Wiem. Dziecko niczemu nie jest winne. Nawet nie zliczę, ile razy powtarzałem sobie, że powinienem być bardziej tolerancyjny. Ale ja sam byłem jeszcze dzieckiem, który na froncie musiał błyskawicznie wydorosnąć. I myślałem tylko o sobie. Nie przejmowałem się tym, co przeżywa wasza matka... Cóż, wojna skatowała moją duszę, a wasza matka złamała mi serce.

Pomyślałam o moim dorosłym już bracie, którego spotkałam w świecie, w którym matka dokonała innego wyboru, i domyślałam się już, o co w tym wszystkim chodzi.

– Przez jakiś czas wydawało się, że wszystko jakoś się ułoży – mówił dalej ojciec. – Wasza matka szybko znów zaszła w ciążę. To byłaś ty, Jenno. Myślałem, że jeszcze jedno dziecko, moje dziecko, choć częściowo zaleczy ranę, ale stało się inaczej. Było jeszcze gorzej, bo wasza matka obsesyjnie chciała wiedzieć, co stało się z jej synem, ale w agencji adopcyjnej nie udzielano jej żadnych informacji. W rezultacie godzinami chodziła po mieście, szukając dziecka w tym samym wieku co jej syn, dziecka o tej samej karnacji i kolorze włosów. Potrafiła zaczepiać na ulicy obcych ludzi i pytać o datę urodzin ich dziecka. Była pełna determinacji.

Cassie poderwała się z fotela i zaczęła chodzić po pokoju, ale ojciec jakby tego nie zauważył, tylko mówił dalej:

– Po urodzeniu Cassie były pewne komplikacje. Wasza matka nie mogła mieć już więcej dzieci, ale to było bez znaczenia, bo wszystkie dzieci świata i tak nie mogłyby jej zastąpić dziecka, które straciła. Zaczęła pić, żeby zapomnieć o depresji. Ja też zacząłem pić. Jedyne, co mieliśmy ze sobą wspólnego...

Sięgnął po szklankę, ale zobaczył, że jest już pusta, i cofnął rękę.

Cassie i ja milczyliśmy.

– Pewnego dnia przeczytała w gazecie o małym chłopcu, który był bity przez przybranych rodziców. Chłopiec tego nie przeżył. Wasza matka była przekonana, że napisali o jej synku, którego oddała do adopcji. Nie miała żadnego dowodu, ale wiek się zgadzał, tak samo kolor włosów i oczu. Nawet data urodzenia. Próbowałem ją przekonać, że wcale tak nie musi być, że codziennie na świat przychodzą setki dzieci. Ale bezskutecznie.

Mogłam mu powiedzieć, że ma rację. Parker żyje, widziałam go na własne oczy w szpitalu. Ale jakoś nie przeszło mi to przez gardło.

– Jak już mówiłem, wasza matka była absolutnie pewna, że to jej syn – kontynuował ojciec. – Ale w opiece społecznej też nie udzielono jej żadnych informacji. W rezultacie zżerały ją poczucie winy i nienawiść do samej siebie. Była w coraz większej depresji. Doszło do tego, że nie potrafiła spojrzeć na żadną z was, nie czując się winna. Nie czując wstydu. I w końcu...

Wiadomo, jaki był finał. Matka nie mogła dalej żyć ze świadomością, że zadecydowała właśnie tak. Wiedziałam już, co w jej przypadku oznaczało rozwidlenie drogi życia. Po jednej stronie matka, która wybiera syna i odchodzi od męża. Wychowuje Parkera, czuje się szczęśliwa i spełniona. A po drugiej stronie kobieta, która wybiera męża i porzuca dziecko, i ten wybór niszczy jej psychikę.

– Próbowała to zrobić już wcześniej – powiedział ojciec, spoglądając na nas oczami załzawionymi nie tylko od alkoholu, bo na pewno również z rozpacz i poczucia winy. – Były to nieudane próby, ale uczyła się, jak zrobić to skutecznie. No i doszła do perfekcji, bo bardziej chciała umrzeć, niż żyć... Wielka strata, wielka dla wszystkich, miała taki talent... Wciąż nachodzi mnie pytanie, jakie byłoby jej życie, gdybym nie kazał jej wybierać...

Mogłam mu to powiedzieć. Mogłam przedstawić mu obraz kobiety, która żyje pełnią życia bez żadnych żalów i zaszłości. Której nie nęka poczucie winy, nie pożera jej, nie rozszarpuje serca. Ale nie powiedziałam, przecież i tak nic by to nie dało.

Słyszałam, jak Cassie rozplakała się cicho, żałośnie. Cała rozdygotana wstała z poplamionego fotela.

– A więc okazuje się, że przyszłam na świat tylko dlatego, że miałam być plastrem na złamane serce mamy, tak? Ale nie sprawdziłam się, bo nie mogłam być synem, którego straciła!

Ojciec drgnął i odrzucił głowę w tył, jakby Cassie uderzyła go w twarz.

– Tego nie powiedziałem, Cass.

Co z tego, skoro taki wniosek narzucał się sam. Nic dziwnego, że Cassie się zdenerwowała. Więcej, bo w jej głosie słyhać było gniew.

– Jak mogłeś coś takiego zrobić! Przez twój egoizm odebrałeś nam matkę i zostawiłeś nas, bo tak naprawdę wychowaliśmy się same. A teraz dowiadujemy się, że mamy brata, o którym nie raczyłeś nam powiedzieć. Jak mogłeś trzymać to w tajemnicy?

Ojciec sprawiał wrażenie, jakby jej wybuchem był przede wszystkim zaskoczony.

– Nie spodziewałem się, że tak zareagujesz. Prędeziej twoja siostra... – Wyciągnął do niej rękę, ale Cassie odwróciła się plecami.

Też byłam zaskoczona jej wybuchem, bo to dowodziło, że nie mam patentu na żale i urazy. Od jak dawna narastał w niej gniew? Bo narastał, a ja, zbyt zajęta sobą, nic nie zauważyłam. Także dlatego, że Cassie zawsze była radosna. Może wyczuwała, że we mnie jest tak wiele smutku, że wystarczy za nas obie, więc ona dla równowagi była pełna optymizmu niczym skowronek albo jak jin do mojego jang. Wiele razy ze śmiechem mówiła, że jestem świętą patronką przemądrzałych cierpiętnic. A tymczasem sama cierpiała. Której z nas było ciężiej? Czy mnie, która okrywałam się depresją jak płaszczem, czy Cassie, która gniew przez cały ten czas ukrywała i dopiero teraz znalazła ujście?

Wybiegła z pokoju, a ja spojrzałam na ojca jeszcze raz, ten ostatni, i ruszyłam za Cassie, nic mu nie mówiąc na pożegnanie. Trudno, ale siostra była ważniejsza. On żył ze swoimi żalami wiele lat, a Cassie dopiero teraz dowiedziała się, jak to smakuje, dlatego powinnam być przy niej.

– Od jak dawna o tym wiesz? – spytała Cassie, wsiadając do samochodu.

– Trudno powiedzieć.

Co w sumie nie mijało się z prawdą. Ta siostra, którą znała Cassie, nie mogła wiedzieć o istnieniu Parkera, nie było takiej możliwości. A ja z kolei, choć natknęłam się na niego przed paroma dniami, nie byłam w stanie tego wszystkiego rozgryźć. Nie mogłam przecież wiedzieć, jak jego narodziny zaważyły na życiu

matki, w ogóle na życiu nas wszystkich.

– Musimy go odnaleźć, Jen.

Pokiwałam głową i też wsiadłam do samochodu. Pochłonięte swymi myślami, przez dłuższy czas milczałyśmy. O czym dumiała Cassie? Tego nie mogłam wiedzieć. A ja martwiłam się, że być może popełniłam wielki błąd, prowokując bieg wypadków, który w tej osi czasu nie powinien zaistnieć.

– Dziesięć paluszków... – szepnęła Cassie.

A ja poczułam na plecach lodowaty dreszcz. Ten wierszyk zachowałam w pamięci, choć od ponad dwudziestu lat nie słyszałam, by ktoś mówił go na głos. Ale wryte miałam w pamięć, jak moja matka w środku nocy chodzi po korytarzu i przy zgaszonym świetle monotonnym głosem powtarza:

Dziesięć paluszków u rączek

Dziesięć u nóżek

Oczka piwne, nosek jak guziczek.

Skąd przyszedłeś?

Dokąd szedłeś?

Dziesięć paluszków u rączek

Dziesięć u nóżek...

Przez wszystkie te lata byłam przekonana, że to wierszyk dla dzieci, okazało się jednak, że jest to przejmujące epitafium wyryte przez matkę w jej sercu. Ku pamięci dziecka, które straciła.

Przed kilkoma dniami mogłabym nie zrozumieć, jak bardzo matka cierpiała, lecz teraz, po kilku dniach spędzonych w świecie, w którym nie było przy mnie Cassie, wyglądało to inaczej. Zrozumiałam, jak wielka była rozpacz po stracie dziecka, które urodziła i pokochała, do tego dochodziło poczucie winy, że wybrała męża, a nie dziecko, i to wszystko zatruło jej życie. Dzień po dniu nasączała się tą trucizną, aż nadszedł dzień, kiedy jedyną drogą ucieczki przed cierpieniem była śmierć.

Kiedy przejeżdżałyśmy koło cmentarza, odruchowo spojrzałam tam, gdzie znajdował się grób matki. Z tego miejsca był prawie niewidoczny, ale zauważyłam, że przy grobie stoi jakaś kobieta. Musiała wyczuć mój wzrok, bo odwróciła się, a ja, mimo dzielącej nas odległości, od razu ją rozpoznałam. Przecież to Maya!

– Cassie! Zatrzymaj się!

– Co?! Dlaczego?

– Ktoś stoi przy grobie mamy. Zatrzymaj się!

– Tam zawsze ktoś jest – odparła Cassie, ale wyhamowała. – A można by się spodziewać, że po tylu latach zwariowane fanki przestaną nawiedzać jej grób.

Wyskoczyłam z samochodu i pognałam, ale gdy dotarłam do celu, Mai już tam nie było. Grób naturalnie stał nienaruszony, a jego widok bardzo mnie poruszył. Przedtem był to dla mnie tylko skrawek ziemi przykryty smutkiem

innych, a także miejsce, gdzie mogłam karmić gniew i żal. Lecz teraz wszystko było inaczej. Było to miejsce, gdzie będę opłakiwać dwie matki. Matkę tragiczną, którą straciłam wiele lat temu, i matkę radosną, którą poznałam w innej osi czasu i z którą musiałam rozstać się wczoraj. Żałowałam bardzo, że nie do końca wykorzystałam dany mi czas. Nie wszystko zostało powiedziane, nie namówiłam jej, by znów zaczęła pisać, bo ktoś, kto ma tak wielki talent, nie może milczeć. Żałowałam też bardzo, że nie poznałam bliżej Parkera. Tak, to wszystko należy już do przeszłości. A jak będzie z moim nowym życiem w innej osi czasu? Czy kiedykolwiek powrócę do swojego świata, czy też do końca moich dni będę wędrować, ścigając alternatywne warianty mojej osoby? A jeśli wrócę kiedyś do domu, to czy będę cieszyć się życiem – przecież tego wreszcie się nauczyłam – czy znów przyjmę postawę, która do niczego nie prowadzi?

Maya na pewno wie... Tylko czy Maya była przy tym grobie, czy tylko mi się zdawało? Zobaczyłam ją oczyma wyobraźni, bo tak bardzo chciałam ją zobaczyć, czy też...

Tak, była tu. Musiała tu być i stąd ta książka. Otwarta leżała na grobie grzbietem do góry, tytuł był doskonale widoczny:

„DRZWI DO NA ZAWSZE”

Ta właśnie książka. Kiedy wzięłam ją do ręki, okazało się, że leży pod nią wyrwana z tomiku poezji mojej matki kartka z wydrukowanym wierszem. Tę kartkę pozostawił tu ktoś, kto stracił nadzieję...

Rozpacz jest jak piórko

Sfruwające powoli

Do największych, najczarniejszych, bezdennych

Głębi mego serca.

Dławi mnie

Dusi

Po kawałku niszczy moją duszę.

I nawet najgorętsze łzy

Nie zmyją ze mnie tego smutku.

Moje łzy też popłynęły. Strumienie łez, których nie mogłam powstrzymać. Oddałabym wszystko, by móc objąć matkę, tę matkę tragiczną, i choć trochę pomniejszyć jej ból, wyjawić, że istnieją takie światy, w których smutek jej nie dosięga, gdzie nie jest zrozpaczona, załamana. Przecież parę dni temu moja matka i ja razem zajadałyśmy się tortem urodzinowym, a któregoś wieczoru, razem oglądając film, pękałyśmy ze śmiechu. Razem oglądałyśmy zdjęcia rodzinne, świadczące o jej życiu jako osoby pogodnej i spełnionej.

Pogłaskałam chłodny marmur nagrobka.

– Tak, mamo, już wszystko rozumiem. Kocham cię i ci wybaczam.

O tak, te słowa były jak balsam na ranę, którą nosiłam w sobie od lat.

Przykucnęłam i zajęłam się książką. Przewracałam kartki, natrafiając na notatki Mai, które zrobiła, gdy spotkałyśmy się w bibliotece w innej rzeczywistości. A fakt, że książka znalazła się tutaj, świadczył niezbicie, że Maya także tu jest. Bardzo bym chciała się z nią zobaczyć i powiedzieć, że wszystko powoli zaczyna układać się w mojej głowie. Tak, muszę z nią porozmawiać, ale jeszcze nie teraz. Dopiero wtedy, kiedy będę wiedziała, dlaczego ta książka znalazła się tutaj.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Jak z tobą? – Ktoś delikatnie pogłaskał mnie po ramieniu. – Dobrze się czujesz?

Cassie. Kiedy ją zobaczyłam, poczułam coś w rodzaju *déjà vu*, bo przecież tak już było. Moja siostra pojawiła się na cmentarzu i stała dokładnie w tym samym miejscu. Działo się to zaledwie przed kilkoma dniami, choć zarazem miałam wrażenie, że przed wiekami, bo tyle się wydarzyło, tyle się dowiedziałam, tyle przeżyłam od tej chwili, kiedy wraz z Cassie po raz pierwszy weszłam do Domu Łez.

Tego ranka, choć wcale tego nie chciałam, obsesyjnie zastanawiałam się nad stanem swego umysłu. Zdawałam sobie sprawę, że prawie mnie zawiódł, kiedy gotowa byłam zrezygnować z mego prawdziwego życia. Ale na szczęście to minęło i oddałabym wszystko, by tam powrócić, tym bardziej że wiedziałam już coś istotnego.

Przez całe moje życie zamartwiałam się, czy nie odziedziczyłam po matce skłonności samobójczych, a okazało się, że niepotrzebnie, bo w żaden sposób nie łączy się to z genetyką. Nie mam w sobie podstępnych genów samobójczych, które tylko czekają, kiedy przypieczętuje swój los. I gdy tak sobie myślałam, że tyle lat z tym się męczyłam, naprawdę byłam bliska załamania. Na szczęście udało mi się podnieść do pionu. Znowu się dołujesz, dziewczyno, kiedy powinnaś się cieszyć. Pozbyłaś się strasznego balastu, już nigdy nie będzie prześladowała cię myśl, że pójdziesz w ślady matki. A twoja matka nie bez powodu nie wychodziła z depresji. Samobójstwo to był jej wybór, a nie coś, co przekazała ci w spadku.

Cassie uklękła przed nagrobkiem i zrobiła długi, drżący wdech.

– Och, Jen! Jaka byłam głupia! Przez te wszystkie lata czułam się winna, bo gdybym była grzeczniejsza i zawsze mówiła „proszę” i „dziękuję”, gdyby w moim pokoju zawsze był wzorowy porządek... Gdybym była i dobra, i mądra, i ładna, to może ona... – Znowu drżący wdech, a potem zakończyła załamującym się głosem: – To może ona by od nas nie odeszła.

– Też tak często myślałam, Cassie. – Uklękłam obok niej, a kiedy mocno ją objęłam, powiał zimny wiatr, i wtedy pomyślałam, że może właśnie przeleciał duch naszej matki.

– A przecież to nieprawda – z goryczą po chwili dodała Cassie. – Ona w ogóle się mną nie przejmowała, a na świat przyszłam tylko dlatego, że miałam zastąpić jej syna, którego straciła. Kiedy tak się nie stało, przestała w ogóle mnie zauważać. Na pewno nie byłam dla niej kimś, dla kogo warto żyć.

– Przestań siebie obwiniać, Cassie, o cokolwiek.

– Wcale siebie nie obwiniam. Już nie – odparła twardym głosem. Zmrużyła

też oczy, a kiedy dostrzegłam, co w nich jest, poczułam na plecach lodowaty dreszcz. – Winny jest on – oznajmiła Cassie.

Było oczywiste, że ma na myśli naszego ojca. Rozumiałam jej gniew, ale w ciągu ostatnich dni jednego na pewno się nauczyłam. Obarczanie winą innych jest bezsensowne.

– To był jej wybór – powiedziałam, wpatrując się ze smutkiem w nagrobek. – Mogła postawić się ojcu i wybrać dziecko.

Gdyby tak się stało, Cassie nie byłoby na świecie. Już wiedziałam, jak by to było, dzięki temu, że przebywałam w osi czasu, w której nasza matka nie zgodziła się na oddanie synka do adopcji. Przynajmniej do moich urodzin ojciec próbował pogodzić się z jej decyzją, jednak w końcu zrezygnował z tego małżeństwa i wyjechał na długo przed tym, zanim Cassie została poczęta. Tak było, ale oczywiście powiedzenie o tym Cassie nie miało najmniejszego sensu.

Przez długą chwilę milczyłyśmy, klęcząc obok siebie, pochłonięte swoimi myślami. Ja zastanawiałam się, jak to mogło się stać, że decyzja jednej kobiety miała wpływ na życie tylu osób.

Cassie pochyliła się i zebrała z trawy jakieś papierki.

– Tajemnice, kłamstwa... – wymamrotała, podnosząc się z kolan. – Całe moje życie oparte jest na tym, na tajemnicach i kłamstwach.

A mnie przez głowę zaczęły przelatywać fragmenty wierszy matki, które obecnie odbierałam inaczej. Kiedyś jej wersy były dla mnie mroczne, teraz w każdym z nich wyczuwałam ból. Każde przelane na papier słowo nabrzmiało było rozpaczą. Nic dziwnego, że choć minęło tyle lat, kobiety nadal przychodzą na jej grób. Przecież zwracała się do nich, a nawet więcej: przemawiała w ICH imieniu. Jej głos, pełen cierpienia, był także głosem tych kobiet, bo ich lęki ubierała w słowa i wykrzykiwała na cały świat. Nie potrafiła jednak uciszyć demonów w swoim umyśle. I to te demony nam ją odebrały.

Wstałam i wzięłam Cassie za rękę.

– Od dziś nie ma żadnych tajemnic. Żadnych.

Tak bardzo kochałam młodszą siostrę. Nie mogłam uwierzyć, że był taki moment, kiedy zapragnęłam zostać w rzeczywistości, w której Cassie nie było.

Wzięłyśmy się za ręce i kiedy wolnym krokiem szłyśmy do samochodu, podmuch wiatru poderwał leżące na ścieżce listki. Zawirowały w powietrzu, a ja, śledząc je wzrokiem, po raz pierwszy zauważyłam, ileż tu kolorów. Szarość zimy minęła, przyszła wiosna, niosąc ze sobą prawdziwą feerię barw. Dzikie kwiatki rosnące wzdłuż trawnika już kwitną. Na wielu grobach stoją gliniane wazony, w nich też kwiaty pięknie poukładane, a wokół zielona trawa. Wreszcie to zobaczyłam, bo do tej chwili zaślepiona byłam rozpaczą. Bo czarne kredki z dzieciństwa zabrałam ze sobą w dorosłość i dlatego cały świat dla mnie to tylko czerń i różne odcienie szarości. Ale to już przeszłość, wreszcie zobaczyłam świat

taki, jaki jest. Kolorowy i przepiękny.

Cassie podwiozła mnie pod dom. Prosiłam, by została na obiedzie, ale podziękowała, ponieważ miała coś ważnego do zrobienia. Czyżby zamierzała wyruszyć na poszukiwanie brata? Mogłam jej powiedzieć, że już go znalazłam, ale nie zrobiłam tego z obawy, że zrodzi to nowe pytania, na które nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Parker, obecnie lekarz, którego zobaczyłam na szpitalnym korytarzu. Kiedy zawołałam go po imieniu, nie zareagował, ale wiedziałam, że to mój brat, tylko w tej rzeczywistości wychowany przez przybranych rodziców. Nieświadomy, że jego rodzona matka umarła przekonana, że on nie żyje. Nie wiedział też, że ma dwie siostry, które uparły się, że go odnajdą.

Ciekawa byłam, jak wyglądały jego dzieciństwo i wiek dorastania. Czy chciał poznać swoich prawdziwych rodziców i rodzeństwo? Czy powita nas z otwartymi ramionami? Nie wiadomo, bo może zadowolony jest ze swojego życia i dwie siostry, całkiem mu obce, nie są mu do szczęścia potrzebne. Ale i tak moim zdaniem powinniśmy się odnaleźć i w tym świecie, i w świecie, w którym byłam przedtem. I odnajdziemy się, bo takie jest nasze przeznaczenie. Wiedziałam z własnego doświadczenia, że drogi ludzi, którzy coś dla siebie znaczą, nawet jeśli się rozejdą, to i tak prędzej czy później znów się zejdą. A poza tym kto wie, czy nie przysłało mnie do osi czasu właśnie po to, by Parker spotkał się z najbliższymi, których dotąd nigdy nie widział.

Myślałam o tym, wchodząc do domu. Pustego, ponieważ Bob tego dnia pokazywał klientom domy na sprzedaż. A tak, bo okazało się, że w tej osi czasu Bob również zajmuje się nieruchomościami. Dla mnie było to niezmiernie ważne, ponieważ moim zdaniem znaczyło, że wreszcie zbliżam się do mojej własnej osi czasu, do tej, w której po raz pierwszy spotkałam Boba przed Domem Łez.

Zrobiłam sobie herbatę i rozsiadłam się z książką, w której Maya robiła notatki w bibliotece, a potem zostawiła na grobie mojej matki. Czyli jeszcze jeden przedmiot, który dotarł wraz ze mną do innej osi czasu. Kiedy po raz pierwszy przeniosłam się do innej rzeczywistości, razem ze mną przybyły tam kartka z wierszem matki oraz figurka Dorotki. Za drugim razem towarzyszyła mi broszka, czyli drzewko od Parkera. Zawsze też podróżowało razem ze mną moje ubranie. I całe szczęście, bo w przeciwnym wypadku wróciłabym do mego świata golotka jak tuż po narodzinach, tyle że mocno już wyrosnięta! I co ludzie by powiedzieli na mój widok?!

Otworzyłam książkę na stronie, na której Maya narysowała drzewko ludzaco podobne do broszki od Parkera. Czy to przypadek? Nie, z pewnością Maya chciała, żebym wychwyciła podobieństwo. Przecież to właśnie drzewo w symboliczny sposób odwzorowywało koncepcję, która rodziła się w mojej głowie.

A więc – wybory. Większość wyborów, jakich dokonujemy każdego dnia,

nie powoduje żadnych zasadniczych zmian w naszym życiu. Są to wybory typu: zjemy dziś fasolkę czy szparagi? Obejrzymy komedię czy dramat? Takie wybory to te najmniejsze gałązki, które wplatają się w inne gałązki, nie naruszając jednak całościowej struktury. Co innego podejmowanie ważnych decyzji, które powodują rozwidlenie naszej rzeczywistości i podobnie jak u drzewa, gdy z pnia wyrastają dwa konary, powstają dwie odrębne rzeczywistości. Życie toczy się dalej, ale w dwóch różnych kierunkach. W jednej rzeczywistości jesteś TYM, KTÓRY TO ZROBIŁ, a w drugiej, gdzie wszystko dzieje się jednocześnie, jesteś tym, KTÓRY TEGO NIE ZROBIŁ. Tak, chyba to rozgryzłam. Wszystko kręci się wokół wyborów, przy czym sprawą podstawową nie jest podjęcie decyzji słusznej, co każdemu wbija się do głowy. Nie. Najważniejsze to wykorzystanie wszystkich możliwości.

Dotknęłam miejsca, gdzie pień drzewka rozwidlał się i wyrastały z niego dwa konary. To miejsce mogło oznaczać ultimatum ojca. Ja albo on. Czyli jeden z konarów to decyzja matki, że wybiera Parkera. Ojciec niby z tym się godzi, ale do czasu, aż wreszcie opuszcza rodzinę. Dlatego Cassie w tej rzeczywistości nie istnieje. Drugi konar to druga możliwość. Matka wybiera męża, wyrzekając się dziecka, czego sobie nigdy nie wybaczy, i w rezultacie popełnia samobójstwo. Obie te rzeczywistości miałam okazję poznać. W moim prawdziwym życiu wariant tragiczny, a dzięki niezwyklej podróży po różnych osiach czasu dane mi było przez krótki czas poznać świat, w którym matka podjęła decyzję, z którą potrafiła żyć dalej. Ale choć już wiem, że alternatywnych rzeczywistości jest bardzo wiele, tyle, ile gałęzi na tym drzewie, i tak chcę wrócić do mojego dawnego świata. Tam gdzie jest Cassie. Tam gdzie swoje życie znam najlepiej. Życie, które zapewne nie jest idealne, ale zawsze można w nim coś zmienić.

Przesunęłam palcem po gałązce oznaczającej oś czasu, w której teraz byłam. Przesunęłam do samego końca, do rozwidlenia, czyli do kolejnego punktu zwrotnego, a więc ślubu Diane. Ta gałązka tutaj to moja obecna rzeczywistość. Zdecydowałam, że pójdę na ślub, tam poznałam Boba, którego poślubiłam, i dzięki temu trafiłam do tej rzeczywistości, w której obecnie przebywałam. Tak, ale teraz trzeba przejść do gałązki oznaczającej, że tamtego dnia, kiedy był ślub Diane, zostałam w domu razem z Cassie. Bo to przecież z tej gałązki, oznaczającej moją prawdziwą rzeczywistość, raptem zsunęłam się, wpadając do ukrytego pokoju. Tak, musiałam znaleźć to miejsce, bo chociaż u boku kochającego męża w uroczym domu i w rzeczywistości tak obiecującej było mi cudownie, to jednak nie był to mój świat. Na pewno nie mój.

Czy znajdę to miejsce? Muszę! Bo muszę wrócić do mego prawdziwego świata, bo to niemożliwe, żebym pozostała w którejś z tych rzeczywistości, w których Cassie, moja młodsza siostra, po prostu nie istnieje. Absolutnie nie! Nie chcę wymazywać jej ze swego życia. Nie chcę, by w mej pamięci nie było tych lat,

kiedy ją wychowywałam. Przecież te lata są bezcenne, bo po pierwsze, kocham Cassie, a po drugie, właśnie ze spoglądania wstecz można wiele się nauczyć. Jedno już wiem. Na decyzję matki nie mogłam wpłynąć, to po prostu niemożliwe. Ale nie wolno mi dopuścić, by decyzja kogoś innego aż do takiego stopnia zaważyła na moim życiu. Mogłam się otrząsnąć, wytłumaczyć sobie wiele rzeczy i dzięki temu reagować oraz postępować inaczej, podążając swoją drogą po swojej gałęzi.

Niemniej jednak wszystkie te alternatywne życia należały do mnie. Tak, wszystkie, było przecież oczywiste, że po każdej gałęzi możesz podążać w obie strony, albo w górę, albo w dół. Tak? Ale skąd ta moja podróż przez osie czasu? A stąd, że w którymś momencie moja świadomość musiała się rozdzielić i każda z tych połówek zaczęła żyć swoim życiem. Owszem, sięgałam pamięcią wstecz, do punktu wyjścia, jednak nie ogarniałam tego, co jednocześnie się dzieje na innych gałęziach.

Wcale nie musiałam szukać potwierdzenia u Mai. Byłam pewna, że mam rację, bo kiedy wodziłam palcem po gałęziach, wszystko nabierało dla mnie sensu. Chociażby to, że nie można przewidzieć, która decyzja jest słuszna, a która nie. Dopiero potem, spoglądając na minione lata, można osądzić, co z tego wyszło, i wyciągnąć stosowne wnioski. Nasze błędy też są bardzo ważne. Podsumowując, są drogi życia wynikające ze złej decyzji, są takie, które wynikają z decyzji słusznej, są drogi życia, które można określić jako mieszane...

Sięgnęłam po filiżankę z herbatą. Zimna, więc dołałam gorącej i dalej rozmyślałam. Żałowałam, że nie mam z kim pogadać o mojej teorii. Bardzo chciałam usłyszeć z czyichś ust, że to nie jest jakiś wariacki pomysł, nawet gdyby ten ktoś powiedział to bardzo ostrożnie, bez odrobiny entuzjazmu. Bo wcale nie uważałam, że mi odbiło. Czułam się tak zdrowa na umyśle jak nigdy dotąd, a także pełna optymizmu i w niczym winna. Wcale nie byłam do niczego. Po prostu żyję w jednej z tych rzeczywistości, dla mnie moim prawdziwym świecie. Moje życie co prawda nie było doskonałe, ale zdecydowana byłam wprowadzić pewne poprawki. I postaram się zrobić to jak najlepiej.

A jeśli chodzi o tę rzeczywistość, w której przebywam tymczasowo, to tu również mam coś do zrobienia i powinnam zrobić to jak najprędzej, bo czułam, że długo tu nie zagrzeję miejsca. Nauczyłam się już czegoś, więc na pewno niebawem przerzucą mnie gdzie indziej. Ale zanim stąd odejdę, powinnam powiedzieć Cassie wszystko, co wiem o naszym bracie, choć tej rozmowy po prostu się bałam. Przecież Cassie była rozżalona, pewna, że wszyscy wokół ją okłamują. Może mieć pretensję, że wiem, jak nasz brat się nazywa, a jednak jej tego nie powiedziałam. Tyle że nie mogłam jej zdradzić, skąd to wiem, wyznać, że poznałam go w innej rzeczywistości, dzięki czemu rozpoznałam go w tej rzeczywistości. Musiałabym wtedy wyjaśnić siostrze całą tę sytuację, a nie wiadomo, jak by to przyjęła. Dlatego postanowiłam zrezygnować z rozmowy i zrobić coś innego.

Wyrwałam pierwszą lepszą kartkę z książki i na marginesie napisałam „Dr n. med. Daniel Cody”. Złożyłam kartkę, schowałam do koperty i na kopercie napisałam imię Cassie. Tę kopertę wsunęłam między kartki pamiętnika. Byłam pewna, że kiedy mnie już tu nie będzie – przecież w każdej chwili mogą mnie przenieść do innej rzeczywistości – Cassie w którymś momencie tę kopertę znajdzie, domyśli się, o kogo chodzi, i ta informacja bardzo jej pomoże w poszukiwaniu brata. Bo na pewno będzie szukać, jako że Cassie jest pełna determinacji. Odnajdzie go, powie mu co i jak...

A może jednak jest to za duże ryzyko, ta kartka, w ogóle te poszukiwania?

Czułam się okropnie samotna. Bardzo chciałam pogadać z kimś o tym, poradzić się. Ale z kim? Oczywiście, że od razu pomyślałam o Diane, mojej przyjaciółce, która już kiedyś dodawała mi otuchy. Czy robi to jeszcze raz? Łączyła nas przecież długoletnia przyjaźń, przynajmniej w tej rzeczywistości.

Tak pomyślałam i od razu, zanim zaczęłam się wahać, chwyciłam za komórkę.

Niestety po piątym sygnale włączyła się poczta głosowa i usłyszałam radosny głos Diane:

– Zostaw wiadomość. Postaram się oddzwonić jak najszybciej.

Trudno. A więc teraz ja:

– Cześć, Diane. Tu Jenna. Chciałam ci... po prostu bardzo podziękować i tobie, i mężowi za wspólnie spędzony czas. Było świetnie...

A potem jeszcze coś. Wprawdzie wolałabym to powiedzieć osobiście, ale czułam, że mój czas tutaj dobiega końca.

– Chciałam jeszcze powiedzieć, że kocham cię i bardzo cenię naszą przyjaźń. Obiecuję, że nigdy cię nie zawiodę.

To nie wszystko. Dopiero początek, bo tak naprawdę przeproszać ją będę później, po powrocie do domu. Przeproszać przyjaciółkę, której kiedyś sprawiłam tak wielką przykrość. Prosić o wybaczenie z nadzieją, że przyjmie przeprosiny i ku mej największej radości znów zaistnieje w moim życiu.

Kiedy Bob wrócił do domu, w piecyku pykała zapiekanka. Do zapiekanki miała być zielona sałata. Upiekłam też bułeczki, a na stole pojawiła się nasza najlepsza zastawa z chińskiej porcelany, połyskująca w migotliwym blasku świeczek.

– O! Czyżby jakaś szczególna okazja? – spytał Bob.

– Ja wiem? Po prostu uważam, że każdy dzień ma w sobie coś szczególnego.

– O! – Bob przechylił głowę na bok i uśmiechnął się. – To jest właśnie Jenna, którą znam i kocham.

Powiedział, że kocha, dlatego nie mogłam się powstrzymać od tego właśnie pytania:

– A można wiedzieć, co takiego jest we mnie, co wzbudza w tobie to

drogocenne uczucie?

Bob zaśmiał się, potem spoważniał.

– Pytasz na serio?

Pokiwałam głową. Bo tak, absolutnie na serio. Bardzo chciałam wiedzieć, co można we mnie pokochać, ponieważ sama siebie nigdy nie kochałam.

Wziął mnie za rękę i podprowadził do kanapy. Usiedliśmy tak blisko siebie, że czułam, jak jego ręka ociera się o moje ramię, a cały Bob jest tak cudownie ciepły, że najchętniej wtuliłabym się w niego.

– Przede wszystkim, Jen, w tobie nie ma niczego, czego nie można by pokochać. Masz w sobie wszystko, co powinna mieć wymarzona żona, kochanka i najlepsza przyjaciółka. Jesteś inteligentna, słodka, urocza, a także, co też bardzo ważne, wspaniałomyślna. Potrzeby innych ludzi są dla ciebie najważniejsze, przez co niestety czasami szkodzisz sobie samej. Po prostu masz w sobie coś z matki żywicielki.

Spuściłam głowę. Musiałam, bo nie zasługiwałam na tyle miłości, ile dostrzegłam w jego oczach.

– I jeszcze jedno – dodał, głaszcząc mnie po policzku. – Masz wystrzałowe ciało.

Co?! A teraz to trudno było się nie zaśmiać.

– Wystrzałowe, powiadasz?

I wtedy mój mąż uniósł znacząco brwi i wydał z siebie niski, również znaczący pomruk.

– Wiesz, o czym myślę, kotku.

Więc ja naturalnie też żartobliwie:

– Tak, piesku. I to z powodu tego wystrzałowego ciała wzięłeś mnie za żonę?

– Wyobraź sobie, że nie! Owszem, przyznaję, zwróciłem na ciebie uwagę, bo zobaczyłem ciało. Ale ożeniłem się z tobą, ponieważ nie wyobrażałem sobie życia bez ciebie.

Westchnęłam długo, głęboko, tęsknie. Przecież to nie ja, tylko moje alter ego wzbudziło w nim takie uczucia. Ale też bardzo bym chciała wzbudzać miłość, uwielbienie. Być tą, bez której jej mężczyzna nie wyobraża sobie życia.

A Bob nagle spoważniał.

– Pomogłaś mi w najtrudniejszym okresie mojego życia. Po śmierci Bretta byłaś przy mnie i dodawałaś mi sił. – I dodał po chwili: – Tak naprawdę byłaś.

A ja spytałam mocno poruszona:

– Brett?

– O, przepraszam, zapomniałem, że masz problemy z pamięcią. Brett, mój brat. Razem z żoną zginął w katastrofie lotniczej.

– O Boże... – Pełna współczucia wzięłam go za rękę i leciutko ścisnęłam

palce. Wiedziałam przecież, jak to jest, kiedy traci się kogoś z najbliższych.

– Byłaś nadzwyczajna, Jen. Troszczyłaś się o wszystkich, także o ich córkę. Wzięłaś to biedactwo pod swoje skrzydła i pomogłaś jej dojść do siebie. Nie wiem, jak wszyscy bez ciebie dalibyśmy sobie radę.

Wszyscy? Chciałam wypytać go o pozostałych członków rodziny, o których nic przecież nie wiedziałam, ale wolałam nie drażnić smutnego tematu, bo ta rana na moje wycucie musiała być jeszcze zbyt świeża.

– A więc, Jen, sama powiedz, czy to takie dziwne, że cię Kocham?

Milczałam, bo przez chwilę miałam wrażenie, jakbym patrzyła na siebie samą z boku. Patrzyła i dziwiła się. A więc to mam być ja? Człowiek, który może i faktycznie zasługuje na to, by go pokochać?

Bob nachylił się. Wyraźnie chciał pocałować mnie w policzek, ale ja, zaskakując tym na pewno nas oboje, przekręciłam głowę, by jego usta natrafiły na moje usta. Natrafiły, oczywiście, i tam już pozostały. Objęłam Boba za szyję i przylgnęłam do niego całym ciałem, rozkoszując się słodkim pocałunkiem. Słyszałam, jak jego serce przyśpiesza – moje po prostu się rozszalało – a kiedy rozchyliłam wargi i pocałunek stał się bardzo namiętny, Bob cicho jęknął.

– Jakże stęskniłem się za tobą...

– Przecież jestem.

Wtedy poderwał głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Czy naprawdę? Naprawdę jesteś tutaj, ze mną?

Jemu nie potrafiłabym skłamać, dlatego spojrzałam w bok, siląc się na odpowiedź niby żartobliwą:

– Bardzo się staram, Bob! – Przecież marzę o tym, by po powrocie do mojego starego świata nastąpiła powtórka cudnych chwil razem z Bobem. – A jak by to było, Bob, gdybyśmy nigdy się nie spotkali?

– Niemożliwe. Jesteśmy sobie przeznaczeni – powiedział, uśmiechając się wyjątkowo ciepło. – Z góry było przewidziane, że wpadniemy na siebie.

W taki czy inny sposób, oczywiście... I to dawało mi nadzieję, że Bob będzie istniał we wszystkich tych życiach, jakie jeszcze odwiedzę w mej wędrówce. Nasze drogi prędzej czy później na pewno się jeszcze zejdą.

– Jemy! – zawołałam, podrywając się z kanapy i już żałując, że ciepłutki Bob raptem ode mnie się oddalił.

Poszliśmy do kuchni. Bob kończył nakrywać do stołu, ja doprawiałam sałatę, miałam więc chwilkę na zebranie myśli. Przede wszystkim uderzyło mnie to, że razem z Bobem wszystko idzie tak sprawnie. Tak, bo tworzyliśmy naprawdę zgrany zespół. W sumie nic dziwnego, w końcu mieszkaliśmy pod jednym dachem i taka sytuacja jak teraz zdarzyła się już setki razy. Ale dla mnie to przecież nowość. Tak samo jak to, że podczas wykonywania różnych czynności wciąż pojawiał się erotyczny podtekst. Ktoś kogoś dotknie albo wymowne spojrzenie czy

otarcie się biodrem. Miałam nadzieję, że rumieniec na mojej twarzy można wytłumaczyć żarem buchającym z piekarnika i tylko ja jedna wiem, co jest tego prawdziwą przyczyną.

Podczas obiadu, zerkając na Boba, pomyślałam, że dziwnie łatwo mi wejść w rolę kochającej żony. I cudnie byłoby zostać tu, gdzie jest się kochaną, gdzie czułabym się bezpieczna. Choć na tę miłość nie zasłużyłam, czyli byłoby to życie w kłamstwie. Słodkim, niemniej kłamstwie.

Dziobałam widelcem zapiekankę, dziobałam, ale jakoś nie miałam ochoty niczego przełknąć. Bo nie jedzenie było mi w głowie, lecz pocałunek. Myślałam tylko o tym i przeżywałam jeszcze raz. Nic dziwnego więc, że kiedy podniosłam głowę znad talerza i zauważyłam, że Bob mi się przygląda, moje policzki od razu zrobiły się gorące. Czyżby Bob domyślał się, o czym myślę?

Sięgnęłam po bułeczkę i posmarowałam ją masłem. Powolutku, a zanim otworzyłam usta, odchrząknęłam.

– Bob, powiedz mi, od jak dawna mieszkamy w Domu... no... w tym domu?

– Od kilku lat. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ten dom, od razu go pokochałem. I zabawne, bo stał pusty przez kilka miesięcy, a wystawiony został na sprzedaż właśnie wtedy, kiedy zaczęliśmy szukać czegoś dla siebie.

– Ciekawe.

– A tak. Można pomyśleć, że los chciał, byśmy zamieszkali właśnie tutaj.

Właśnie w tym domu, Domu Łez. On przecież tu jest, jest wszędzie i wcale mnie to nie dziwiło. Bo mimo że są to różne rzeczywistości, coś jednak je łączy. Coś, co jest i tu, i tam. Te same wydarzenia, miejsca, także osoby. Na przykład Maya...

Bob odchrząknął.

– O czym myślisz?

– Ach, tylko tak sobie pomyślałam. O życiu, śmierci i wieczności.

Bob zaśmiał się.

– A, o tym? I o tym myślisz tylko tak sobie?

– Wyobraź sobie, że tak. Bob, a czy znasz może pewną kobietę o imieniu Maya? Jest mniej więcej mojego wzrostu, gdzieś tak po sześćdziesiątce.

– Maya... – Bob postukał się w głowę, czyli zastanawiał się. – Jak ta poetka? Poetka? No przecież! Maya Angelou. Jak mogłam tego nie skojarzyć!

– Tak, jak ta poetka – powiedziałam i jak to ja, już się zastanawiałam, czy to zbieg okoliczności? Moja rodzona matka była poetką, a teraz macierzyńską opieką otacza mnie ktoś, kto ma takie samo imię jak inna słynna poetka. Czyli to pewnie jeszcze jeden dowód na to, że Maya jest tylko wytworem mojej wyobraźni.

Zdaje się, że psycholog miałby pole do popisu.

– Nie, nie znam żadnej starszej pani o tym imieniu – oświadczył Bob. – A dlaczego pytasz?

– Sama nie wiem. Musiałam gdzieś o niej słyszeć, więc zapytałam.

Bob wstał i zaczął sprzątać ze stołu.

– A może to znaczy, że wraca ci pamięć?

– Chyba masz rację.

Też wstałam i zaczęłam mu pomagać. Posprzątałśmy ze stołu, potem stanęliśmy ramię w ramię przed zlewem. Jedno zmywało, drugie wycierało. I znów pełna harmonia, jakbyśmy robili to co wieczór.

– W zmywaniu jesteś rewelacyjny. Mógłbyś pracować przy zmywaku – zażartowałam, a zaraz potem przypomniałam sobie, o czym rozmawialiśmy w tamtej poprzedniej rzeczywistości. Ciekawe, czy i w tej Bob ma to samo marzenie. – Może myślałeś kiedyś o tym, żeby poprowadzić pensjonat?

Bob uśmiechnął się.

– Zabawne, że o tym właśnie pamiętasz. Bo tak, zawsze marzyłem o pensjonacie, ale wciąż z tym zwlekam, bo to jednak ryzykowne przedsięwzięcie. Zanim interes by się rozkręcił, nie mielibyśmy stałego dochodu... – Wytarł ostatni talerz i rozwiesił ściereczkę do naczyń na metalowym drążku przy zlewie. – Krótka mówiąc, boję się rzucić stałą pracę i zaryzykować. Jestem przecież żonaty, a kiedyś może rodzina nam się powiększy.

– Poczekamy, zobaczymy – rzuciłam dowcipnie. – A skoro mowa o rodzinie... Byłam dziś u ojca i dowiedziałam się wielu rzeczy o mojej matce.

– To znaczy?

Odetchnęłam głęboko, po czym opowiedziałam Bobowi wszystko, czego dowiedziałam się od ojca. Mówiłam szybko, może nawet chaotycznie, kończąc z dramatyczną intonacją:

– I przez wszystkie te lata nie wiedziałyśmy o tym! Ani ja, ani Cassie!

– W głowie się nie mieści – skomentował Bob, pocierając ramiona. – Chcesz go odnaleźć? Mogę wynająć prywatnego detektywa albo zaczniemy od internetu. Na pewno są tam strony, gdzie pomagają tym, którzy zostali adoptowani, odnaleźć rodzeństwo.

O Boże, jakże chciałam go teraz wyściskać. Cudowny człowiek, od razu zaczął się zastanawiać, jak mi pomóc!

Podeszłam do niego, objęłam w pół i oparłam głowę na jego ramieniu.

– Dzięki, Bob.

Przytulił mnie, a ja, wdychając jego zapach, czułam, jak moje ciało ożywa i budzą się w nim najrozmaitsze odczucia. Zaczyna się to w klatce piersiowej, rozlewa i wnika wszędzie. Z Bobem też coś się działo. Wiadomo co. Byłam przecież wtulona w niego i doskonale wyczuwałam ten niezbity dowód, że stęsknił się za żoną.

Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam tego robić, ale w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ potrzeby ciała były tak wielkie, że umysł

przestał funkcjonować. Pogłaskałam Boba po głowie. Włosy tuż nad karkiem kręciły się, jakby dawno już nie odwiedził fryzjera. I te jego włosy były cudne, gęste i czarne. Kiedy wsunęłam w nie palce i leciutko pociągnęłam, Bob cicho jęknął.

A potem miałam okazję się przekonać, co znaczy instynkt. Posłuchałam go i okazało się, że dotykałam, całowałam i głaskałam właśnie te miejsca, które trzeba pieścić, by obudzić w Bobie bestię, która porwała mnie na ręce, a ja wtuliłam się w nią ulegle. W jego ciało, które znałam tak dobrze jak swoje. Takie przynajmniej odnosiłam wrażenie. Wszystko było znajome, i szeroka klatka, i płaski brzuch, i to co niżej, teraz nabrzmiałe. Nie miałam pojęcia, dlaczego tak było. Ale było i instynkt posiadania doszedł do głosu.

Ten mężczyzna jest mój.

Pożądanie podsycane było świadomością, że mój czas w tej rzeczywistości w każdej chwili może dobiec końca. Dlatego żadnych hamulców.

– Chcę ciebie, Bob – wydyszałam. – Chcę teraz.

Nie musiałam dwa razy prosić.

Bob zasnął, a ja długo jeszcze nie mogłam zmrużyć oka. Leżałam bezwładna, rozleniwiona, prawie płynna jak gorąca masa na cukierki toffi, i tylko co jakiś czas przeciągałam się, wydając z siebie długie, pełne satysfakcji westchnienie. Bob mógłby mieć tysiąc wad, ale ja i tak zawsze bym za niego wyszła. Dla samego seksu.

Przekręciłam się na bok, oparłam się na łokciu i zaczęłam przyglądać się jego twarzy. Wargi miał lekko rozchylone, oddech cichy, ciepły. Bob całkiem pograżył się w głębokim śnie, dlatego był tak cichy, nieruchomy i jakiś taki bezbronny. Mój Bob.

– Na pewno znowu cię odnajdę – szepnęłam. – Obiecuję. Odnajdę cię, choćbym nie wiadomo jak długo miała szukać. A będę szukać do końca życia i w każdej rzeczywistości.

Bob mruknął coś przez sen, przekręcił się na bok i wtulił twarz w poduszkę, a ja pocałowałam go w skroń, wstałam z łóżka i naga, w mroku, pogłaskałam się po brzuchu. Nie zabezpieczyliśmy się, ciekawe więc, czy nie zrobiliśmy sobie dzidziusia. Jeśli nie, to i tak w którejś osi czasu będziemy mieli dzieci i stworzymy prawdziwą, kochającą się rodzinę. Na pewno.

Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo chciałam mieć rodzinę. Rodzice i dzieci, na przykład chłopczyk. Ciemnowłosy, jeszcze malutki, ale twarz już o zdecydowanych rysach, jak u Boba. A dziewczynka? Sama słodycz. Będę ubierała ją na różowo i będziemy się bawić, że przychodzimy do siebie z wizytą na herbatkę.

Włożyłam szlafrok i na palcach, żeby nie obudzić Boba, poszłam do łazienki. Byłam bardzo ciekawa, czy Bob też chciałby powiększyć rodzinę. Jutro

go o to zapytam. Zresztą nie tylko o to. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o jego rodzinie, o bratanicy, której starał się zastąpić ojca. Gdzie jest ta dziewczynka? Gdzie rodzice Boba? Czy jeszcze żyją?

Chciałam też kochać się z nim. Jeszcze i jeszcze, i jeszcze... w dzień i w nocy, w nocy i w dzień. Chciałam rzucać się na niego w salonie, uwodzić go pod prysznicem, rozkoszować się każdym kawałeczkiem jego ciała w kuchni...

Może dlatego, że tak bardzo chciałam, wszystkie inne sprawy zaczęły schodzić na drugi plan. Mijały tygodnie, a ja żyłam trwającą chwilą, po której przychodziła następna i następna, każdy nowy dzień witając z uśmiechem. Życie małżeńskie służyło mi o tak, po prostu, jakbym była do tego stworzona. Sprawa odnalezienia Parkera oczywiście została odsunięta na bok. Wspomnienia o moim życiu w innych rzeczywistościach stawały się coraz bardziej mgliste. Bywały dni, kiedy w ogóle nie myślałam o przeszłości, bo i po co, skoro lepszej terażniejszości nie mogłam sobie wymarzyć.

Tego dnia siadłam na chwilę przy oknie w sypialni, żeby popatrzeć na świat, i nagle kątem oka zauważyłam jakiś dziwny cień. Tak, był tam gdzieś, choć widziałam niewyraźnie. I zaraz znikł.

A Bob woła do mnie:

– Hej, hej! Śpiąca królowo! Ubieraj się, przecież mamy dzisiaj gości.

Odwróciłam się i uśmiechnęłam. Bo to prawda, zjawiają się goście. Bo mamy rocznicę.

Bob podszedł do mnie i mocno objął.

– Trudno uwierzyć, że to już pięć lat!

Wtuliłam się twarzą w jego szyję, wdychając zapach wykrochmalonego kołnierzyka i wody po goleniu. Zapachy tak dobrze znane i kochane. Kiedy patrzyłam na Boba, moje serce zawsze biło szybciej. Pamiętałam, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Stał w drzwiach... Jakich drzwiach? Potrząsnęłam głową. Przecież było inaczej! Poznałam go sześć lat temu na ślubie Diane, i wtedy Cassie miała wypadek. Jak mogłam o tym zapomnieć?

Znowu coś stanęło mi przed oczami. Cassie bez blizn z uśmiechem przedstawia mnie Bobowi przed domem... Zaraz, zaraz... jak ten dom się nazywa? Ach, coś mi się pomieszało, ale nie warto się nad tym zastanawiać, kiedy jestem w ramionach ukochanego męża i niebawem wraz z rodziną i przyjaciółmi będziemy świętować piątą rocznicę naszego ślubu.

Najpierw powstałam odpowiednio długo pod prysznicem, potem popracowałam nad włosami i włożyłam jedną z sukienek, które Bob bardzo lubił. Kiedy weszłam do kuchni, od razu zauważyłam, co znajdowało się w wazonie. Pięć różowych goździków, po jednym za każdy rok naszego małżeństwa. A gdy w drzwiach kuchni pojawiła się Cassie z wielkim ciastem z blachy, mimo woli – i jakże niepotrzebnie – przez moment wpatrywałam się w jej twarz.

– Dlaczego mi to robisz? Zawsze! – spytała Cassie, zatrzymując się w progu.

– O co chodzi?

– O to, że zachowujesz się tak, jakbyś po raz pierwszy widziała moją twarz... właśnie taką.

Dlaczego? Może dlatego, że mam jednak poczucie winy. Albo też chodzi o coś innego. Tych blizn nie powinno tam być i za każdym razem, kiedy je widzę, budzi się we mnie irracjonalny sprzeciw. Oczywiście chciałam to jakoś Cassie wytłumaczyć, ale nie zdążyłam, bo spostrzegłam za oknem znów ten intrygujący cień.

– Cassie, spójrz! Co to może być?

Popatrzyła w okno.

– Nic tam nie widzę. To znaczy widzę to co zwykle.

Tak też było. Dziwny cień już znikł, miałam jednak przeczucie, że nie widzę go po raz ostatni. A ten cień nie wróży nic dobrego.

Cassie postawiła ciasto na kontuarze i podeszła do Boba, by cmoknąć go w policzek.

– Jakim cudem wytrzymałeś z nią pięć lat?

Bob zaśmiał się, za to ja pomyślałam, że Cassie nie tak do końca żartowała. Było w tym trochę jadu, bo Cassie mimo wszystko obwinia mnie za oszpecenie. Choćbym nie wiem ile razy ją przepraszała, uraz pozostał.

Zaraz po Cassie nadciągnęli nowi goście. Diane i Dean. Diane z butelką wina.

– Wszystko dla was! Ja nie piję, bo karmię!

Dean niósł maluszka w foteliku samochodowym. Bob chciał go stamtąd wyjąć, ale Dean nie pozwolił.

– Nie rusz, bo ją obudzisz – powiedział przyciszonym głosem. – Kiedy śpi, wygląda jak aniołek, a kiedy nie śpi, potrafi wydzierać się jak prawdziwy demon. Dlatego cieszymy się, że chwilowo jest cisza.

– Ale potem będę mógł ją ponosić?

– Nie – powiedział Dean, stawiając fotelik na stole. – Ona jest moja. Postaraj się o własną królową.

Spojrzał na mnie znacząco, a ja oczywiście czułam, że policzki robią się czerwone.

Bob zaśmiał się.

– I to mówi ktoś, kto na domku na drzewie chyba sto razy wymalował napis: „Dziewczynkom wstęp wzbroniony”.

– Bo to było jeszcze wtedy, kiedy nie lubiliśmy dziewczynek – wyznał Dean, spoglądając z czułością na rumianego aniołka nadal śpiącego słodko. – Teraz to się zmieniło. A w przyszłości będę musiał pilnować, żeby nie miała do czynienia z facetami podobnymi do nas! O nie!

Było naprawdę miło. Jedliśmy ciasto, gadaliśmy i na zmianę zabawialiśmy dzidziusia, którym byłam urzeczona. Wprost nie mogłam się doczekać, kiedy sama zostanę mamą. A do tego czasu musi mi wystarczyć, że jestem matką chrzestną córeczki Diane.

Kiedy wszyscy wyszli, Bob zabrał się do opróżniania zmywarki. Wyjmował naczynia, ja odbierałam. I wtedy znów zauważyłam ten dziwny cień stojący w ogrodzie. Tym razem jednak cień przybrał czyjąś postać. Czyją? Wystarczyło jedno spojrzenie i pamięć ożyła.

Maya.

– Bob, pójdę się trochę przejść. Niedługo wrócę.

– Dobrze. – Spojrzał na mnie wyraźnie zaniepokojony. – Jak się czujesz, kochanie?

– W porządku, chcę tylko łyknąć świeżego powietrza.

Oczywiście skłamałam. Nie czułam się dobrze i miałam przeczucie, że po spotkaniu ze snującym się pod domem duchem wcale mi się nie poprawi.

Maya czekała na mnie na końcu ogrodu, taka eteryczna, prawie jak mgła. Powitała mnie ciepłym spojrzeniem.

– Wiesz, kim jestem, prawda? – spytałam.

– Oczywiście, dziecko.

– A ja... zapomniałam.

– To normalne. Im dłużej tu będziesz, tym mniej będziesz mnie pamiętać, a niebawem całkiem o mnie zapomnisz. W ogóle zgubisz wszystkie wspomnienia, które nie są związane z tą gałęzią twego życia.

Próbowałam spojrzeć dobitnie pytająco, jakbym nie wiedziała, o co chodzi. Rzecz jasna udawałam, bo pamięć pracowała pełną parą i wiedziałam już doskonale, o co chodzi. Wspomnienia o moim dawnym świecie kiedyś zostaną całkowicie wymazane, zapomnę nawet o obietnicy danej siostrze. Tak się stanie, jeśli zakotwiczę tu na stałe, w tej osi czasu, gdzie wszystko, czego pragnę, mam na wyciągnięcie ręki. Oddanego męża, piękny dom, dzieci.

– Możesz tu zostać – powiedziała Maya, jakby czytała w moich myślach. – Ale powtarzam, im dłużej tu będziesz, tym mniej będziesz pamiętać. Tak zawsze jest. Wspomnienia z równoległej rzeczywistości mają krótki żywot, i właśnie dlatego, żeby zachować świadomość, wybiera się jedno życie. Na tym polega egzystencja człowieka. – Maya położyła dłoń na moim ramieniu, a rękę miała lekką jak piórko. – To twój wybór, Jenno.

Odwróciłam się i spojrzałam tęsknie na dom, w którym bardzo chciałam być, choć... nie musiałam.

Ale co tam dom!

– Nie wyobrażam sobie życia bez Boba – powiedziałam, odwracając się z powrotem do Mai. Ale ona już odeszła. Była tylko chwilę, zdążyła jednak coś mi

przekazać. Że już niebawem utracę wszystko, co tu mam, w tej rzeczywistości. A nadzieja, że kiedyś to odnajdę, jest znikoma.

Proszę, jeszcze jedna noc. Tylko jedna, błagałam w duchu. Jeszcze jedna noc z mężczyzną, którego kocham.

Wróciłam do domu i podeszłam do męża.

– Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy – szepnęłam, wtulając się w niego.

– Mm... Też życzę ci wszystkiego najlepszego, kochanie. – Pochylił się, by mnie pocałować długo, zachłannie, namiętnie, po czym oznajmił: – Zmywanie odkładamy na jutro. Na dzisiejszy wieczór mam inne plany.

Na co ja zareagowałam uśmiechem i powłóczystym spojrzeniem.

– Daj mi pięć minut. Chcę się wyszykować.

– Trzy – odparł z takim niby okrutnym uśmieszkiem. – Dłużej nie mogę czekać.

Ruszyłam przed siebie, starając się kołysać biodrami jak najbardziej kusząco. Byłam cała w skowronkach, ale kiedy weszłam do łazienki, od razu wyczułam, że coś jest nie tak. Nie zdążyłam jednak dociec, w czym rzecz, bo zaczęło kręcić mi się w głowie. A ja doskonale wiedziałam, co to oznacza.

– Nie! – krzyknęłam, próbując się wycofać, ale było za późno, bo ukryty pokój już zdobył władzę nade mną. Pokój, którego nie powinno tu być, jednak był tutaj. Zawirował, już wciągało mnie w dół. Słyszałam szelest cichy jak szept zabłąkanych dusz. Czułam, że to one posiadają wszystkie mądrości wszechświata, znają też odpowiedzi na pytania, których ja nie potrafiłam wypowiedzieć na głos.

Nie mogłam zrobić choćby kroku w przód czy w tył. Znalazłam się w stanie zawieszenia, jakby pokój czekał na zezwolenie, czy może mnie przeciągać w nieznaną, a ja będę coraz dalej od tego życia, którego tak mocno zapragnęłam, dalej od mężczyzny, który nie wyobraża sobie życia beze mnie.

– Nie, proszę! Jeszcze nie! Proszę, błagam...

Ale moje słowa nic nie znaczyły. Mogłam sobie krzyczeć i prosić, ale i tak nie mogłam tu zostać, bo moim zadaniem było odnaleźć drogę do świata, do którego należałam. Ta właśnie myśl przyszła mi do głowy, a ja się poddałam w obliczu tego, co nieuniknione. Murowane ściany wokół mnie zniknęły, jakby rozpuszczały się w powietrzu, i teraz były to ściany łez.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tym sposobem znów znalazłam się nie wiadomo gdzie. Byłam oszołomiona, niby już trochę przytomna, ale tak naprawdę w półśnie. Śniłam o różnych drogach życia, a przed oczami przesuwały się różne twarze. W pierwszej chwili twarz znajoma, ale jednak nie. I na odwrót, ktoś obcy okazywał się bliski. W tym półśnie było wszystko: radość i smutek, narodziny i śmierć, miłość stracona wielokrotnie, ale za każdym razem kochankom udawało się siebie znów odnaleźć.

Bałam się otworzyć oczy, bo dopóki miałam zamknięte, mogłam wmawiać w siebie, że obok mnie leży Bob. Oczywiście, że on, a jeśli okaże się, że jednak jest inaczej, to faktycznie to tylko sen. Przecież na palcu mam obrączkę, a to niezbity dowód, że nadal jestem żoną Roberta Hartwooda, prawda?

Niestety, choć usilnie starałam się przekonać siebie, że tak właśnie jest, w głębi duszy czułam, że tylko się oszukuję. Boba nie ma. Odszedł na zawsze, a ta obrączka wcale nie świadczy o jego obecności, lecz podobnie jak przedtem wiersz mojej matki czy broszka od Parkera, towarzyszy mi w podróży do nowej rzeczywistości. Niestety... Dlatego przez moment czułam dziką zazdrość, że to nie ja, a moje alter ego jest prawowitą właścicielką tego kawałka złota, na którym wygrawerowano dwa słowa: NA ZAWSZE.

No tak... A jakież to niby „na zawsze” czeka mnie tym razem?

– Otwórz oczy, Jenno. Przecież wiem, że już nie śpisz.

– Nie... – zajęczałam.

– Jenno, proszę. – Łagodny głos Mai wabił, serdecznie zapraszał do nowej rzeczywistości. Takim tonem zapewne przemawiają położne do małych do przychodzących na świat.

– Ale ja chcę tam wrócić, Mayu!

– Bardzo mi przykro, dziecko, ale to niemożliwe.

Czułam, jak ciepłe palce Mai obejmują moją dłoń. Westchnęłam więc głęboko i żałośnie, po czym wreszcie otworzyłam oczy. Kiedy zobaczyłam sterylny pokój o szarych ścianach, byłam pewna, że to znowu szpital. Słyszałam też jakieś głosy za drzwiami. Rozmawiano raz głośniejsze, raz ciszej.

– Gdzie ja jestem, Mayu?

– W miejscu bezpiecznym, gdzie nie możesz zrobić sobie krzywdy.

– Krzywdę? Sobie? A niby dlaczego miałabym to zrobić? – zajęczałam... i doznałam szoku, kiedy zauważyłam, że ręce w przegubach mam starannie owinięte bandażami. Co było pod nimi? Akurat o to nie musiałam nikogo pytać. – Mayu, moje urodziny, tak?

Pokiwała głową. Sprawiała wrażenie dość chłodnej i zdystansowanej, jakbym ją zawiodła. Ale czy można się dziwić, skoro naprawdę zawiodłam? Bo

wiadomo, co kryje się pod bandażami. Prawda, od której tak długo uciekałam.

Śmierć.

Jak to było wtedy, w dniu którychś tam z kolei moich urodzin? A było tak, że sama poszłam na cmentarz, stanęłam przed grobem matki i wyjęłam z torebki brzytwę. Trzymałam ją tuż nad nadgarstkiem, wyobrażając sobie, jak to może boleć, kiedy zimna stal przecina żywe ciało. Niemal czułam ten okropny ból i metaliczny zapach krwi. Tak, niewątpliwie boli straszliwie, ale kiedy jest po wszystkim, kiedy wreszcie odchodzisz w nieznane, na pewno ogarnia cię błogi spokój.

Tak było, ale tylko z początku, bo jednak tego nie zrobiłam. Powstrzymałam się w ostatniej chwili, gdy przypominałam sobie o obietnicy danej Cassie. Cisnęłam brzytwę na trawę, a przez głowę przemknęła myśl, że skoro stało się tak, a nie inaczej, to dobrze i niedobrze, bo za rok mam znowu urodziny. Znowu spędzę je samotnie i najpewniej znów spojrzę śmierci w oczy, słysząc upiorne echo jej szyderczego śmiechu. Przecież ona wie, że prędzej czy później mnie dopadnie.

Potem na cmentarzu pojawiła się Cassie i pojechałyśmy do Domu Łez. Pamiętam, jak przez całą drogę zerkąła na mnie, jakby wyczuwała, że byłam już prawie na krawędzi. Tak, to wszystko się wydarzyło, ale przecież dawno temu. Teraz czułam się innym człowiekiem!

– Nie, to niemożliwe. Ja tego nie mogłam zrobić – powiedziałam i nagle mnie olśniło. Oczywiście, że tak! Zrobiłam, bo tamtego dnia, gdy wybierałam między życiem a śmiercią, po podjęciu decyzji nastąpiło rozdwojenie rzeczywistości. Co z tego, że w moim prawdziwym świecie żył sobie nie podcięłam. W tej drugiej osi czasu owszem, i w tej właśnie rzeczywistości się znalazłam. Czyli nie ma ani dobrych, ani złych wyborów. Po prostu wybierasz między tym a tamtym i cokolwiek wybierzesz, drugi wariant i tak będzie żył swoim życiem. Czego ja jestem najlepszym przykładem.

– Przepraszam... – szepnęłam.

– Niestety, jest za co – powiedziała Maya ze smutkiem. – Zawiodłaś wielu ludzi, siebie też.

Pomasowałam rękę owiniętą bandażem. Leciusieńko, a zabolalo okropnie, jak zawsze, kiedy dotyka się żywych ran.

– Mayu, czyli jestem w szpitalu, tak?

– Nie, w ośrodku rehabilitacyjnym. Twoja siostra namówiła cię, żebyś się zgodziła tu przyjechać. Dla twojego własnego bezpieczeństwa.

Ośrodek rehabilitacyjny! No proszę! A więc tak elegancko nazywa się psychiatryk? Bo przecież na pewno w czymś takim jestem! Dlatego poczułam coś, co przypominało prawdziwą ulgę, no, w pewnym sensie. Raczej było to poczucie, że stało się to, co miało stać, koniec, kropka. Zawsze zamartwiałam się, że skończę w wariatkowie, i wreszcie tu wylądowałam.

I jeszcze coś. Po raz pierwszy w życiu wiedziałam na sto procent, że wcale nie chcę umierać. Przeciwnie, chcę żyć.

– Czy... czy to Cassie mnie znalazła?

– Tak. Nie odbierałaś telefonu, więc zaczęła cię szukać i znalazła. Leżałaś na ziemi, a twoja krew wsiąkała w grób matki... – Maya wydała z siebie cichy dźwięk niewątpliwie oznaczający największą dezaprobatę. – Cassie była załamana.

Jak ja w chwili obecnej. Czułam się zdruzgotana. Jak mogłam zrobić coś takiego rodzonej siostrze? Okazuje się, że wcale nie jestem lepsza od matki. Muszę to Cassie jakoś wynagrodzić. Koniecznie, jak najszybciej! Już teraz!

Oczywiście poderwałam się z pościeli, ale Maya zainterweniowała.

– Nie, Jenno. Nie wolno ci stąd wychodzić, dopóki nie dostaniesz wypisu.

– Przecież czuję się już dobrze! – Podniosłam ręce, demonstrując nadgarstki.

– I jeszcze coś. Ja jako ja tego nie zrobiłam. Trudno, żebyś o tym nie wiedziała!

Maya spojrzała na mnie surowo, niemal groźnie.

– Oczywiście, że ty! I będziesz musiała ponieść konsekwencje.

Cóż, miała rację. Owszem, żyły podciął sobie ktoś z tej osi czasu, nie ja, ale to ja leżę na tym łóżku jako ktoś, kto to zrobił. Czyli sprawa jasna.

– Rozumiem.

I dam sobie radę. Byłam już zaprawiona w tych nieprawdopodobnych podróżach, całkiem dobrze orientowałam się w sytuacji, wiedziałam, jak omijać pułapki, i na pewno kiedyś w końcu wrócę do siebie. Oczywiście będę się starała nie pozostawić po sobie żadnego bałaganu czy problemów, by nie zaszkodzić memu ostatniemu alter ego.

– Mayu, a wiesz, że ja to sobie wszystko wreszcie poukładałam. Chodzi o dokonywanie wyboru i rozdwojenie rzeczywistości. Zgadza się?

– Tak. – Uśmiechnęła się i pogłaskała mnie po ramieniu. – Wiedziałam, że sama do tego dojdiesz.

– Kłopot w tym, że czegoś ważnego jeszcze nie rozumiem. Jeśli wszyscy żyjemy we wszystkich tych różnych rzeczywistościach, czy któraś z nich jest główną, podstawową?

– Wszystkie są jednakowo ważne. Na jedno życie, jako całość, składają się wszystkie gałęzie.

– Rozumiem. Myślę też sobie, że kiedy się wybiera, no to wiadomo, człowiek decyduje się na coś, co wydaje się słuszne. Ale istnieje alternatywny świat, w którym postępuje się inaczej, i w sumie też trudno powiedzieć, czy źle. Po prostu inaczej...

Maya uśmiechnęła się w taki sposób, w jaki uśmiecha się nauczycielka do ucznia, który udzielił prawidłowej odpowiedzi.

– Tak, dziecko. Bo rzecz nie w tym, że coś jest słuszne czy niesłuszne, dobre czy złe. Po prostu jedno jest takie, drugie takie, a tak naprawdę chodzi

o nieskończoną ilość możliwości.

– Zaraz... – Sposępniałam gwałtownie. – Ale dlaczego?

– Dlatego, że celem jest wykorzystanie każdego aspektu życia – odparła, przesuwając palcem po moim zmarszczonym czole. – W życiu liczy się wszystko. Każdy wybór, każda myśl, każde marzenie.

– Czyli nawet ból i cierpienie?

– Tak. Nawet to, tak samo jak miłość i radość, i chwile boskiej inspiracji. Każda gałązka konieczna jest do zdobycia wiedzy i umiejętności potrzebnych do dalszego życia.

– Rozumiem... – mruknęłam i z powrotem się położyłam, bo oczy zaczęły mi się kleić. – Przepraszam, ale nagle zachciało mi się spać.

– Czyli lekarstwo, które ci podano, zaczyna działać. Prześpij się, dziecko.

Byłam coraz bardziej senna, miałam jednak jeszcze jedno pytanie, które chciałam zadać Mai, zanim zniknie.

– Dlaczego nie każdy z nas poznaje te wszystkie swoje drogi życiowe?

Maya przechyliła głowę i uśmiechnęła się enigmatycznie.

– A dlaczego uważasz, że nie każdy?

Rano, kiedy się obudziłam, wcale nie byłam zdziwiona, że Mai przy mnie nie ma. Zdążyłam się już przyzwyczaić, że raptem się pojawia i tak samo znika.

Po chwili do pokoju weszła jasnooka, młoda kobieta. W jednym ręku trzymała papierowy kubeczek z pastylkami, w drugim szklankę z wodą. Ubrana była na jasnoniebiesko i trudno było wyczuć, czy jest lekarką, czy pielęgniarką, w ogóle kim jest. Była też bardzo podobna do Cassie, nic dziwnego więc, że na jej widok zatęskniłam za młodszą siostrą. Tak, muszę z nią porozmawiać, i to jak najprędzej, powiedzieć, że bardzo mi przykro, i obiecać, że nigdy już nie zrobię takiej głupoty. Tylko czy Cassie mi uwierzy?

– Przepraszam, czy jest tu telefon, z którego mogą korzystać pacjenci? – spytałam.

– Tak, na końcu korytarza, a na biurku w recepcji jest lista. Można wpisać się, o której pani będzie chciała zadzwonić. Proszę, to lekarstwa dla pani.

– Mam to wszystko połknąć?

Nie mogłam jej powiedzieć, że nie potrzebuję żadnych antydepresantów ani leków antypsychotycznych.

– Tak zalecił lekarz. O dziesiątej ma pani konsultacje. Jeśli lekarz uzna, że lekarstwa są już niepotrzebne, odnotuje to w pani karcie.

Nie chciałam się spierać, ale wcale nie miałam ochoty łykać tych tabletek. Przecież jeśli chcę ich przekonać, że ze mną wszystko w porządku, muszę mieć w głowie jasno. Dlatego tabletki owszem, włożyłam do ust, ale nie połknęłam, tylko schowałam pod językiem. Przełknęłam tylko łyk wody. Potem odczekałam chwilę, zakaszlałam, ukradkiem wyplułam wszystkie pigułki na rękę i schowałam

je pod kołdrą. Zrobiłam to bez żadnych wyrzutów sumienia. Bo i po co mi te tabletki, skoro nie stanowią żadnego zagrożenia dla siebie. Przecież chcę żyć, prawda? Nawet bardzo!

Kiedy zostałam sama, rozejrzałam się dookoła. Pokój był jednoosobowy, ale o wiele większy od szpitalnego pokoju, w którym leżałam poprzednim razem. Moje ubranie było starannie powieszona w małej szafie. Popatrzyłam tu i tam, a potem poszłam do łazienki umyć się i w ogóle doprowadzić do porządku. Wiadomo przecież, że jeśli chcę wygrać tę bitwę, muszę wyglądać tak samo, jak się czułam, czyli normalnie.

A potem naturalnie poszłam do recepcji wpisać się na listę, o której mówiła pielęgniarka. Byłam bardzo zadowolona, że już niebawem, bo o dziewiątej, będę mogła zadzwonić. Miałam jeszcze trochę czasu, więc pochodziłam po tym nieznanym mi miejscu. Zauważyłam, że ani w oknach, ani w drzwiach nie ma żadnych prętów czy krat. A za oknami widać było wypielęgnowaną zieleń i alejki do spacerowania. Zauważyłam też, że zjawilo się sporo odwiedzających, poza tym mają tu wspólną salę z telewizorem, a tak w ogóle ten ośrodek jest przeznaczony dla ludzi z górnej półki, czyli mój pobyt kosztuje niemało. A Cassie na pewno na to nie stać.

No i wreszcie poszłam zadzwonić. Byłam zadowolona, że obok telefonu leżała książka telefoniczna i mogłam, tak dla pewności, sprawdzić numer Cassie. Okazało się, że jest taki sam jak w moim świecie, i była to dobra wiadomość, oznaczała bowiem, że jestem coraz bliżej osi czasu, z której wystartowałam.

Wystukałam numer i wstrzymałam oddech. Kilka razy słyszałam sygnał, a kiedy Cassie w końcu odebrała, westchnęłam z przeogromnej ulgi.

– To ja, Cassie.

– Jenna?

Czujnie, ale to nic. Najważniejsze, że ją usłyszałam.

– Cassie, wybacz – powiedziałam, chociaż byłam pewna, że mówiłam jej to już z tysiąc razy.

Moje przeprosiny puściła mimo uszu, spytała tylko:

– Jak się czujesz?

– Lepiej. – Przynajmniej to było zgodne z prawdą. – Nie musisz się już o mnie martwić. Nigdy. Obiecuję.

Kiedy ostatnie słowo uleciało z mych ust, wiedziałam już, że tego nie wolno mi było mówić.

– Daj już sobie spokój z tymi obietnicami, których i tak nie dotrzymujesz – powiedziała tak bardzo rozzalonym głosem, że serce mi się ścisnęło. – Jak mogłaś coś takiego zrobić? Właśnie ty, która doskonale wiesz, co człowiek przeżywa, kiedy ktoś bliski odbierze sobie życie.

Chciałam wykrzyknąć jej prosto w twarz, że tak, że wiem – i właśnie to

powstrzymało mnie od tego kroku. Przecież obiecałam Cassie, że nigdy nie zostawię jej samej, i słowa dotrzymałam. Ratując swoje życie, podjęłam dobrą decyzję. Ale jakoś ta przemowa nie chciała mi przejść przez gardło. Powiedziałam tylko:

– Przepraszam.

– Jutro wpadnę do ciebie, dobrze?

Cudownie. Bo to dowód, że siostra mimo wszystko nadal mnie kocha.

– Świetnie. A ja muszę cię o coś zapytać, i to już teraz. Wiem, że to pytanie może wydać ci się głupie, ale spytam. Pamiętasz ten dzień, kiedy był ślub Diane?

– Oczywiście, że pamiętam. Nie poszłaś na ten ślub, bo byłaś chora, i zostałam w domu – odparła wyraźnie zaskoczona. – Dlaczego pytasz?

– A... tak tylko.

Westchnęłam z przeogromnej ulgi, że tu, w tej osi, Cassie nie miała żadnego wypadku, i to był kolejny znak, że jestem coraz bliżej mego prawdziwego świata. Ale oczywiście jeszcze tam nie jestem. Muszę przecież odszukać ukryty pokój. Jeszcze tylko jeden skok i wrócę do domu.

– Kocham cię, Cassie.

Nastała cisza, dopiero po długiej chwili z wyraźnym ociąganiem Cassie spytała:

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak. Za godzinę mam spotkać się z lekarzem. Jestem pewna, że przekaże dobre wiadomości, które ucieszą nas obie.

Byłam przecież dobrej myśli, pewna, że po rozwiązaniu problemów, które zaserwują mi w tej osi czasu, wrócę tam, gdzie moje miejsce. Wrócę odmieniona jako człowiek, który odzyskał swój życiowy cel.

Siedziałam w poczekalni, starając się przekonać samą siebie, że będę w stanie również przekonać innych. Że nie oszalałam, może tylko dopadła mnie leciutka depresja. Tak zresztą miałam w prawdziwym świecie. Leciutka depresja zaczynała się kilka miesięcy przed moimi urodzinami, czyli rocznicą śmierci matki. Niby leciutka, ale jak to depresja, jest podstępna i przebiegła. Pojawia się niespodzianie i już trwa, już robi swoje. A ja nagle uzmysławiam sobie, że od kilku tygodni nie golę nóg, a zlew wyładowany jest po brzegi brudnymi naczyniami. Rachunków cały stos, wszystkie w kopertach, których nawet nie otworzyłam, a rachunków oczywiście nie opłacałam. Po prostu mi się nie chciało, bo każda, nawet najdrobniejsza czynność wymagała ode mnie nadzwyczajnego wysiłku. Już samo przebywanie z ludźmi wykańczało, najchętniej byłabym sama przez całą dobę na okrągło.

Ale to było kiedyś, nie teraz. I na pewno nie oszalałam. Oszalałam... Czy ktoś jeszcze używa tego wyrazu? Chyba nie, przecież istnieje multum nazw na najprzeróżniejsze zmiany w psychice. Ale mnie to nie dotyczy, z moją psychiką

wszystko w porządku, trzeba tylko przekonać o tym innych. A kiedy mnie stąd wypuszczą, odnajdę drogę do Domu Łez, do ukrytego pokoju, i wrócę do domu.

– Doktor Cody zaprasza do gabinetu.

– Tak, dziękuję. Już idę.

Cody! W pierwszej chwili nie zaskoczyłam, ale kiedy otworzyłam drzwi gabinetu i zobaczyłam znajomą twarz, olśniło mnie.

– Parker!

– Słucham? – Poderwał głowę. – Co pani powiedziała?

Potrząsnęłam bezradnie głowę. Przecież już to przerabiałam. Ja do niego „Parker”, a on nie wie, o co chodzi.

– Nic, nic. Przepraszam...

Kiedy siadałam na krzesło przed biurkiem, zerknęłam na identyfikator. No tak. „Dr n. med. Daniel Cody”. Może i powinnam być zaskoczona, ale wcale tak nie było, przecież miałam już okazję się przekonać, że te drogi życia, prowadzące w różne strony, mają coś wspólnego. Jesteś już w innej rzeczywistości, ale i tak na to się natkniesz. Są to święte miejsca, ludzie, którzy są dla ciebie ważni, albo sytuacje, o których wcale nie marzysz, ale będziesz je przerabiać, bo przy okazji czegoś się nauczysz.

Młody mężczyzna siedzący za biurkiem miał włosy tego samego koloru, co moje, ale oczy Cassie. Widać też było wyraźne podobieństwo do matki. Dlaczego przedtem tego nie zauważyłam? Wiadomo, bo mu się nie przyjrzałam, ponieważ jak zwykle byłam zbyt zajęta moją prywatną tragedią i reszta świata dla mnie nie istniała.

Doktor Cody otworzył teczkę z dokumentami pacjenta.

– Jak się pani dzisiaj czuje?

– Dobrze. Bardzo dobrze. Chyba nigdy dotąd nie czułam się lepiej!

Musiało to zabrzmieć zbyt żarliwie, bo poderwał głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Na pewno pani wie, że może mi pani powiedzieć wszystko.

Oczywiście, że mogłam, i cokolwiek bym wygadywała, i tak będzie mnie słuchał. Bo na tym polega jego praca. To podsunęło mi pewien pomysł. A co tam! Powiem mu wszystko, przecież i tak już trzymają mnie pod kluczem.

Pochyliłam się do przodu.

– Tak, chciałabym z panem o czymś porozmawiać, ale może to się panu wydać dziwne.

– Nie szkodzi. Proszę mówić.

– A więc tak... Chodzi o to, że człowiek, dokonując wyboru, przechodzi do innej rzeczywistości. Bierze pod uwagę dwie możliwości i wybiera jedną. Ale ta druga nie znika, tylko nadal istnieje, i w rezultacie kiedy on na przykład idzie dalej swoją drogą życiową prowadzącą w lewo, jego alter ego podąża w prawo, i tym

sposobem tworzą się dwie rzeczywistości istniejące równolegle.

– No tak, fizyka kwantowa... Choć może nie jest to dokładnie to samo, niemniej jednak... Czy pani właśnie o to chodzi?

– Oczywiście! – Czyli chyba nie będzie tak ciężko, jak myślałam, bo od razu zaskoczył. Muszę tylko udowodnić, że to wszystko jest prawdą. – Proszę sobie wyobrazić, że za każdym razem, kiedy dokonujemy wyboru, są to drzwi do jednego z tych wielu światów. Dzięki temu człowiek przeżywa różne wersje swego życia. I dzieje się to jednocześnie.

– Cóż... Można na to spojrzeć i w taki sposób.

– A więc, hipotetycznie rzecz ujmując, co by było, gdyby pan mógł przejść do jednego z tych równoległych światów i zobaczyć ludzi, o których pan myślał, że już nie żyją? Albo spotkać krewnych, o istnieniu których pan nie wiedział?

Twarz doktora była nieruchoma, ale w oczach dojrzałam dokładnie to samo, co w oczach Parkera, kiedy zlekceważyłam spotkanie w sprawie pracy, które dla mnie zorganizował.

– Ach, dość już tych wstępów – powiedziałam. W końcu skoro Parker/Dan jest moim psychiatrą, to ma obowiązek mnie wysłuchać niezależnie od tego, czy ma ochotę, czy nie. Najlepiej więc od razu wyrzucić to z siebie: – Chodzi o to, że mniej więcej tydzień temu obudziłam się w alternatywnej rzeczywistości, w której moja zmarła matka nadal żyła, miałam też brata, którego dotąd nie znałam.

Doktor uniósł brwi, nadal jednak zachowywał stoicki spokój, czyli był równie opanowany jak jego kopia z równoległego świata.

– Tym bratem był pan – powiedziałam, znów nachylając się do niego. – W alternatywnej rzeczywistości wychowywaliśmy się razem, z tym że kiedy znalazłam się w tej rzeczywistości, miałam wrażenie, że widzę pana po raz pierwszy w życiu. Później dowiedziałam się, że w moim pierwszym świecie moja matka oddała pana do adopcji. A pan był adoptowanym dzieckiem, prawda?

– Mówimy o pani, nie o mnie – powiedział, ale czułam już, że udało mi się poruszyć w nim jakąś strunę.

– Proszę mi się przyjrzeć. Czy nie widzi pan rodzinnego podobieństwa? – Cisza, więc zmieniłam taktykę: – Z iloma pacjentami przeprowadzał pan już wywiad? Ilu ich było? Setki, tysiące? Jestem pewna, że potrafi pan znakomicie wyczuć, kto ma urojenia, a kto mówi prawdę. Tak jak ja, choć brzmi to nieprawdopodobnie.

Wyraźnie unikając mojego wzroku, odparł:

– Zdarzyło mi się również rozmawiać z pacjentami, którzy wymyślają różne historie, by usprawiedliwić swoje postępowanie.

– Tyle że ja nie mam żadnych urojeń. Mówię panu prawdę.

– Prawdą jest to, że jest pani tutaj, bo chciała pani popełnić samobójstwo.

– Samobójstwo? – Gwałtownie potrząsnęłam głową. – Nigdy nawet o tym

nie pomyślałam. Nigdy. Pan wie, że moja matka odebrała sobie życie? – Znowu cisza, więc sama sobie odpowiedziałam: – Oczywiście, że pan wie. Z mojej teczki. – Prychnęłam cicho. – W moim świecie zawsze martwiłam się, że skończę jak moja matka. Taka niby samospełniająca się przepowiednia, prawda?

Milczał, nie wykonał żadnego gestu, ani aprobaty, ani dezaprobaty.

Więc ja dalej:

– Ale tylko w tym świecie. Bo w moim prawdziwym świecie nie popełniam samobójstwa, dotrzymując obietnicy danej siostrze. Przyrzekłam Cassie, że nigdy jej nie opuszczę, nigdy nie zrobię tego, co zrobiła nasza matka. I do tamtego świata chcę wrócić.

Doktor usiadł wygodniej i postukał się w brodę ołówkiem, dokładniej ołówkiem z gumką na końcu.

– Czyli mówi mi pani, że chce pani cofnąć się w czasie, tak? Kiedy nie podejmowała pani jeszcze tej próby?

– Tak – rzuciłam spontanicznie, ale błyskawicznie zorientowałam się, ku czemu doktor zmierza, i szybko sprostowałam: – Nie, to nie tak. Chcę wrócić do mojej dawnej osi czasu.

– Osi czasu, w której pani matka nadal żyje?

Nie, to nie tak! Jednak ta rozmowa prowadziła donikąd, dlatego po raz kolejny zmieniałam temat:

– Pan wie, kim była moja matka?

– Marjorie Parker Hall.

– Zna pan jej wiersze?

– Oczywiście.

– I jak je pan odebrał? Zrobiły na panu wrażenie? Jakiś oddźwięk emocjonalny, intelektualny?

– Raczej nie... – Pokręcił głową.

– W takim razie powinien pan przeczytać jeszcze raz. Na pewno pan odbierze je inaczej, gdy się pan dowie, że ona jest również... pańską matką.

Znów pokręcił głową z wyraźnym niedowierzaniem. Wiedziałam już, że jak na pierwszy dzień posunęłam się za daleko. Lepiej bym zrobiła, gdybym uświadamiała go stopniowo, wtedy byłby bardziej otwarty na moje szokujące teorie. Ale stało się, trudno. W każdym razie podczas następnych konsultacji na pewno opowiem mu o tych światach, które widziałam, o tym, jak wiele naszych życiowych dróg splata się ze sobą. Opowiem mu o Cassie, Bobie... O Mai nie. Skoro tak trudno mu uwierzyć, że przebywałam w kilku równoległych rzeczywistościach, to co dopiero w Anioła Stróża czy duchową przewodniczkę. W to, kim jest Maya.

– Wcale nie proszę, by pan wszystko, co powiedziałam, uznał za prawdę. Proszę tylko, żeby pan to przemyślał, bo może wtedy zainteresuje się pan swoimi

korzeniami. Myślę, że będzie pan zaskoczony.

Skończyłam i wstałam z krzesła, uznając, że nie mam już niczego więcej do powiedzenia.

Za to on miał:

– Nazwała mnie pani Parkerem, czy tak?

– Zgadza się. Parker to nazwisko panińskie mojej matki, i takie imię dała panu, może po to, by świat wiedział, że należy pan do niej.

Doktor tylko coś tam jeszcze mruknął, ale jego ostatnie pytanie świadczyło o tym, że jednak zastanowi się nad tym, co usłyszał ode mnie.

Resztę dnia miałam już tylko dla siebie. Najchętniej skierowałabym się do głównego wyjścia, wyszła na dwór i po prostu ruszyła przed siebie. Ale co by to dało, skoro nawet nie wiedziałam, gdzie znajduje się ten ośrodek, gdzie jest Domu Łez i czy dojdę tam na piechotę. Nie miałam przy sobie ani pieniędzy, ani kart kredytowych, ani żadnego dokumentu potwierdzającego moją tożsamość. Do tego czułam, że powinnam być w tym ośrodku, bo jeśli mam do rozwiązania jeszcze jakieś zagadki, zanim ruszę dalej, to uda mi się je rozwiązać właśnie tutaj, w tych murach.

Ku memu wielkiemu zaskoczeniu okazało się, że pacjent ma tutaj co robić. Były i terapia grupowa, i zajęcia z rękodzieła artystycznego, i różne wspólne przedsięwzięcia. Poza tym sala z telewizorem i stołami do gier, jak sama nazwa wskazuje, stołowych. Pod tym względem trochę przypominało mi to obóz młodzieżowy, z tym że tu człowiek znajdował się pod stałą obserwacją. W rezultacie byłam jednak spięta. Bałam się powiedzieć albo zrobić coś nie tak, na przykład wybrać do naszyjnika paciorki takiego koloru, że nikt o zdrowych zmysłach tego naszyjnika by nie nosił.

Chyba tylko ktoś z tego ośrodka, bo spójrzmy prawdzie w oczy: czy był tu ktoś o zdrowych zmysłach? Moje współtowarzyszki cierpiały na wszystkie możliwe choroby umysłowe. Na depresję maniacką, schizofrenię, alkoholizm, narkomanię, zaburzenia łaknienia, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne albo też, podobnie jak ja, usiłowały popełnić samobójstwo. Z jedną z nich, młodą dziewczyną, poznałyśmy się bliżej. Ubierała się na czarno, a brwi ozdobiła kolczykami. Poza tym miała bardzo jasną skórę, i na niemal białych rękach widać było mnóstwo małych blizn tworzących filigranowe wzorki. Były to niewątpliwie blizny po ranach, które zadała sobie sama. A więc samookaleczenia, choć bardziej to wyglądało na skaryfikację, czyli tatuaż z blizn.

Powiedziała mi, że ma na imię Lorelei. Może i tak, ale nie zawsze na to imię reagowała. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, zagłębiona była w lekturze książki „Jedź, módl się i kochaj”, a sądząc po wyrazie twarzy, czytała ją z mieszanymi uczuciami. Momentami była zachwycona, wręcz rozmarzona, a zaraz potem na jej twarzy pojawiała się pogarda. Kiedy zauważyła, że jej się

przyglądam, odłożyła książkę na bok i stwierdziła:

– Siadaj. Pogadamy.

Usiadłam, zastanawiając się, o czym będziemy gadać i czy przypadkiem nie mamy ze sobą czegoś wspólnego oprócz blizn na ciele.

– Dziś na kolację ma być pieczeń rzymska – poinformowała, a potem nachyliła się do mnie i zniżyła głos. – A wiesz... słyszałam, że ktoś kiedyś znalazł tu w pieczeni ząb. Ząb człowieka.

Jeśli chodzi o mnie, to nie wiem, co bardziej by mnie wystraszyło. Czy ząb zwierzęcia, czy człowieka.

– To ja chyba tę pieczeń sobie daruję – powiedziałam nagle pozbawiona apetytu.

– I słusznie – przytaknęła Lorelei. – Może przejdziemy się?

Poszliśmy do recepcji i wpisałyśmy się na listę wychodzących.

– Mają panie pół godziny – przypomniał recepcjonista. – O trzeciej jest terapia grupowa.

Lorelei uśmiechnęła się do niego, ale był to uśmiech zdecydowanie wymuszony.

– Och, na pewno wrócimy na czas. Nie możemy przecież opuścić terapii, prawda, Jenno?

– Oczywiście! – przytaknęłam gorliwie, uśmiechając się promiennie.

Za co dostałam pochwałę.

– Potrafisz być uprzejma – powiedziała Lorelei, kiedy szłyśmy już sobie ścieżką wijącą się wśród drzew. – Mnie nie bardzo to wychodzi.

A ja, owszem, potrafiłam włożyć odpowiednią maskę. W moim świecie każdego ranka czesałam się i robiłam makijaż, a potem przybierałam stosowny wyraz twarzy. Miała być taka, jaką chciałam okazać światu. Nikt nie miał prawa zobaczyć, co naprawdę na tej twarzy się maluje. Nawet ja, i to było najważniejsze. Ukryć swoją twarz przed samą sobą. Tak, stanowczo wolałam patrzeć na narzuconą sobie maskę. Ale ponieważ na dłuższą metę chodzenie w niej jest wyczerpujące, kończyło się na tym, że unikałam ludzi albo chowałam się w domu za zaciągniętymi zasłonami.

Ale to przeszłość, bo zmieniałam się, i to bardzo. Dla mnie wprost niewyobrażalnie. Teraz docierało do mnie, do jakiego stopnia – zatrwajającego! – dałam się omotać depresji. I jak na ironię, kiedy depresja sobie poszła, ja znalazłam się w ośrodku, w którym powinnam szukać pomocy wiele lat temu.

– Lorelei, czy wolno nam iść, gdzie chcemy?

– Tak, ale tylko po lasku na terenie posiadłości. Słyszałam, że czasami ktoś próbuje się stąd urwać i idzie dalej, ale nic z tego, bo do drogi jest ponad dziesięć kilometrów. Jesteśmy na bezludziu.

– Aha. – Czyli mogę sobie darować łamanie głowy, jak stąd uciec, bo jest to

raczej niemożliwe.

– Widziałam twoje nazwisko na liście koło telefonu – po chwili powiedziała Lorelei.

– Dzwoniłam do siostry. Powiedziała, że następnego dnia mnie odwiedzi.

– No i gdzie jest? – Lorelei prychnęła. – Przecież dzwoniłaś do niej wczoraj!

– Może boi się tu przyjechać.

– Boi się? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Boi się, bo z nią jest podobnie jak z nami. Ty straciłaś matkę, ja straciłam matkę, a więc moja młodsza siostra Cassie też ją straciła. I też w jej psychice pozostał po tym trwały ślad.

Byłyśmy w podobnej sytuacji, dzięki czemu tak łatwo zbliżyłam się do Lorelei. Zranione dusze ciągną do siebie. Może dlatego, żeby udowodnić sobie, że nie jest się samemu.

– Jak to przeżywałaś? – spytała Lorelei.

– Chodzi ci o matkę? Jak wpadała w obłąd?

– Tak.

– Moment, niech pomyślę... To było tak, jakby ona chodziła po linie rozpiętej nade mną tak wysoko, że nie słyszała mojego wołania. Mogłam tylko, wstrzymując oddech, patrzeć, jak chwieje się, jak traci równowagę. Patrzeć z sercem podchodzącym do gardła, i w duchu przygotowywać się na to, co było nieuniknione. Że kiedyś spadnie.

– Trochę ci zazdroszczę, Jenno, bo w jakiś sposób byłaś na to przygotowana. U mnie wyglądało to inaczej. Zdarzyło się nagle, jak grom z jasnego nieba. Moje życie było idealne i w jednej sekundzie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Rozumiem. Miałaś wrażenie, jakby twoje życie raptem podzieliło się na to, co przedtem, i na to, co potem.

– Tak. Żyjesz dalej, ale robisz te ranki i czekasz niecierpliwie, kiedy się zabliznią. Żeby rany już nie było – powiedziała drewnianym głosem, przesuwając palcem po przedramieniu pokrytym bliznami. – Wiesz, czasami jestem okropnie zmęczona całym tym życiem, ciągłym przestawianiem nóg do przodu. Lewa, prawa... albo prawa, lewa. Ciągłym podejmowaniem decyzji, co wybrać. I czekaniem, kiedy to się wreszcie skończy.

Biedne zranione dziecko, bo przecież to ono, dziecko, szło obok mnie. Tak nieszczęśliwe, że chciałam nad nim zapłakać. Ale nie, jak zwykle ani jednej łzy. Bo gdyby popłynęły, pewnie już nigdy nie dałabym rady ich powstrzymać.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Posiłki jadało się w stołówce, przy czym obowiązywał podział na płcie. Kobiety siadały z kobietami, mężczyźni z mężczyznami. Inny wariant nie wchodził w grę.

Przesunęłam moją tacę do miejsca, gdzie kobieta w czepku z siatki, patrząca na wszystkich wilkiem, spytała, czy chcę pieczeń rzymską, czy kanapkę.

Ja oczywiście wiedziałam już, co wezmę, ale udałam, że się namyślam.

– Z czym jest kanapka?

– Z masłem orzechowym i dżemem. – Stojąca za mną Lorelei szturchnęła mnie w plecy, a ja oznajmiłam: – Tak, proszę kanapkę.

Kobieta w czepku spiorunowała wzrokiem Lorelei, która niby skruszona powiedziała z nieśmiałym uśmiechem:

– Dla mnie też proszę kanapkę.

– O zębie w pieczeni zmyśliłaś, prawda? – spytałam, kiedy robiłyśmy slalom między stolikami, żeby dotrzeć do upatrzonego stolika w rogu sali.

– Nie. Ta rewelacja od lat przekazywana jest z ust do ust, żeby zrazić do pieczeni rzymskiej. Dlaczego? Nie mam pojęcia, ale z drugiej strony coś w tym jest, bo z jedzeniem mięsa mamy jednak problem, prawda?

– Ja w każdym razie już nigdy rzymskiej pieczeni nie wezmę do ust.

– Może w ogóle zostaniesz wegetarianką?

– A wiesz, że nie ty pierwsza mi to sugerujesz.

Lorelei rozłożyła kanapkę, plastikowym nożem odkroiła skórkę, potem obie części przekroiła na pół po przekątnej, uzyskując cztery trójkąty. A na koniec wsypała słodzik – dwie torebeczki! – do mrożonej herbaty. I powiedziała przemądrzałym tonem:

– Możesz wziąć makaron z serem. To coś zdrowego, na pewno jest zdrowsze niż pizza.

Jej gadanie wpływało na mnie uspokajająco. I przypomniałam sobie, jak podczas wspólnych posiłków gadałyśmy z Cassie. Ona i Lorelei z wyglądu bardzo się różniły, ale miały coś wspólnego. Mówić i mówić, żeby zagłuszyć ciszę, bo cisza może być niebezpieczna, ponieważ za bardzo sprzyja refleksji.

– Z czego się śmiesz? – spytała Lorelei, spoglądając na mnie podejrzliwie.

– Przypominasz mi Cassie, kiedy była młodsza.

– Aha... Dawala ci popalić?

– A skąd! Zawsze była słodka i zabawna, ale buzia jej się nie zamykała. Jak tobie.

Lorelei zaczerwieniła się i spuściła głowę, udając zawstydzoną, ale czułam, że się wzruszyła, gdy porównałam ją do Cassie.

– Coś mi się wydaje, że Cassie jest dla ciebie prawie jak córka, prawda?

– W pewnym sensie, ale Cassie nieraz ma już dość, kiedy nadal jej matkuje, choć między nami jest tylko pięć lat różnicy.

– No tak... – Lorelei westchnęła. – Starsza siostra to nie to samo co prawdziwa matka. – Spochmurniała i spojrzała w bok. – Ale to i tak lepsze, niż w ogóle nikogo nie mieć.

Serce mi się ścisnęło, bo zabrzmiało to smętnie, wręcz żałośnie. Spontanicznie wyciągnęłam rękę ponad stołem i jeden z niesfornych kosmyków Lorelei zaczesalam za ucho, a ona zamknęła oczy. Być może w jej pamięci ożyło wspomnienie o tym, jak głaskała ją po głowie matka. Bardzo mi jej było żal i bardzo chciałam w jakiś sposób choć trochę ją pocieszyć.

Po chwili znów się odezwała jeszcze bardziej żałośnie:

– Ty na pewno będziesz wspaniałą matką.

A ja naturalnie od razu pomyślałam o Bobie, o tym, że nigdy nie będziemy mieć dzieci.

– Mam nadzieję – powiedziałam, choć z wielkim trudem.

– Ja też – oświadczyła Lorelei. – Też będę dobrą matką, ale jeśli urodzę córkę, nie będę jej czytać bajek, nie każę jej wierzyć w szczęśliwe zakończenie. Bo takich zakończeń nie ma. Moją córkę nauczę walczyć i pokonywać swoje własne smoki. Poza tym wbiję jej do głowy, że jak dorośnie, ma żyć po swojemu. Bo to jej życie. Jeśli spotka księcia z bajki, to cudownie. Jeśli nie, to jeszcze nie koniec świata, bo bez księcia z bajki też może być szczęśliwa.

– Masz rację. Bardzo dobra rada dla nas wszystkich, nie tylko dla naszych córek.

Lorelei pokiwała głową, przeżuując kawałek kanapki.

– Jasne. I siebie też mogę traktować jak swoją córkę, prawda?

– Oczywiście. Możemy traktować same siebie po macierzyńsku czy być dla siebie jak kochająca siostra. W ten sposób wypełniamy pustkę emocjonalną. Bo nieważne, czy kochano nas wystarczająco, czy nie. Najważniejsze, byśmy same siebie kochały.

– Dobrze – oświadczyła Lorelei, kiwając skwapliwie głową. – Nauczę się kochać siebie. A co, nie wolno?

– Wolno, wolno – powiedziałam z uśmiechem, zamykając jej dłoń w swojej.

– Przecież mówię, że jest to jak najbardziej pożądane. I jeszcze coś ci powiem. Ty, Lorelei, jesteś po prostu urocza.

Powiedziałam to szczerze. W moim prawdziwym świecie nigdy byśmy się nie zbliżyły, bo nie miałybyśmy nic wspólnego, ale tu, w wariatkowie okazało się, że mamy wiele wspólnego, i zbliżyłyśmy się do siebie. I bardzo dobrze, bo człowiek szybciej powraca do zdrowia, gdy rozmawia z kimś o czymś pozytywnym, a nie o tym, co go boli. Dlatego powzięłam w duchu decyzję, że jak

wrócę do swojej osi czasu, postaram się znaleźć to słodkie, tak boleśnie zranione dziecko. Może będę mogła być dla niej jak starsza siostra, której nigdy nie miała, może pomogę jej wykorzystać potencjał, który w niej się kryje.

Zbyt długo skupiona byłam na sobie i nie docierało do mnie, że każdy nosi w sobie swój własny prywatny ból. Miałam więc pole do popisu. Trzeba tylko chcieć. Bo kto pomoże lepiej niż ten, kto sam wyszedł z ciemności na pełne słońce? Przecież Bob mi mówił, że troszczę się o innych, i między innymi za to mnie pokochał.

Tak, ale problem nadal istnieje. Wcale nie jest powiedziane, że w starym świecie odnajdę Lorelei, czyli alter ego tej Lorelei, która siedzi przede mną i pozostanie w tej osi czasu. Kto jej pomoże wydostać się z mroku, kiedy ja, coś w rodzaju ducha podążającego tropem swoich alternatywnych wersji, powędruję dalej? A wierzę, że stanie się to niebawem. Lorelei niewątpliwie szybko stąd nie wyjdzie, bo potrzebuje dłuższej terapii pod okiem Parkera. Dlatego właśnie z nim trzeba będzie porozmawiać. Uczulić go, że tą dziewczyną trzeba zająć się bardzo starannie, być jej życzliwym i okazywać zrozumienie.

Przerwa na obiad trwała godzinę. Do końca tej przerwy rozmawialiśmy już na lżejsze tematy, dużo śmiałyśmy się i opowiadałyśmy o sobie, ona o swoim życiu, ja o swoim. Kiedy spytała o obrączkę, którą nadal miałam na palcu, powiedziałam, że kupiłam ją, żeby faceci mnie nie zaczepiali.

– Jak to? Nie lubisz mężczyzn?

– Oczywiście, że lubię, ale chodzi o to, że przez długi czas uważałam, że nie jestem jeszcze gotowa na związek, stąd ta obrączka. Z tym że myślę już inaczej, uważam, że wystarczająco polubiłam siebie, by być dobrą żoną i matką.

– Jak do tego doszłaś? Do tego... polubienia siebie?

Pytanie, na które jeszcze kilka dni temu nie potrafiłabym odpowiedzieć.

Teraz tak.

– Stało się to wtedy, gdy uzmysłowiłam sobie, że kiedy człowiek zboczy z drogi, to choćby był od niej bardzo daleko, to i tak nigdy nie jest za późno, by do niej wrócić. Czyli, już bez metafor, nigdy nie jest za późno na to, by zmienić swoje życie nawet o sto osiemdziesiąt stopni.

Lorelei spojrzała bardzo wymownie na moje nadgarstki.

– Nigdy?

– No... Prawie nigdy.

Spuściłam głowę i odruchowo obróciłam obrączkę na palcu. Kiedy patrzyłam na nią, czułam się nijako, bo w tej osi czasu Bob mnie nie znał, nie miałam więc prawa nosić tej obrączki. Tak... A co ja takiego powiedziałam Lorelei? Że teraz już JESTEM gotowa na związek. Skoro tak, to czemu nic w tym kierunku nie robię? Bob jest moją drugą połową, mogłabym więc zadzwonić do niego i poprosić, by pomógł mi stąd się wydostać... Bzdura, przecież Bob został

w tamtej osi czasu. A nawet gdybym jakimś cudem odzukała go w tej rzeczywistości, to i tak nie jest moim mężem. Tu figuruję pod nazwiskiem Hall, muszę więc radzić sobie sama. Oczywiście! To ja przed chwilą klarowałam Lorelei, że każda z nas powinna być dla siebie wszystkim. A więc również rycerzem w lśniącej zbroi śpieszącym damie serca na ratunek.

A poza tym... Jak to w ogóle będzie w tej osi czasu? Po co tu jestem? Przecież zawsze jest jakiś cel. W pierwszej rzeczywistości było nim pojednanie z matką i pogodzenie się z przeszłością, w drugiej miałam się przekonać, jak piękna może być przyszłość, jeśli przestanę być niedostępna i wreszcie pozwolę, by ktoś mnie pokochał. A co z tą osią czasu? Jeśli nie chodzi ani o Boba, ani o moją matkę, to po co tu jestem? Instykt podpowiadał, że z powodu Parkera – tak, dla mnie nadal był Parkerem. Więc na nim powinnam się skoncentrować, choć szczerze mówiąc, wcale nie byłam pewna, dla kogo to robię. Dla niego czy przede wszystkim dla siebie.

Drzwi uchyliły się i pojawiła się głowa jakiejś pani wyglądającej bardzo sympatycznie.

– Ma pani gościa, panno Hall.

Cassie!

Popędziłam do pokoju odwiedzin gnana nadzieją, że zastanę tam siostrę, ale czekało mnie wielkie rozczarowanie.

– Tato?!

– Jenno!

Ojciec spojrział na mnie bardzo ciepło i otworzył ramiona, ale nie ruszałam się z miejsca, bo szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, jak się zachować w tej rzeczywistości. Ojciec odczekał chwilę i opuścił ręce. Na moje wycucie nie był zaskoczony moją reakcją.

Podeszłam do zniszczonej, zapadniętej kanapy i usiadłam, dając ojcu ręką znak, by zajął miejsce obok. Podeszedł, najpierw westchnął, potem usiadł ciężko. Wziął mnie za rękę i przekręcił dłoń. Nadgarstek owinięty był starannie bandażem, ale nie było tajemnicą, co się pod nim kryje. Coś, czego bardzo się wstydziłam.

– Przepraszam – powiedziałam, choć to nie ja powinnam przeproszać. Ale w oczach ojca było tyle bólu, no i domyślałam się, że niełatwo mu było zdecydować się na przyjazd tutaj.

– To ja powinienem przeprosić – powiedział. – Nie byłem dla was dobrym ojcem. Po śmierci waszej matki poddałem się. Zacząłem pić... Czuję się winny i wolałem się upić, niż przypominać sobie, kiedy widziałem ją po raz ostatni.

– Tato...

– Proszę, nie przerywaj. Chcę to wyrzucić z siebie. Przyjechałem tu, by powiedzieć ci, że czuję się z tym podle i bardzo chciałbym, żeby w przeszłości było inaczej. Ale czasu nie da się cofnąć. Mogę tylko mieć nadzieję, że mi

wybaczysz. Ty i twoja siostra.

– Ależ tato! Oczywiście, że tak! Wybaczam ci i nie mówmy już o tym.

Objęłam go i położyłam głowę na jego ramieniu. Ojciec też mnie objął, najpierw ostrożnie, delikatnie, potem coraz mocniej. Po prostu przytulił mnie do serca, a ja pomyślałam, że nietrudno jest wybacząć... komuś. Bo sobie wybaczyć nie jest łatwo. Ale byłam dobrej myśli, bo być może wybaczenie ojcu to pierwszy krok, po którym uda mi się zrobić krok następny.

Wieczorem, po powrocie do swego pokoju, po raz setny rozmyślałam o tym, co mam zrobić. Wiadomo co. Odszukać ukryty pokój w Domu Łez, żeby z powrotem znaleźć się w swojej rzeczywistości, z czym wiązał się jednak pewien problem. Martwiłam się o swoje alter ego. No bo jak to będzie? Ja zniknę, będę w drodze do innej rzeczywistości, a wtedy nieuchronnie pojawi się mój duplikat, żeby dalej grać swoją rolę w tej rzeczywistości. Pojawi się tam, gdzie ja zniknę, czyli w Domu Łez. Na pewno tamta ja będzie zdezorientowana i nie wiadomo, czy trafi do tego ośrodka. A powinna, skoro zgodnie ze swoją rolą potrzebuje pomocy. Ten problem można rozwiązać tylko w jeden sposób. Namówić Parkera, by zawiózł mnie do Domu Łez, ja zniknę, a Parker razem z moim duplikatem wróci do ośrodka.

No i mam jeszcze jedno zadanie, które należy wykonać jak najprędzej. Bardzo mi zależało, by zostawić tu po sobie część siebie, tym bardziej że coś sobie uzmysłowiłam. Nie tylko ja czuję się zagubiona, lecz również ten ktoś, do kogo należy to ciało i ta rzeczywistość. Warto więc pozostawić po sobie jakiś ślad i dla mojego alter ego, i dla mnie samej. Bo może się zdarzyć, że nigdy nie odnajdę drogi do swego domu i niestety tutaj zostanę, ale przynajmniej będę miała słowa. Utrwalone na papierze słowa o tym, co się działo, słowa, które przypomną, gdy z czasem wszystko zacznie zacierać się w pamięci.

Dokładnie przeszukałam pokój, w którym niewiele było miejsc, gdzie można by coś schować, ale byłam zdesperowana i w końcu coś znalazłam. Zwyczajny zeszyt w szufladzie w stoliku nocnym. Zapisanych było tylko kilka kartek, a zapiski zaczynały się w dniu, w którym tu przybyłam. Czyli mój pamiętnik został w poprzedniej rzeczywistości, stąd ten zeszyt, w którym ku memu wielkiemu zdziwieniu znalazłam wiersze. Coś pośredniego między słodziutkim wierszykiem znalezionym w świecie, w którym wyszłam za Boba, a katującymi duszę wierszami matki. Było to idealne połączenie jasności z mrokiem, które wnikało głęboko w duszę. Większość wierszy była nieskończona, czasami zaledwie kilka wersów, ale wszystkie były mi bliskie, jakby istniały już w mojej podświadomości.

Kiedy czytałam, miałam wrażenie, jakbym odczytywała swoje własne słowa. I właściwie tak było. Moje słowa, a nie mego alter ego, choć miejscami odbijały się echem, scalając dwa życia i różne doświadczenia.

Widziałam, jak frunęła nad zatoką

*W sukni utkanej z jedwabiu i ciemności.
Dotknęła palcem ust i spojrzała w moją stronę
Posyłając razem z wiatrem tę myśl:
Ona nadchodzi, nadchodzi! Bądź ostrożna!*

Czy kobieta z wiersza to Maya? Nie wiem, ale ta myśl od razu mi się nasunęła. Może mój sobowtór wyczuwał jej obecność, oczywiście podświadomie, czyli tam, gdzie rodzą się marzenia, sny i wiersze. I ciekawe, któż to taki nadchodzi. Czyżby chodziło o mnie?

Przewracałam kartki, przebiegając wzrokiem każdą stronę. Słowa nadal były mi tak bliskie, że momentami zapominałam, że napisał je ktoś inny. Znalazłam też coś króciutkiego, co zdawało się oddawać to, co wydarzyło się owego feralnego dnia, kiedy po raz pierwszy przestąpiłam próg Domu Łez.

*Dokąd idę?
Gdzie byłam?
W kraju moim i moich bliskich.*

Przesunęłam palcem po białej kartce. Tak, to oczywiście ja, która straciłam mój kraj i moich bliskich. A z tego, co czytałam dalej, wynikało, że moje alter ego było już na dobrej drodze do odzyskania zdrowia dzięki samoleczeniu, jednocześnie tamta ja bardzo chętnie uczestniczyła w sesjach terapeutycznych. Była skruszona i nieskończenie wdzięczna losowi, że żyje, koniecznie też chciała wynagrodzić straszne chwile, które z jej powodu musiała przeżywać Cassie. Poza tym zachęcała Lorelei do pisania pamiętnika czy też dziennika, by udokumentować proces powrotu do zdrowia. Byłam pewna, że kiedy stąd odejdę, moje alter ego poradzi sobie. Niemniej jednak postanowiłam wpisać coś do pamiętnika, żeby tamta ja wiedziała, co się działo podczas jej nieobecności.

Byłam na kolejnej sesji z doktorem Codym. Moja pamięć nie jest jeszcze w najlepszym stanie, są w niej luki, ale ufam mu i wierzę, że pomoże mi całkowicie odzyskać zdrowie i ciała, i umysłu. Dziś rozmawiałam też długo z Lorelei, namawiałam ją do pisania pamiętnika, głównie po to, żeby pisała o tym wszystkim, co czuje. Wiem, że moje rozmowy z Lorelei wpływają dobrze na nas obie. Może po wyjściu z ośrodka będziemy się spotykać i pracować nad sobą. Lorelei jest uzdolniona literacko, bardzo chciałabym jej pomóc rozwijać ten talent. Mam nadzieję, że jutro zobaczę się z Cassie. Może przebaczy mi, że przeze mnie musiała tyle przejść.

Nauczyłam się, że przeszłość nie powinna mną rządzić. Powinnam zapomnieć o poczuciu winy i żyć pełnią życia. Zamiast ciągle uciekać przed śmiercią, biec w stronę życia.

Kiedy odłożyłam długopis, uzmysłowiłam sobie, że chociaż wszystko, co napisałam, zaadresowane było do właścicielki pamiętnika, to jednak te dobre rady odnoszą się również do mnie. Prawdopodobnie obie powinnyśmy o tym pamiętać.

Miałam nadzieję, że kiedy druga ja przeczyta te słowa, będą dla niej tak samo ważne jak dla mnie.

Następnego dnia rano poszłam na sesję z Parkerem. Miałam nadzieję, że potwierdzi to, co mu mówiłam, i przyjmie mnie z otwartymi ramionami. Niestety tak się nie stało. Przywitał mnie powściągliwie, kazał usiąść, a kiedy zapytałam wprost, czy czegoś się dowiedział, puścił pytanie mimo uszu i polecił:

– Proszę opowiedzieć o tych wszystkich innych osobowościach.

Czyli powinnam być bardzo ostrożna, jeśli nie chcę, by mój brat przykleił mi etykietkę „Zaburzenia dysocjacyjne tożsamości”.

– Nie chodzi o różne osobowości, panie doktorze, lecz o jedną. O jedno życie, które rozgałęzia się w różne strony. A ja jestem Jenna Hall i przebywam w różnych rzeczywistościach, w których prowadzę życie zgodnie z wcześniej dokonanym wyborem. – Staralam się mówić bardzo spokojnie, świadoma, że jeśli naprawdę chcę go przekonać, nie wolno mi się denerwować. – Na pewno domyśla się pan, że wcale nie było mi łatwo zrozumieć, na czym to polega. Nadal zresztą nie wiem dokładnie, dlaczego właśnie ja otrzymałam taką możliwość. W każdym razie wydaje mi się, że z każdej rzeczywistości, w której przebywam jakiś czas, mam się czegoś nauczyć.

Parker powoli pokiwał głową. Zauważyłam, że coś się zmieniło. Owszem, podczas poprzedniego spotkania wyjawiał, że kojarzy pomysł o wielu światach i że ma on jakiś związek z fizyką kwantową, ale może głębiej zapoznał się z teorią naukową dotyczącą tego zagadnienia i zaczął traktować mnie serio, a przynajmniej półserio. Z tym że mówiąc szczerze, to wcale nie musiał mi wierzyć do końca. Najważniejsze, by uwierzył na tyle, żeby wyjaśniła się tajemnica jego pochodzenia i byśmy razem z Cassie mogły powitać go jako naszego brata, na początek w tej rzeczywistości. Później postaram się uregulować tę sprawę również w mojej rzeczywistości, o ile tam dotrę. O ile Parker zdecyduje się mi w tym pomóc.

Z tej sesji wyszłam w o wiele lepszym nastroju niż wczoraj po sesji numer jeden. Zorientowałam się już, że Parker bardziej stawia na logikę niż na wyobraźnię, ale był synem swojej matki i na pewno gdzieś tam w środku drzemała w nim jej otwartość, jej wolność ducha. Trzeba tylko cierpliwie poczekać, kiedy będzie można uderzyć w tę strunę. Choć z tym czekaniem to trudna sprawa, bo czułam, że czas nagli.

Potem czekałam na Cassie, i to z tak wielką niecierpliwością, że nie mogłam usiedzieć. Chodziłam po pokoju odwiedzin wte i wewte, spoglądając albo na drzwi – za każdym razem, gdy się otwierały, miałam nadzieję, że ją zobaczę – albo w okno. Aż za milionowym chyba razem zobaczyłam za oknem Lorelei wychodzącą z ośrodka. Nie samą. Była w towarzystwie mężczyzny, na widok którego moje serce zabiło szybciej. On czy nie on? Nie, nie on, bo to niemożliwe...

Kiedy podeszli bliżej, miałam już pewność. Tak, to Bob. Ale jakim cudem?!

Przecież gdyby znał Lorelei, wiedziałabym o tym... Ale czy na pewno? Pomyślałam chwilę, przekręcając obrączkę na palcu, i doszłam do wniosku, że jednak żadnej pewności nie ma. Przecież byłam z nim zaledwie kilka tygodni, a więc za krótko, żeby poznać wszystkich jego znajomych.

Ale zaraz...

Gorączkowo starałam się przypomnieć sobie wszystko, co Bob mówił o zmarłym bracie. Mówił, że brat miał córkę. Czy powiedział, jak nazywa się jego siostrzenica? Nie mogłam sobie przypomnieć, ale wszystko jest możliwe. Tą siostrzenicą może być Lorelei! Tą siostrzenicą, którą zaopiekował się po śmierci jej rodziców. Być może fluidy zadziałały i ja, kiedy poznałam Lorelei, od razu poczułam przypływ uczuć niemal macierzyńskich.

Byli coraz bliżej, a serce tłukło się w mej piersi jak szalone. Jednocześnie bombardowały mnie tysiące wspomnień. Zapach włosów Boba, ciepło jego mocnego, twardego ciała, słodka miękkość warg. Jak to możliwe, że w tym świecie ten tak dobrze znany mi człowiek zarazem jest mi całkowicie obcy?

Naturalnie chciałam podbiec do niego i rzucić mu się w ramiona, co oczywiście byłoby szaleństwem. Jedyne, co mogłam zrobić, to przykleić twarz do szyby, mając nadzieję, że spojrzy w górę i uśmiechnie się do mnie, co będzie dowodem, że mnie poznał.

Nie, nie spojrzał do góry. Weszli do budynku i po chwili pojawili się w pokoju odwiedzin, gdzie ja, bojąc się, jak zareaguję, wsunęłam się do najciemniejszego kąta, starając się być niewidzialna.

– O, tutaj jesteś! – zawołała Lorelei, ciągnąc za sobą Boba. – Bob, to jest Jenna, ta pani, o której ci mówiłam. Jenno, to mój ukochany wuj Bob. Jeden z tych nielicznych porządnym facetów.

Ostrożnie wyciągnęłam dłoń i udało mi się bąknąć:

– Miło mi pana poznać.

Kiedy ciepłe palce objęły moją dłoń, omal mi serce nie pękło. Bo te jego ręce, kochane i tak mi bliskie... Ręce, które dają i pieszczoty, i spokój duszy...

– Mnie również bardzo miło – powiedział, ściskając moją dłoń. – Laura mi wiele o pani opowiadała.

– Laura?

– A, przepraszam. – Zerknął na bratanicę i uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. – Oczywiście Lorelei.

Czyli było jasne, że Laura pragnęła zmienić imię na bardziej egzotyczne, a Bob, jak to Bob, ponieważ o tym marzyła, nie protestował.

– Lorelei mówiła, że pani pomaga jej lepiej zrozumieć swoje uczucia.

– I to jest odłotowe! – oświadczyła Lorelei głośno i dobitnie. I co z tego. Poznałam ją już na tyle, by wiedzieć, że im więcej okazuje energii, tym bardziej czuje się bezradna. – Jenna pokazała mi nawet, jak prowadzić dziennik! I będę go

pisać!

– Dzielna dziewczynka – powiedział Bob, przygarniając do siebie bratanicę. Lorelei, niby bardzo z tego niezadowolona, wywróciła oczami, ale widać było jak na dłoni, że swego wuja uwielbia.

– Muszę się przyznać, że mam słabość do pańskiej bratanicy – powiedziałam, naturalnie uśmiechając się. – Bo to dziecko rozkapryszone, wojownicze i nieraz zalezie za skórę!

Bob skomentował ze śmiechem:

– Czyli zdążyła już ją pani dobrze poznać.

Lorelei szturchnęła go w bok, a mnie pokazała język.

– Och! Jakby kogoś można było tak naprawdę poznać! – Niby rzuciła to zjadliwie, ale zaraz potem przyskoczyła do mnie i serdecznie uścisnęła.

Naprawdę bardzo ją polubiłam, a teraz zrozumiałam, że była dla mnie jeszcze jednym ogniwem w tej linii życia. Czyli elementy łamigłówki składają się w całość. W tym życiu Lorelei była linkiem, który doprowadził mnie do Boba, a w następnej osi czasu niewątpliwie Bob doprowadzi mnie do Lorelei i będę mogła się nią zająć. Poświęcać jej czas i uwagę, czego bardzo potrzebowała, by całkowicie powrócić do zdrowia. I może tym razem będzie nam obu łatwiej.

Skinęłam głową i ruszyłam do drzwi, żeby nie przeszkadzać wujowi i bratanicy. A także dlatego, że chciałam już stąd wyjść, bo nie było łatwo przebywać blisko Boba i nie móc go dotknąć czy choćby wymienić się znaczącym spojrzeniem. A wiadomo, że w tym świecie nie zbliżymy się do siebie. Nastąpi to później. Na pewno, czułam to.

Zanim przekroczyłam próg, odwróciłam się, żeby jeszcze raz się uśmiechnąć, i zauważyłam, że Bob przygląda mi się bardzo uważnie. Tak bardzo, że aż zmarszczył brwi. Może gdzieś tam, na którymś z poziomów świadomości, rozpoznał mnie, a to dawało nadzieję, że nieważne gdzie i kiedy, ale i tak się odnajdziemy, jak to sobie obiecałam.

Tego popołudnia wzięłam pamiętnik i poszłam do lasu, gdzie było tak spokojnie, tak przyjemnie, że po raz pierwszy, odkąd sięgałam pamięcią, czułam się naprawdę dobrze w swojej skórze. Zdrowa na ciele i umyśle, tu, wśród ludzi z rozchwianą psychiką. Zabawne, prawda? Ale niewiele przecież brakowało, bym była jedną z nich.

Usiadłam na ławce pod rozłożystym dębem. Powietrze było świeżusieńkie, jak to w lesie, przesycone zapachem sosny, a to kojarzyło się ze świętami Bożego Narodzenia, tym niecierpliwym czekaniem na prezenty w szeleszczącym papierze obwiązanych kolorowymi wstążkami. Dawne czasy, takie niewinne, kiedy jeszcze wszystko było możliwe. O tak...

Odrzuciłam głowę w tył, przymknęłam oczy i wystawiłam twarz ku słońcu. Uśmiechnęłam się, bo było tak przyjemnie. Bo czegoż więcej człowiekowi do

szczęścia potrzeba? Słońce, czyste powietrze, i już się jest w siódmym niebie.

Po krótkiej chwili zorientowałam się, że nie jestem sama, i bez otwierania oczu wiedziałam, że obok mnie siada Maya. Podejrzywałam, że choć fizycznie nieobecna, zawsze jest gdzieś w pobliżu.

– Piękny dzień, prawda, Mayu?

Mruknęła tylko coś niewyraźnie, ale za to z wyczuwalną aprobatą, potem na dłuższą chwilę zapadła cisza, ale nie taka pełna skrępowania. Przeciwnie, była to cisza łagodna, uspokajająca. A ja wcale nie miałam ochoty zarzucać Mai pytaniami. Odnosiłam wrażenie, jakby wszystkie odpowiedzi były już gdzieś we mnie, w środku, ułożone starannie jedna na drugiej jak kartki, i tylko czekają, kiedy je stamtąd wyjmę.

– A wiesz, Mayu, kiedy byłam mała, wierzyłam, że każdy człowiek ma swego Anioła Stróża, który zawsze jest za jego plecami. Było to bardzo ważne, ta świadomość, że ktoś cię pilnuje, chroni i prowadzi.

– Czyli nie byłabyś zdziwiona, gdybym nagle rozłożyła skrzydła?

Naturalnie zaśmiałam się, po czym odparłam:

– Och, Mayu! Masz całkowicie wolną rękę, bo jeśli chodzi o ciebie, to już nic mnie nie zdziwi.

Maya nie rozłożyła skrzydeł, za to zadała kolejne pytanie:

– Dlaczego przestałaś wierzyć w Anioła Stróża?

– Sama nie wiem. To było mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przestałam wierzyć w Świętego Mikołaja i wielkanocnego zajączka.

– A w co teraz wierzysz?

W tym momencie przypomniałam sobie, o czym rozmawialiśmy z Lorelei.

– Myślę, że zaczynam wierzyć, że to ja sama jestem swoim Aniołem Stróżem, powinnam tylko kierować się instynktem i wsłuchiwać w wewnętrzny głos, który intuicyjnie wyczuwa, co dobre, a co złe. Zależy tylko ode mnie, czy dojdę do prawdy. Mojej własnej prawdy.

– A więc być może Anioł Stróż jest czymś w rodzaju fizycznej demonstracji twojej psychiki.

– Och! Zupełnie jakbym usłyszała mojego brata psychiatrę. – Uśmiechnęłam się zadowolona, że tak łatwo mi się powiedziało „mój brat”. Wiedziałam, że niezależnie od tego, kiedy wrócę do domu, zrobię wszystko, by odnaleźć Parkera i włączyć go do naszej rodziny. On jest...

Odwróciłam się, ale Mai już nie było. Odeszła... ale dokąd? Spojrzałam na ścieżkę, lecz nie dostrzegłam żadnych śladów, czyli jakby rozplynęła się w powietrzu! Jak zawsze, a ja do tego jej nagłego pojawiania się nie wiadomo skąd i równie nagłego bezgłośnego znikania chyba nigdy się nie przyzwyczaję.

Może miała rację. Może była po prostu demonstracją mojej psychiki, mojej wewnętrznej mądrości.

Podniosłam z ziemi zeszyt i zaczęłam pisać o życiu, o śmierci, o dokonywanych wciąż wyborach. Pisałam o ludziach, których spotykamy, którzy zdolni są nas poruszyć. Pisałam bez żadnego wysiłku, po prostu natchniona. Słowa same pojawiały się w głowie i same układały się w zdania w radosnym uniesieniu, jakby całą wieczność przesiedziały tam gdzieś w środku i wreszcie wyrwały się na wolność.

W tym tekście pojawiły się strzałki wskazujące na związek pomiędzy poszczególnymi przemyśleniami, a na marginesach różne esy-floresy i pojedyncze uwagi.

Zapisywanie swoich myśli pomogło w ich podziale na te istotne, które należało uwypuklić, by zabrzmiały prawdziwie, oraz na te zbyt krótkie, które należało starannie naświetlić. Byłam jak w transie. Straciłam poczucie czasu i pisałam, pisałam. A kiedy skończyłam, czułam się oczyszczona. I kompletna.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Następnego dnia rano obudziłam się całkiem odświeżona. Spałam cudownie, głęboko, bez żadnych snów. Śniadanie jadłam z takim apetytem, że Lorelei nie mogła powstrzymać się od komentarza:

– Jak będziesz ciągle tyle jadła, staniesz się gruba jak beczka.

– I bardzo dobrze. Będę tłusta i szczęśliwa. Czemu nie? Nikt nie chce schodzić z tego świata ze świadomością, że odmawiał sobie tej ostatniej niedozwolonej przyjemności.

Ale Lorelei nieustępliwie wskazała mój talerz z górą naleśników.

– Czy ty wiesz, ile one mają...

– Wiem! – przerwałam jej, unosząc ostrzegawczo rękę. – I nie chcę tego słuchać. Co tam ciało! Ważny jest spokój ducha. Chcę się najęść, to się najem.

– Hm... – Spojrzała na mnie podejrzliwie. – A wiesz, że ostatnio bardzo się zmieniłaś.

– I właśnie dlatego tu jestem, prawda? Ty też.

– No... Chyba tak.

Nie było to kłamstwem. Czułam się inaczej. Przestałam być tą osobą, która próbowała odebrać sobie życie. Tamta osoba stała się dla mnie całkowicie obca, ponieważ moje poglądy uległy diametralnej zmianie. Przede wszystkim zaakceptowałam siebie, czyli w przychylny sposób przyjąłam do wiadomości, kim jestem i kim mogłabym być. A przecież to akceptacja była jednym z czterech aspektów mego życia, nad którymi miałam popracować. Aspektów, które natchnęły mnie do wytatuowania malutkiego Pegaza.

Którego w tej osi czasu nie było.

– Mam zamiar zrobić sobie tatuaż. Gdzieś tutaj – oznajmiłam, demonstrując wewnętrzną stronę przedramienia.

– Naprawdę chcesz zrobić sobie tatuaż? – spytała Lorelei z niedowierzaniem.

I nic dziwnego, bo na pewno nie wyglądałam na kogoś, kto ma bzika na punkcie tatuaży.

– Naprawdę. Chyba zdecyduję się na Pegaza.

– Pegaza?!

– Tak, Pegaza.

Tylko tyle. Zero objaśnień, bo i po co. To była moja bardzo prywatna sprawa i nie zamierzałam wyjaśniać, dlaczego właśnie Pegaz, i czekać na wyrazy aprobaty.

– A wiesz, że to mi się podoba! – oświadczyła Lorelei, po czym zmieniła temat: – Wuj Bob pytał ciebie.

– Czyżby? – Czułam, że moje policzki robią się czerwone, i miałam nadzieję, że Lorelei tych rumieńców nie wytłumaczy sobie w wiadomy sposób.

– Tak. Powiedziałałam mu, że jesteś mężatką.

– Co?!

– Tylko żartowałam! – rzuciła ze śmiechem. – Ale teraz już tak na poważnie.

Powiedziałam wujowi, że nie dorasta ci do pięt, ale jeśli rozegra to umiejętnie, to kto wie, czy nie przyjmiesz zaproszenia na obiad w jakiejś przytulnej restauracji.

– Zastanowię się nad tym.

– Świetnie. Ale ostrzegam, wuj Bob jest pracoholikiem, i to może być problem.

– Wiem.

– A skąd?

Skończyłam jeść naleśniki i zabrałam się do obierania banana, starannie unikając spojrzenia Lorelei.

– Przecież chodzi o to, że wiem, że problem! – wyrzuciłam z siebie, po czym przełamałam banana i jedną połówkę wręczyłam Lorelei.

Owszem, wbiła w nią zęby, ale nie odrywała ode mnie oczu.

– No tak... – zaczęłam po chwili. – Z tego wynika, że on nie jest żonaty?

– Nie. Był kiedyś zaręczony, ale nic z tego nie wyszło.

Poczułam ukłucie zazdrości. Jak to będzie, kiedy wrócę do mojego prawdziwego świata i okaże się, że Bob jest już zajęty? Czyli wyjdzie na to, że niepotrzebnie pokonywałam trudną drogę wielu światów, bo ta przyszłość, której miałam przedsmak, i tak jest nieosiągalna? Nie, tak nie będzie. Byłam pewna, że Bob czeka na odpowiednią kobietę, tak samo zresztą jak ja czekam na tego jednego jedyne, i na pewno coś z tego będzie. Już się o to postaram.

I w tym momencie usłyszałam pierwsze takty dobrze znanej mi melodii. „Tysiąc nocy”. Piosenka, przy której kiedyś tańczyliśmy z Bobem. Puszczała ją przez głośniki, i kiedy ją usłyszałam, serce mi się ścisnęło z żalu i tęsknoty. Czy to przypadek, że ją właśnie teraz puszcza? A może to jakiś znak?

Zamknęłam oczy, znów to przeżywając. Czułam, że obejmują mnie ramiona Boba i razem kołyszymy się w rytm melodii. Kołyszymy cudownie, a ja czuję się precudownie, taka bezgranicznie kochana i bezpieczna. Jeśli będzie szansa na odzyskanie tej miłości, na pewno jej nie zmarnuję. Przecież pamiętam każdą chwilę spędzoną z Bobem, a te wspomnienia to dla mnie największy skarb...

– Jaką wymówkę znalazła sobie Cassie tym razem? – spytała nagle Lorelei.

– Co? Ach tak... – Potrząsnęłam głową, by wrócić do rzeczywistości, i umykając spojrzeniem w bok, powiedziałam szybko: – Coś tam tłumaczyła, ale szczerze mówiąc, wyleciało mi z głowy.

Czyli Cassie nie odwiedzała mnie. Dlaczego? Może chciała mnie ukarać za to, że ją wtedy zostawiłam samą, a może, bojąc się, że znowu podejmę samobójczą próbę, wolała trzymać się ode mnie z daleka. Ale znałam Cassie bardzo dobrze. Może być na mnie wściekła, może czuć się zraniona, ale i tak kiedyś mi wybaczy.

Byłam pewna, że ten ktoś, kto pisał pamiętnik, zwróci na to uwagę i nie rozczaruje Cassie.

– Na pewno niebawem tu się zjawi. Wszystko będzie dobrze. – Taką przynajmniej miałam nadzieję.

Kiedy rozmyślałam o pojednaniu z Cassie, przypominałam sobie też o Diane. Przysięgłam już sobie, że po powrocie do prawdziwego świata ją przeproszę. Tak, ale co z tą osią czasu? Czy jest za co przeproszać? Och, jest... i na pewno to zrobię.

Zgodnie z listą wyłożoną koło telefonu, mogłam skorzystać z niego za godzinę. Miałam więc mnóstwo czasu na zastanawianie się, jaka będzie reakcja Diane. Całkiem możliwe, że gdy tylko usłyszy mój głos, od razu się rozłączy.

W końcu nadszedł mój czas. Wystukałam numer i z bijącym sercem słuchałam, jak telefon dzwoni i dzwoni, coraz bardziej pewna, że usłyszę automatyczną sekretarkę. Kiedy miałam już się rozłączyć, usłyszałam Diane.

– Tak, słucham?

Oczywiście otworzyłam usta, ale wydobył się z nich tylko cichutki pisk. Odchrząknęłam więc i udało mi się wypowiedzieć kilka słów względnie normalnym tonem:

– Diane, tu Jenna. Jenna Hall. – Odpowiedziała mi cisza. – Diane, proszę, nie rozłączaj się! Chcę ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że cię zawiodłam. Zdaję sobie sprawę, że zrobiłam coś niewybaczalnego, i wcale się nie dziwię, że nie masz ochoty ze mną rozmawiać. Postąpiłam bezmyślnie, jak skończona egoistka, poza tym byłam też trochę zazdrosna. Że ty jesteś szczęśliwa, a u mnie beznadziejnie. Oczywiście wcale mnie to nie usprawiedliwia. Absolutnie nie, ale błagam, daj się przeprosić. Czy wiesz, jak mi ciebie brak? Okropnie za tobą tęsknię, okropnie! – Czyli po prostu słowotok.

Ale trudno, wyrzuciłam to z siebie i z bijącym sercem czekałam na oddźwięk. Diane miała święte prawo na mnie nawrzeszczyć, a nawet zwymyślać, ale tak się nie stało. Bo dźwięki, jakie słyszałam w słuchawce, nie miały nic wspólnego z wrzaskiem. Diane najpierw odetchnęła głęboko, a potem drżącym głosem wypowiedziała słowa, na które czekałam z utęsknieniem:

– Wybaczam ci.

Cudownie, choć wiadomo, że to dopiero początek. Nie łudziłam się, że wystarczy jedno „przepraszam” i już wrócę do jej życia. Najpierw trzeba będzie odzyskać zaufanie Diane, a nie wiadomo, jak długo to potrwa.

– Dziękuję – powiedziałam z nadzieją, że wyczuła, jak bardzo jestem szczerą i jak wielki ciężar spadł mi z serca. Wiedziałam, że w mojej własnej osi czasu czeka mnie podobna rozmowa telefoniczna, ale co tam! Do Diane gotowa byłam dzwonić z przeprosinami i milion razy.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, recepcjonistka, która siłą rzeczy słyszała całą

rozmowę, uśmiechnęła się do mnie i skinęła głową. Pochwaliła mnie, co było bardzo miłe z jej strony.

Na kolejną sesję z Parkerem udałam się w nastroju zdecydowanie optymistycznym.

– Witam! Proszę usiąść – powiedział uprzejmie, a ja wyczułam, że jest czymś poruszony.

Usiadłam więc szybko na krześle przed biurkiem i nachylając się ku Parkerowi, spytałam:

– Dowiedział się pan czegoś?

Najpierw zrobił krótki wdech i wydech, dopiero potem powiedział:

– Może najpierw coś mi pani wyjawi. Jak pani o tym się dowiedziała? Bo ja, żeby uzyskać jakiegokolwiek informacji, musiałem poruszyć niebo i ziemię.

Kolejny kamień spadł mi z serca. Bo mimo że w sprawie Parkera niby czułam się bardzo pewna, to jednak cień wątpliwości pozostał, z czego właśnie zdałam sobie sprawę. Przecież to wszystko mogło być tylko urojeniem. Parker nie musiał się wcale mylić, uznając mnie za chorą psychicznie – czyli tak zwanego czubka – która wygaduje niestworzone historie o innych światach. A tu proszę, już sam fakt, że szukał informacji, świadczy o tym, że potraktował to jak należy.

– Mówiłam już panu. Spotkałam pana w alternatywnej rzeczywistości, w której moja matka nie oddała pana do adop-cji. Wychowywaliśmy się razem, jak rodzeństwo. Nie sądzę, żebyśmy byli ze sobą bardzo zżyci, ale na urodziny dostałam od pana wymarzoną broszkę, czyli jednak zależało panu na mnie. Poza tym pomagał mi pan w znalezieniu pracy. Myślę też, że może mamy jeszcze jakieś wspólne sprawy czy problemy do rozwiązania. Może tu, w tej rzeczywistości, dano nam drugą szansę, byśmy zbliżyli się do siebie.

– Tego nie wiem. – Parker pokręcił głową. – Jednak zgodnie z tym, co znajduje się w dokumentach, mamy tę samą matkę.

Był rozdarty. Jako terapeuta nie chciał mieć nic wspólnego z zaserwowanymi przeze mnie rewelacjami, z drugiej jednak strony jako człowiek nie był całkowicie pewien, że to jakieś bzdury. Czyli dobrze, bo to już jakiś postęp.

– Na czym więc stoimy? – spytał, spoglądając na mnie przenikliwie.

– No cóż... Pańska wola, co pan z tym robi, natomiast ja zrobiłam swoje i wracam do mojego prawdziwego świata. A pan może nawiązać kontakt ze swoimi siostrami, Jenną i Cassie.

– Aha. Czyli w sumie to wszystko bardzo proste.

Co do tego nie byłam do końca przekonana, niemniej jednak uważałam, że owszem, powinien to zrobić.

– Tak. Myślę, że nie będzie z tym problemu.

– A jak pani zamierza przenieść się do tego swojego prawdziwego życia? – spytał, spoglądając przelotnie na moje ręce owinięte bandażami.

Też tam spojrzałam i energicznie pokręciłam głową. Na litość boską, przecież nie o tym myślałam! Na pewno nie!

– Muszę odnaleźć Dom Łez, czyli dom, w którym jest ukryty pokój stanowiący swoisty przedświata do innego świata. Nie wiem, dlaczego właśnie w tym domu, ale tak jest. W tym ukrytym pokoju dokonują się przenosiny. – Przerwałam na moment. – Trafiłam do tego miejsca przypadkiem, kiedy razem z siostrą pojechałyśmy obejrzeć dom wystawiony na sprzedaż. Ten dom nazwałam Domem Łez. Mama kiedyś napisała wiersz pod tym tytułem. Kiedy z siostrą oglądałyśmy ten dom, natrafiłam na ukryty pokój i tam właśnie... Wiem, że to zabrzmiało nieprawdopodobnie, ale tak po prostu było. Uderzyłam się w głowę, a kiedy odzyskałam przytomność, okazało się, że przeniosłam się do alternatywnej rzeczywistości, w której moja matka żyje.

Starłam się mówić spokojnie i rzeczowo, ale sądząc po jego minie, jednak bardzo wątpił w prawdziwość moich słów. Dlatego dodałam:

– Może mi pan wierzyć albo nie, w sumie to nie ma wielkiego znaczenia. Ja w każdym razie muszę odszukać Dom Łez i znaleźć drogę do mojego prawdziwego świata. Odejdę stąd, a Jenną Hall będzie ktoś inny. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby pan nie tracił jej z oczu. Nie wiem, czy osoba, w której ciele teraz przebywam, będzie miała świadomość, co się wydarzyło, kiedy przebywała gdzie indziej. Być może jest to w jej pamięci biała plama. Ale będzie potrzebowała pomocy, a ja nie ukrywam, że liczę na pana.

– A co się stanie, jeśli pani nigdzie się nie przeniesie, lecz zostanie tutaj, w tym życiu?

– Wtedy będę potrzebować starszego brata, który pomoże mi tu przetrwać – odparłam z uśmiechem.

– W porządku. – Jego twarz wyraźnie złagodniała. – Jestem do dyspozycji dla każdego wariantu pani osoby. Może lepiej... twojej? Skoro zakładamy, że jesteśmy rodzeństwem, proponuję, byśmy przeszli na ty.

Nie wierzyłam, że Parker – tak, bo dla mnie był już tylko Parkerem – zgodzi się mnie tam zawieźć. Ale zgodził się, może dlatego, że widział, jak bardzo jestem zdesperowana, i uznał, że to znacznie lepsze rozwiązanie, gdy ktoś nade mną będzie czuwał. A może potraktował to jako rodzaj terapii, uznając, że jeśli pozwoli, bym w swoich urojeniach poszła za ciosem, to wyniknie z tego coś dobrego. Lub po prostu zaczynał mi wierzyć. W każdym razie jechał ze mną, za co byłam mu niezmiernie wdzięczna.

Miał tylko jedną prośbę. Chciał po drodze odwiedzić grób matki, której nigdy nie widział.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z ośrodka, byłam cała podekscytowana, a zarazem pełna obaw, przecież nie wiedziałam, co mnie czeka. Bałam się jak dziecko, które po raz pierwszy idzie do szkoły. Bardzo chciałam zrobić ten krok do przodu, choć

jednocześnie szkoda mi było opuszczać miejsce tak bezpieczne, jakim okazała się dla mnie ta oś czasu. Chociaż miałam też się o co się martwić. Czy Lorelei będzie pisać dziennik? Czy Cassie mi wybaczy?

Zatrzymałam samochód i odwróciłam się do Parkera.

– Czy mógłbyś mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę?

– Tak? Jaką?

– Po pierwsze, choć nie wierzysz w alternatywne rzeczywistości, nie negujesz faktu, że jesteśmy przyrodnim rodzeństwem.

– Nie, nie neguję.

– Jesteś więc przyrodnim bratem nie tylko moim, ale i Cassie. A my potrzebujemy ciebie. Śmiem też twierdzić, że ty również nas potrzebujesz. Dlatego proszę, żebyśmy teraz, kiedy już się odnaleźliśmy, trzymali się razem, zgoda? Ty, Cassie i ta Jenna, która zajmie moje miejsce. Rozumiesz?

Parker wziął mnie za rękę i lekko uściśnął. A ja poczułam, że zrobiłam już wszystko, co miałam zrobić w tej osi czasu, i śmiało mogę ruszać do świata, który uważałam za swoje miejsce na ziemi.

Zaprowadziłam Parkera do cichego zakątka cmentarza i wskazałam granitowy nagrobek, na którym wyryte było imię i nazwisko naszej matki. Marjorie Parker Hall. Spojrzałam i mimo woli zrobiłam głęboki, drżący wdech. Bo wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak tamtego poranka, w dzień moich urodzin, kiedy stałam w tym samym miejscu.

Parker nie był zdziwiony, że na grobie leży tyle przedmiotów wotywnych, kartek i listów. Powiedziała mu o niekończącej się procesji wielbicielek poezji naszej matki, które wciąż przychodzą na jej grób. Był bardzo zaciekawiony. Oglądał wota dziękczynne dla ukochanej poetki, czytał fragmenty wierszy i zapiski wielbicielek. A ja wpatrywałam się w coś, co również leżało na grobie. W purpurowy irys.

Kiedy Parker ukląkł i zaczął się modlić za zmarłą matkę, której nie mógł przecież zachować w pamięci, ja pogłaskałam ukradkiem aksamitne płatki. Dowód, że była tutaj Cassie. Zawsze przynosiła purpurowe irysy, ponieważ gdzieś przeczytała, że są symbolem zarówno smutku, jak i nadziei, i zgodnie z tradycją ten kwiat położony na grobie kobiety wzywa Iris, boginię tęczy, która poprowadzi duszę zmarłej do wieczności.

Zrozumiałam coś jeszcze. Cassie przynosiła irysy również po to, by przekazać matce, że jej wybaczyła. Dlaczego więc ja nie miałabym tego zrobić? Całkowicie, na zawsze jej wybaczyć i zapomnieć o wszystkich urazach, które tak długo nosiłam w sercu, w rezultacie niszcząc samą siebie...

Och, jaka szkoda, że nie mogę jej o tym powiedzieć tak normalnie, jak żywemu człowiekowi. Powiedzieć, że rozumiem, dlaczego trzymała przed nami w tajemnicy swoje demony. Wiem, co ją prześladowało, dlaczego ból i żal

przerodziły się w nienawiść do samej siebie, i dlatego pewnego dnia nie miała już siły żyć dalej ze świadomością, że dokonała fatalnego wyboru. Wiem, dlaczego dręczyło ją poczucie winy, chociaż miała istotne powody, by zdecydować właśnie tak. Po prostu wybrała jedną z wielu dróg.

Pomodliłam się cicho i żarliwie, wiedząc, że w którejś z rzeczywistości matka znalazła spokój i ukojenie, czyli to, czego nie mogła znaleźć w tej rzeczywistości, a także w moim prawdziwym świecie.

Potem wzięłam kwiat do ręki. Pachniał delikatnie, pachniał smutkiem i nadzieją, czyli tym, co towarzyszyło mi przez ostatnie kilka tygodni. Zapach był urzekający. Chłoniłam go przez chwilę, potem położyłam kwiat z powrotem na grobie. Bo na mnie już czas. Pora wracać do domu, na co czekam z niecierpliwością. Czułam, że jestem już blisko mojej rzeczywistości, po prostu jest gdzieś tutaj, za rogiem. Trzeba tylko wejść do ukrytego pokoju – i już tam się znajdę.

– Jaka ona była? – spytał Parker.

W pierwszej chwili nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Z dzieciństwa zapamiętałam matkę jako istotę nieobecną duchem, a niedawno poznałam całkiem inną kobietę, beztroską, zadowoloną z życia, spełnioną. Która z nich była prawdziwa? Ta mroczna czy ta promienna? Moim zdaniem prawda leżała gdzieś pośrodku.

– Była kobietą... – zaczęłam, spoglądając w jego oczy, teraz jak oczy chłopczyka, który zastanawia się, jaka była jego mama. – Była kobietą, która wszystko przeżywała bardzo mocno, a to, jak wiadomo, może być i błogosławieństwem, i przekleństwem. Wiem, że bardzo cię kochała. Kiedy straciła ciebie, czuła się tak, jakby straciła część siebie.

Nie wiedziałam, czy to, co usłyszał, pomoże mu odnaleźć się w nowej sytuacji, czy nie. Był wzruszony, wyraźnie bliski łez. Pochylił się jeszcze niżej, przycisnął dwa palce do ust, a potem powiódł nimi po literach wyrytych na grobie. Imieniu matki. I szeptał coś do niej, do matki, której nigdy nie poznał.

Odwróciłam się, czując się jak intruz. Po dłuższej chwili Parker wstał z kolan, otrzepał się i rzucił głosem już normalnym, bez śladu wzruszenia:

– Jedziemy.

Pokiwałam głową. Tak, jedziemy, bo nawet gdybym opowiadała mu o zmarłej matce godzinami, i tak nie przywróci jej to do życia. Wiele rzeczy wolałam też przemilczeć. Chociażby to, że jest taka rzeczywistość, gdzie matka nie oddała go nikomu i nie odebrała sobie życia. Tego nie mogłam mu powiedzieć, absolutnie nie, bo czułby się jeszcze bardziej zraniony.

Wsiadliśmy do samochodu. Ja pilotowałam, Parker prowadził wpatrzony w drogę. Ani razu na mnie nie zerknął. Czy dlatego, że nie chciał, bym zobaczyła, ile smutku jest w jego oczach? A może wolał nie patrzeć na mnie i nie rozmawiać,

bo bał się, że w końcu uwierzy w te inne rzeczywistości i będzie gorzko żałować, że nie egzystuje w innej, która być może byłaby dla niego bardziej łaskawa?

– Teraz w prawo – powiedziałam, a Parker skręcił na drogę prowadzącą do Domu Łez.

Zbliżał się coraz bardziej, a ja byłam półprzytomna z emocji.

Już prawie tam jestem! – krzyczałam w duchu. Prawie w domu!

Podeksytowana pochyliłam się do przodu z nosem przyklejonym do szyby.

– Tam! Tam!

Tam?! Przecież tam nic nie ma! Spojrzałam w lewo, w prawo i nic. Żadnego domu, który powinien być tuż przed nami.

– To znaczy gdzie? – spytał Parker.

Nie wierzyłam własnym oczom, byłam przerażona tak bardzo, że czułam, jak wszystko się we mnie obrywa, jak całe powietrze ulatuje z moich płuc. Jakby ulatywało ze mnie życie.

– Przecież... przecież on powinien tu być!

Owszem, powinien, ale go nie było. Nie było domu z ukrytym pokojem, nie było magicznego wejścia do mojego świata. Po prostu znikł.

Parker zatrzymał samochód i spojrzał na mnie. Nie był już moim starszym bratem, ale tylko i wyłącznie terapeutą.

– Jest pani gotowa zmierzyć się z rzeczywistością?

– Nie! – krzyknęłam histerycznie, wskazując palcem na to, co za oknem. – Nie, bo to nie jest moja rzeczywistość! Moja musi być gdzieś indziej! Ale tutaj, gdzieś blisko!

– A może nie tutaj, może zjechaliśmy na złą drogę.

Niemożliwe, bo tę zarośniętą chwastami dróżkę znałam tak dobrze jak swoje dziesięć palców. Tylko trzeba podejść kawałek dalej.

– Idziemy! – zawołałam, wyskakując z samochodu, i popędziłam niemal niewidoczną wśród chwastów dróżką.

Dobiegłam tam, gdzie powinien stać dom.

I zobaczyłam zgliszcza. Osmalone fundamenty, zwęglone odłamki, popiół.

Padłam na kolana, wydając z siebie krzyk największej rozpacz:

– Nie, nie, nie!

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Parker natychmiast znalazł się przy mnie. Chwycił mnie pod ramię, a ja, walcząc z paralizującym strachem, powoli podniosłam się z kolan i stanęłam na chwiejnych nogach.

– Przecież tu byłam! – krzyknęłam, bezradnie kręcąc głową.

Taka była prawda. Stałam w miejscu, gdzie kiedyś była kuchnia, gdzie moja matka upiekła tort i życzyła mi wszystkiego najlepszego, jakby to robiła co roku, w każde moje urodziny przez minione dwadzieścia lat. I właśnie tutaj udało mi się w końcu wypełnić puste miejsce, gdzie powinna być matka.

Ruszyłam przez zgliszcza, w które zmienił się pokój dzienny, gdzie Parker podarował mi broszkę w kształcie drzewa życia. Ta broszka przedstawiała wszystko, czego powinnam się nauczyć o wielu równoległych drogach życia, którymi podążamy. Nauczyć się, że terażniejszość to tylko iluzja prowadząca do wielu możliwości, które symbolizują rozwidlenia gałęzi, a naszym zadaniem jest sprawić, by każda droga życia, nawet jeśli napotykamy na niej przeszkody, okazała się jak najlepszym wyborem.

A tu smutne pozostałości po sypialni, gdzie kochaliśmy się z Bobem, gdzie pokazał mi, co będzie możliwe, jeśli się otworzę, chociaż istnieje ryzyko, że zostanę zraniona. Bo każdy wybór jest ryzykowny. Jeśli oddamy komuś serce, ten ktoś, odchodząc od nas, może nas zranić. Albo doprowadzić do rozpacz, jeśli umrze. Ale żyć bez miłości? O nie! Samotne serce usycha i w końcu umiera.

To wszystko było tutaj – moja przeszłość, terażniejszość i przyszłość, wszystko w zwęglonych resztkach Domu Łez.

Szłam dalej, czując na sobie przenikliwe spojrzenie Parkera. Uparcie szłam przez zgliszcza, bo choć w świetle tych okoliczności może wydawać się to absurdalne, ale wciąż byłam przekonana, że nie wszystko jeszcze stracone. Muszę tylko natrafić na ukryty pokój, a raczej miejsce, gdzie był. Muszę go znaleźć, nie ma innej opcji, bo jeśli tak się nie stanie, na zawsze pozostanę w tej rzeczywistości poznaczonej bliznami, które przypominać mi będą o moich błędach.

Rozglądałam się na wszystkie strony, próbując przypomnieć sobie, w którym miejscu wchodziłam do ukrytego pokoju. Tu czy tam? Chodziłam w kółko, w lewo i w prawo, nie zwracając uwagi na nawoływania Parkera. Z powodu łez niewiele widziałam, ale zdałam się na instynkt. I mnie nie zawiodł, bo po chwili poczułam właśnie to. W głowie mi się zakręciło, no i to znane, wyjątkowo silne *déjà vu*. Świat zawirował i zaczął znikać, kiedy wsysał mnie gigantyczny lej z gęstej białej mgły. Jeszcze przez chwilę widziałam pełne przerażenia oczy Parkera, jego ręce wyciągnięte jak najdalej, jak najdalej, za późno jednak, by zdołał mnie złapać. Bo już spadałam w dół.

Tym razem nie straciłam przytomności, mój umysł rejestrował wszystko. Byłam na górze z Parkerem – teraz jestem sama w ukrytym pokoju. Otrząsnęłam się, zebrałam w sobie i podeszłam do drzwi przekonana, że z drugiej strony czeka na mnie moje prawdziwe życie.

Przekręciłam klamkę, otworzyłam i...

I wyszłam na korytarz. Był pusty, a po obu stronach zamknięte drzwi.

Co jest, u diabła?! – zakląłam w duchu.

Odwróciłam się i z powrotem przekroczyłam próg w drzwiach, którymi tu weszłam, ale wcale nie wróciłam do ukrytego pokoju. Tu też był korytarz i jeszcze więcej zamkniętych drzwi. Zaczęłam więc je po kolei otwierać, ale za każdymi drzwiami znajdowało się to samo: nowy korytarz, nowe drzwi. Byłam uwięziona w niekończącym się labiryncie korytarzy.

Które drzwi mam otworzyć?!

Skronie pulsowały od tego pytania, szybciej oddychać już nie mogłam. Zdawałam sobie sprawę, że czas nagli. Muszę jak najszybciej znaleźć właściwe drzwi do właściwego korytarza. Jeśli mi się nie uda, to będę zgubiona. Zgubiona na zawsze.

Stałam przerażona okropną niemocą, tym, że nie jestem w stanie podjąć decyzji. Gorączkowo rozglądałam się wokół, miotając głową na wszystkie strony, ale wszędzie widziałam to samo: korytarze biegnące w różne strony i poszatkwane prawie identycznymi drzwiami... Moment! Prawie? Oczywiście, bo chociaż na pierwszy rzut oka wydają się identyczne, to jednak są drobne, niemal niewidoczne różnice. Na tamtych drzwiach wryto jakiś wzorek, te są z jaśniejszego drewna. No i klamki, czasami szklane, w innych drzwiach żelazne.

Które drzwi? Które?! Muszę wybrać, a korytarzy i drzwi jest coraz więcej!

Nagle przede mną przemknął jakiś cień. Przystanął na ułamek sekundy, przesunął się w bok i znikł. O tam. Czyżby MAYA? Czyżby próbowała mi pomóc odnaleźć właściwe drzwi?

Ruszyłam biegiem w ślad za cieniem, który pojawiał się i znikał, aż po chwili dotarłam do ślepego zaułka, gdzie nie było już co wybierać, bo znajdowały się tylko jedne drzwi. Ostatnie. Natychmiast je otworzyłam i weszłam do ogromnego pokoju, właściwie sali. Pod przeciwległą ścianą ktoś klęczał. Był odwrócony do mnie plecami, ale i tak od razu poznałam, kto to. Tak, to mogła być tylko ona, bo ta jej burza jasnych loków...

– Cassie!

Niby zawołałam, ale głos był cichy, przytłumiony. Wołałam jeszcze kilkakrotnie, biegnąc do niej, ona jednak ani drgnęła. Kiedy już niemal do niej dopadłam, nagle ujrzałam, przed czym klęczy moja siostra.

Przed trumną.

Natychmiast zwolniłam, bo jakoś nie miałam ochoty zobaczyć, kto leży w tej

trumnie. Zatrzymałam się i zerknęłam wokół. W pokoju było jeszcze kilka osób, ale raczej nikt mnie nie zauważył. Była też Maya w czarnym welonie nasuniętym na twarz. Siedziała sama na końcu pokoju.

Spojrzałam jeszcze raz na Cassie i na Mayę, bezradnie potrząsając głową. Bo to niemożliwe. Tak, niemożliwe jest to, czego jednak się spodziewam. Ale żeby mieć pewność, trzeba zobaczyć na własne oczy.

– Cassie?

Podeszłam bardzo blisko, starając się zwrócić na siebie uwagę, ale na próżno. Cassie nadal klęczała przed trumną, szlochając rozpaczliwie. Wyciągnęłam szyję, by spojrzeć ponad jej ramieniem, no i wcale nie byłam zaskoczona, kiedy zobaczyłam, kto leży w trumnie z różanego drewna wyścielonej białą satyną. Z tym że ten ktoś nie wyglądał jak ja, lecz jak figura woskowa wyrzeźbiona przez kogoś, kto za dobrze mnie nie znał. Na przykład włosy były innego koloru, ale to na pewno byłam ja. Przerażająco nieruchoma, przerażająco realna.

W złożonych rękach purpurowy irys.

Czyli wszystko jasne. Skoro istnieje rzeczywistość, w której podejmuję bezskuteczną próbę samobójczą, musi istnieć także rzeczywistość, w której ta próba się powiedzie. I w tej rzeczywistości się znalazłam, ale nie jako człowiek. Na pewno nie. Teraz byłam tylko duchem.

– Przepraszam, Cassie – powiedziałam niby normalnie, ale usłyszałam jedynie szept, który z pewnością nie dotarł do uszu siostry. Ale widziałam, jak nagle zadrżała. Biedna Cassie. Nigdy się nie dowie, jak bardzo żałowałam, że zraniłam ją w ten sposób.

– Jak mogłaś mi coś takiego zrobić? – powiedziała tonem nabrzmiałym łzami. – Nie dotrzymałaś obietnicy. A przyrzekałaś, że nigdy mnie nie zostawisz!

W jej głosie było więcej bólu niż gniewu. Chciałam ją pogłaskać, przytulić, ale okazało się to niemożliwe, skoro byłam duchem. Poza tym nie miałam prawa do pocieszania, do usprawiedliwiania się. Tego prawa pozbawiłam się sama, skutecznie godząc w swoje życie, dlatego czułam do siebie obrzydzenie. Jak mogłam to zrobić? Jak mogłam pozbawić się czegoś tak cennego?

Spojrzałam na Mayę. Przez chwilę patrzyłyśmy sobie w oczy i nagle poczułam, że pod powiekami zapiekło. Szybko więc zamrugałam, chociaż wiadomo, że łzy i tak by nie popłynęły. Duchy nie płaczą, prawda?

Odwróciłam się od smutnej trumny, a kiedy podchodziłam do Mai, spojrzałam jeszcze raz na tę jakże nieliczną grupę osób, które przyszły pożegnać się ze mną. Siostra, ojciec, kilka osób z Latającej Małpy, baru, w którym pracowałam. Tak, zaledwie kilka, a kiedy byłam żoną Boba, mieliśmy mnóstwo przyjaciół. Uzmysłowiłam sobie, jak ubogie było moje życie w tej rzeczywistości, jak niewielu ludziom pozwoliłam zbliżyć się do siebie.

Gdybym miała szansę na nowe życie, na pewno byłoby inne. Otworzyłabym

się, okazywałabym innym więcej życzliwości, dzięki czemu zyskiwałabym przyjaciół. Wyszłabym z tej swojej skorupy i czerpała z życia pełnymi garściami. Gdybym miała szansę...

Ktoś jeszcze się pojawił. Diane. Weszła do środka, ale zrobiła tylko kilka kroków i przystanęła, bezradnie potrząsając głową. Bezgranicznie smutna Diane ze ściągniętą twarzą. Wyciągnęłam do niej rękę, choć wiedziałam, że nie mogę jej dotknąć. A Diane odwróciła się i odeszła. Diane, której nigdy już nie będę mogła przeprosić i odnowić naszej przyjaźni. Diane nigdy się nie dowie, dlaczego ją zawiodłam, kiedy tak bardzo byłam jej potrzebna.

Nagle znów usłyszałam Cassie. Mówiła do wszystkich obecnych:

– To jeden z wierszy mojej matki. Jenna, kiedy umierała, trzymała w ręku tę właśnie kartkę, czyli ten wiersz musiał być dla niej bardzo ważny.

Zamknęłam oczy, wiedząc doskonale, który wiersz matki Cassie przeczyta na głos... Nie, tego było już za wiele! Tyle przeszłam, żeby w końcu znaleźć się w sytuacji, której bałam się panicznie. Dlaczego?!

Podeszłam do Mai, usiadłam obok niej ze spuszczoną głową i wymamrotałam:

– Zawiodłam.

– Nie, kochanie. – Przykryła dłonią moją dłoń. – Stało się tak dlatego, że gałęzie, które przycięto zbyt wcześnie, czasami usychają. Ale nie wszystkie, bo niektóre przeciwnie, zaczynają rosnąć o wiele szybciej.

– A co się dzieje, jeśli jednak uschną wszystkie?

Maya przekrzywiła głowę, tajemniczo się uśmiechnęła i stwierdziła:

– Wtedy ma się możliwość spojrzeć wstecz na całość swego życia. Na każdy wybór, na wszelkie jego konsekwencje. Nie będzie się niczego żałować, bo przecież podążało się każdą drogą.

– Rozumiem... ale dlaczego tego nie pamiętam?

– Mogłabyś, gdybyś się bardzo postarała, bo twój umysł przysposobiony jest do pamięci linearnej, a nie okrężnej.

Pokiwałam głową. No proszę, jaka uczona. Z tym że ja też już swoje wiedziałam. Nasze życie to zlepek wszystkich naszych wyborów. Powodzenie i porażka istnieją równocześnie, a my ponosimy konsekwencje i tego, i tego. Śmierć wcale nie musi oznaczać, że to kres wszystkiego. Nawet jeśli jesteśmy tak głupi, że odbieramy sobie życie, mamy szansę wszystko wyprostować – w innej rzeczywistości. Co było oczywiste także dla mojej matki. Śmierć nikogo nam nie odbiera, ten człowiek po prostu podąża inną, równoległą drogą.

– Nie zależy mi już na żadnych wyborach – powiedziałam drżącym głosem.

– Chcę tylko jednego. Wrócić do życia, które pamiętam. Tak wiele się nauczyłam, tak wiele zrozumiałam, dlatego tym mocniej pragnę tam wrócić. Chcę dotrzymać obietnicy danej Cassie. Przysięgam, że nigdy jej nie opuszczę.

Byłam skrępowana swoim głosem, bo nie tyle powiedziałam powyższe słowa, co wyjęczałam. Cóż... Jeśli nawet to, że umarłam, niczego mnie nie nauczyło, to znaczy, że nic już mnie niczego nie nauczy.

Wyprostowałam się.

– Muszę wrócić do ukrytego pokoju, Mayu. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby wrócić do domu.

– Ukryty pokój już nie jest ci potrzebny. Wystarczą proste symbole, które skłonią twój umysł, by poprowadził cię nielinearnie. A siłę masz, jest w tobie cały czas.

Zerknęłam na Cassie i wcale nie byłam zdziwiona, kiedy zauważyłam, że trzyma w ręku znajomą figurkę.

– Czyli coś podobnego, co wydarzyło się Dorotce? Tak, Mayu?

– Coś w tym rodzaju.

– Tylko co konkretnie mam zrobić? Tupnąć nogą i powtórzyć kilka razy, że nie ma jak w domu? Zadziała?

– Może się obyć bez tupania. Po prostu zamknij oczy, skup się, pomyśl, że twoje życie toczy się dalej, a ty wybierasz nową drogę życia, która doprowadzi cię do miejsca, w którym chcesz być.

– Serio?

– Tak. Spróbuj.

Zamknęłam oczy i najpierw nabrałam głęboko powietrza, starając się odprężyć. No i skupić, co nie było łatwe, skoro w głowie miałam mętlik od wymyślania nowych koncepcji powrotu do domu, przy czym im bardziej wyęczałam umysł, tym bardziej wydawało się to nieosiągalne.

Otworzyłam oczy, by poprosić Mayę o jakąś wskazówkę, ale jej już nie było. Nie tylko jej. Wszyscy znikli, a w wielkim pokoju zapadał mrok. Najpierw w czterech kątach, potem ciemność zaczęła rozchodzić się na boki. Niebawem mrok pochłonie cały pokój. Czyli wiadomo, muszę stąd wyjść już teraz. NATYCHMIAST.

Ponownie zamknęłam oczy i nabrałam powietrza. Wypuszczałam je bardzo powoli, nakazując sobie już się nie miotać, niczego nie wymyślać. I faktycznie, kiedy w głowie zrobiła się błoga pustka, magia zaczęła działać. Czułam, jak moja świadomość jest przeciągana i unoszona, jak jest włączana do innego strumienia życia.

Słyszę cichy szept. To ja? Może i tak, ale ten szept, niby mój, słyszę gdzieś z tyłu, a teraz z prawej strony:

Pora się zagłębić, pora znaleźć ukryty pokój w sobie, to miejsce tak mamiące i wcale niebędące w zasięgu ręki. Wnikaj w siebie, wnikaj głęboko. Miej otwarty umysł. Słuchaj sercem, a będziesz wiedziała...

Straciłam poczucie czasu i miejsca. Po prostu znajdowałam się w bezkresnej

przestrzeni i było cudownie. Chciało się lecieć i lecieć bez końca. Chciało tak bardzo, że prawie zapomniałam, jaki jest mój cel. Że mam wrócić do Cassie, do osi czasu, gdzie jest moje miejsce. Mam nie słuchać syreniego śpiewu, który kusi, bym pozostała w bezkresie. Mam odnaleźć drogę do Cassie.

Dlatego skoncentrowałam się na niej. Przed oczami miałam jej słodki uśmiech, w uszach tylko jej głos, i wciąż powtarzałam swoją obietnicę, której uczepiłam się jak liny ratowniczej. Obietnicę powtarzającą błąd gramatyczny popełniony przez małą Cassie, a więc tym potężniejszą:

– Nigdy cię nie opuszczę, Cassie. Nigdy nie zostawię cię całkowicie samą.

I stało się. Kiedy otworzyłam oczy, okazało się, że jestem w swoim pokoju. Na pewno moim, i czułam, że wszystko, jak w układance, wróciło na swoje miejsce. Nie musiałam nikogo pytać. Po prostu wiedziałam, że jestem w domu.

Moje serce pęczniało od przeogromnej wdzięczności. Bo chociaż w innych osiach czasu starałam się jakoś przetrwać i dać sobie ze wszystkim radę, to przecież tutaj było moje miejsce. Tu, gdzie moje życie może nie było idealne, ale pasowało mi, bo czułam się w nim swobodnie, jak w spranych dżinsach. I tu też miałam wiele do zrobienia. Miałam przeprosić, miałam dotrzymać obietnicy.

Pokój był, jak powiedziałam, na pewno ten sam, każda rzecz na swoim miejscu, choć jednocześnie wyczuwało się, że ktoś tu w czasie, gdy mnie nie było, mieszkał, a przed swoim odejściem mocno się starał, by wyglądało jak przedtem. Na stole leżał otwarty notes – nowiusieńki, nieskazitelnie czysty. I tak kuszący, że od razu pogłaskałam gładką białą kartkę. Zawsze uważałam, że to twórczość doprowadziła do załamania matki, że wrywane z serca i przelewane na papier słowa były jak komórki rakowe, które mnożą się i powstają nowotwory oznaczające śmierć. Ale teraz już wiedziałam, że jej mroczne wiersze były symptomem depresji, a nie przyczyną.

Nie było powodu, by bać się tych białych kartek, które leżały przede mną. Pisanie nie zaboli, nie zrani, nie zabije. Przeciwnie, może mnie uratować.

Zaczynałam powoli, z wielkim ociąganiem. Pierwszy wyraz, drugi... Jednak słowa szybko nabrały tempa, pchały się jedno za drugim. Była ich już cała lawina. Pisałam o tym, co działo się do chwili, gdy znalazłam Dom Łez, i co działo się potem. O wszystkim, by zachować to w pamięci.

W dzieciństwie mój dom rodzinny było to miejsce z cegieł, marzeń i długich korytarzy prowadzących donikąd. Miejsce, gdzie wspomnienia, jak kłębiące się chmury smutku, opadały na szczupłe barki dziecka. Byłam sama. Sama ze swoimi myślami, sama z rozwianymi marzeniami, sama ze swoją rozpaczą naznaczoną krwią. W którymś momencie wydawało się, że wychodzę z załamania, że biorę się w garść, ale niestety jakiś czas potem zagubiłam się całkowicie. Cienką, delikatną gałązkę przycięto, zanim zdążyła w pełni rozkwitnąć.

Czego się nauczyłam? Przede wszystkim tego, że podróżowanie jest

w każdym z nas. Aby w pełni przeżyć swoje życie, powinniśmy podążać każdą możliwą drogą, by zmierzyć się z konsekwencjami każdego wyboru. Być tu i nie być, być teraz i nie być teraz. Każdy wybór prowadzi do jakiegoś celu, każdy wybór to lekcja, podczas której czegoś się uczymy. Taką drogę obrałam ja. Wiadomo, że wspomnienia z czasem blakną i niebawem te inne rzeczywistości wydawać mi się będą jak sen, ale to, czego się nauczyłam, zostanie na zawsze. I nieważne, którą drogę obierzemy, ponieważ wszystkie prowadzą do tego samego miejsca – do życia przeżytego w pełni z wykorzystaniem każdej możliwości, otwarciem każdych drzwi i zbadaniem, co za nimi się kryje.

Okazało się, że nigdy nie byłam tak naprawdę zagubiona. Poza tym teraz wiem, że istnieją inne rzeczywistości, gdzie moje życie toczy się inaczej, ale tę właśnie drogę przez czas dziejącą się w tym właśnie świecie wybrałam jako swoje życie, którego jestem świadoma. Bo tu jestem potrzebna, tu powinnam być.

DRZWI DO NA ZAWSZE są w każdym z nas.

Pisałam, pisałam i nagle zauważyłam, że z moimi oczami jest coś nie tak. Policzki mam mokre, a na kartce pojawiły się malutkie mokre plamki. Kiedy zaczęłam płakać? Nie wiem, ale płakałam. Nie z bólu czy rozpaczy. Te łzy były bezbolesne, ponieważ były to łzy oczyszczające.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wisiały koło drzwi, tam gdzie zawsze je wieszałam. Kto by się spodziewał, że widok kluczyków do samochodu może aż tak ucieszyć! A ja prawie skakałam z radości! Potem popędziłam do samochodu i pojechałam do pewnego miejsca, które musiałam zobaczyć na własne oczy, by nabrać całkowitej pewności, że wróciłam tam, gdzie powinnam być.

Był tam. Dom Łez. Na jego widok omal się nie rozplakałam. Byłam przeszczęśliwa, że stoi nietknięty, dokładnie taki, jakim go zapamiętałam. Był niezamieszkały, ale nie opustoszały. Skąpany w blasku zachodzącego słońca dom sprawiał wrażenie, jakby tętnił życiem. Piękny obrazek, chociaż kogoś na nim brakowało. Wiadomo – mnie.

Koło dróżki z obu stron obsadzonej drzewami tkwiła wetknięta w ziemię tabliczka z napisem „Na sprzedaż”. Było to dla mnie oczywiste, wiedziałam też, że dom dopiero niedawno został wystawiony na rynek nieruchomości. Ponownie zerknęłam na tabliczkę i serce zabiło mi szybciej, bo obok logo agencji nieruchomości było zdjęcie Boba.

Bob. I ten dom. Muszę ich mieć. Zrobię wszystko, by tak się stało.

Jak rozradowana dziewczynka objęłam się ramionami i obróciłam się dookoła. Bo wszystko będzie dobrze. Więcej, będzie cudownie! Rozpostarłam ramiona i uniosłam twarz ku niebu, które zachodzące słońce malowało pastelami

w odcieniach sorbetu. A niżej, tuż nade mną, pysznił się zielony baldachim z gałęzi drzew misternie poprzeplatanych ze sobą. Jak pięknie!

Kupno tego domu było jedną z wielu ważnych spraw, które koniecznie musiałam załatwić. A pozostałe sprawy to dotrzymanie obietnicy danej Cassie i udowodnienie, że nigdy jej nie zawiodę. Poza tym odszukanie Parkera – koniecznie! – i włączenie go do naszego życia, no i pogodzenie się z Diane, zanim będzie za późno. I przede wszystkim Bob. Przejąć inicjatywę i poprosić go o spotkanie. Boba, który nie wie, że ma szansę znaleźć swoją drugą połowę.

Ale zanim zabiorę się do tego wszystkiego, muszę gdzieś się wybrać.

Tuż przed zapadnięciem zmroku nastaje taka chwila, kiedy promienie światła padają pod kątem idealnie prostym. Drżą, migoczą i dzięki nim widzialna przestrzeń wydaje się jaśniejsza, choć jednocześnie kolory robią się żywsze. Wszystko wygląda jak alternatywny wszechświat widziany przez kruchą zasłonę przykrywającą nasz świat. To szczególne światło żartuje sobie z nas, wręcz prowokuje, przekazując przesłanie, że nasza rzeczywistość i owszem, może być najbardziej idealna, ale i tak coś jeszcze istnieje poza zasięgiem naszego wzroku, poza zasięgiem naszej ręki. Coś, co można zobaczyć tylko czasami i przez bardzo krótką chwilę.

Szłam przez cmentarz, spoglądając na groby inaczej niż przedtem. Filozofowie, teolodzy, matematycy i wielu innych naukowców próbują wszystko skomplikować, kiedy w tym przypadku odpowiedź jest bardzo prosta. Jesteśmy. Byliśmy. Będziemy zawsze. Wybierasz wszystko po kolei, wykorzystując każdą możliwość, póki ostatnia gałąź nie uschnie.

Przystanąłam przy zapłakanym aniołku. Zawsze, gdy tędy przechodziłam, byłam poruszona, że czyjeś życie może być tak tragicznie krótkie. A teraz uśmiechnęłam się, bo wiedziałam, że malutka Addie Rose nadal żyje w miriadach alternatywnych rzeczywistości. Żyje, śmieje się i kocha, przeżywając swoje życie niejednym razem.

Poszłam dalej. Do mogiły matki podchodziłam powoli, z każdą chwilą coraz bardziej skupiona. Jak zwykle koło grobu leżały karteczki ze wzruszającymi słowami. Popatrzyłam na nie, ale tym razem w moim spojrzeniu nie było smutku. Przecież te zapiski to dowód, że moja matka nie zmarnowała życia, skoro nawet po śmierci potrafi poruszyć ludzkie serca i zainspirować. Jak dobrze wiedzieć, że matka dalej żyje i tu, w pamięci innych, i tam, w tych innych światach.

Uklękałam.

– Tęsknię za tobą, mamo – powiedziałam, mając przed oczami zarówno pokolorowaną czarną kredką matkę, jaką zapamiętałam z dzieciństwa, jak i tę promienną, którą znałam tylko przez krótki czas. – Tęsknię za tobą, jaka byłaś, i za taką, jaką mogłabyś być.

Powiodłam palcem po literach wykutych w zimnym kamieniu: Marjorie

Parker Hall.

Parker.

– Odnajdę go, mamó, obiecuję. Odnajdę Parkera i zostanie naszym prawdziwym bratem. Będziemy razem, tak jak chciałaś.

Pochyliłam głowę, zmawiając modlitwę, i zauważyłam jakiś papierek sfruwający w dół. Opadł na ziemię tuż obok grobu, a ja z góry wiedziałam, co będzie na tej karteczce. I nie myliłam się. Wiersz mojej matki o Domu Łez, wzruszające wersy, które Cassie czytała na moim pogrzebie.

DOM ŁEZ

Z sześciu funtów rozkrzyczanego mięsa

W sześć funtów popiołów zimnych jak kamień.

Pomiędzy nimi życie. Życie człowieka. Jak je ocenić?

Czy licząc ludzi, których kochał, czy też zliczając tych, którzy go kochali?

Czy oceniać według słodkich pocałunków, czy gorzkich łez

Czasu spokoju czy chwil bolesnych i modlitwy w blasku świec?

Czy też liczbą tych, o których życie otarł się na swej drodze?

A może liczy się tylko miara czasu?

Jak długo był, kiedy umarł

W Domu Łez.

Te słowa przemówiły do mnie inaczej. Teraz, kiedy matka stała mi się bliższa, rozumiałam lepiej jej ból, smutek, nadzieje i marzenia. Czy podobnie jak ja odbyła podróż przez Dom Łez? Jeśli tak, czy wreszcie odzyskała spokój ducha i znalazła zrozumienie, którego tak bardzo pragnęła? Czy przebywając w innych rzeczywistościach, widziała, jak staje się kobietą, jak kołyszę jej wnuki, jak w tych różnych światach znajduję nowe miłości?

Położyłam kartkę z powrotem obok grobu, by mógł ją przeczytać ktoś inny, a ten wiersz być może też go poruszy.

I usłyszałam znajomy głos:

– Byłam ciekawa, kiedy tu przyjdiesz.

Maya, na pewno ona, ale nie widziałam jej. Głos Mai rozbrzmiewał gdzieś we mnie, w środku. Uśmiechnęłam się, bo dla mnie było to już oczywiste. To, co Maya wiele razy dawała mi do zrozumienia, ale jakoś do mnie nie docierało. Ale już wiedziałam. Podobnie jak ukryty pokój, Maya była czymś w rodzaju fizycznej manifestacji mojej wyższej świadomości. Głosem, który istniał w moim umyśle, a ja miałam za zadanie go słuchać, otwierając przy tym swoje serce. Tym sposobem Maya będzie ze mną, kiedy tylko będę potrzebować jej rady.

– Tak, jestem tutaj – szepnęłam. Przecież byłam. W końcu tu dotarłam. – Dziękuję ci, Mayu. Dziękuję za wszystko.

Zdawałam sobie sprawę, że moja podróż jeszcze nie dobiegła końca. Mam za sobą tylko pierwszy jej etap. Poznałam różne warianty swego życia będące

konsekwencją kilku różnych wyborów, dzięki czemu uzmysłowiłam sobie, że nie wolno mi nikogo obarczać winą za moje smutki. Ani matki, ani ojca, ani siostry czy brata, bo to ja, tylko ja jestem tego sprawczynią.

Ta wiedza powinna być przygnębiająca, a jednak nie była, bo wiedziałam już, co z tym zrobić. Jeśli za swoje niepowodzenia obwiniać mogę tylko siebie, to – tak na logikę – jestem jedyną osobą, która może zmienić swoją rzeczywistość. Bo to ja decyduję, czy będę szczęśliwa, czy też przeciwnie, będę tarzać się w nieszczęściu. Innymi słowy, to ja decyduję, jakie jest moje przeznaczenie.

Wiedziałam oczywiście, że swoją podróż kiedyś będę musiała dokończyć. Że nie obejdzie się bez potknięć. Człowiek musi wiele razy dokonywać wyboru, a podjęta decyzja nie zawsze musi być słuszna. Niezależnie jednak od tego, co wybierzemy, zawsze możemy się czegoś nauczyć.

Pocałowałam zimny kamień, co było ostatecznym pożegnaniem. Dni żałoby dobiegły końca, od tej chwili zamierzałam cieszyć się każdą chwilą, czerpiąc z życia pełnymi garściami.

Kiedy wstawałam z kolan, znów usłyszałam czyjś głos.

– O! Jesteś tutaj!

Serce zabiło mi szybciej, a przez głowę przemknęła myśl, że siostra znowu wytropiła mnie na cmentarzu i wita tymi samymi słowami. Owszem, ale osoba, którą Cassie wita, bardzo się zmieniła od tamtego spotkania.

Mocno przytuliłam ją do siebie.

– Och, Cassie, jak ja się za tobą stęskniłam!

Wytrzymała moje uściski zaskakująco długo, a potem, jak to Cassie, zaczęła żartować:

– Czyżby? Ach! No tak, przecież wczorajszy wspólny obiad był przed wiekami! – Zrobiła zabawną minę, zaraz jednak spoważniała. – Jen, co się z tobą dzieje? Od kilku tygodni zachowujesz się co najmniej dziwnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Jeszcze dziwniej niż zwykle.

No tak, cała Cassie. A ja czułam się tak, jakbym cała się uśmiechała, od palców u nóg aż po czubek głowy. Bo wiedziałam na pewno, że wróciłam do domu.

– Mam ci bardzo wiele do opowiedzenia – oznajmiłam.

Owszem, wiele, z tym że jeszcze nie zdecydowałam, co tak naprawdę przekażę Cassie o moich ostatnich przeżyciach. Być może w ogóle pomnę je milczeniem. Najistotniejsze jest to, co mi dała ta nieprawdopodobna podróż.

Cassie z uśmiechem wzięła mnie za rękę.

– Opowiesz mi po drodze, Jen. Musimy już jechać, jesteśmy umówione w agencji nieruchomości i powinnyśmy zjawić się punktualnie. To bardzo ważne spotkanie, mamy przedstawić ofertę w sprawie kupna domu. Zapomniałaś?

Potrząsnęłam głową zaskoczona, że układa się po prostu cudownie, idealnie tak, jak powinno być.

– Oczywiście, że nie zapomniałam, tylko straciłam poczucie czasu.

– W takim razie jedziemy. Ale zaraz... – Cassie żartobliwie szturchnęła mnie w bok. – Koniecznie musisz poprawić makijaż. Będzie tam Bob, a ja ślepa nie jestem i widzę, jak gapicie się na siebie.

Czułam, że moje policzki robią się szkarłatne. Wprost nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę Boba, z tym że byłam całkowicie pewna, że to nastąpi. Nic nie jest przewidziane z góry, niemniej każdego dnia pojawiają się możliwości i cała sztuka polega na tym, by zdecydować, czy wykorzystać je, czy nie.

– Dobrze. Popracuję nad makijażem w samochodzie.

Zanim ruszyliśmy przed siebie, spojrzałam jeszcze raz na grób matki, czując błogi spokój. Chciałabym jej powiedzieć, że wszystko się układa. W sensie dosłownym to niemożliwe, a jednak czułam, że matka o tym doskonale wie.

– Bob jest prawie pewien, że przyjmą naszą ofertę – powiedziała siostra.

– Przyjmą, Cassie, bo Dom Łez musi być nasz. Nie ma innej opcji.

– Dom... Jak powiedziałaś?

Otworzyłam usta, ale zaraz je zamknęłam, bo ta nazwa nagle przestała mi pasować. W tym domu nie będzie już łez, tylko szczęście. Dom Łez, podobnie jak wszystkie lekcje odbyte podczas mojej podróży, należy do przeszłości, a ja prędo przodu, ku przyszłości.

– Jen, idziemy!

– Już, już... – mruknęłam zajęta szperaniem w kieszeni, w której było to wszystko, co miałam przed moją podróżą. – Przepraszam, Cassie, ale muszę jeszcze coś zrobić. Idź do samochodu, zaraz tam będę.

Cassie spojrzała na mnie dziwnie, ale odeszła bez słowa. A ja uklęknęłam i zaczęłam kopać dołek w głowach grobu.

– Jej miejsce jest tutaj, na cmentarzu, mamó – szepnęłam, wkładając do dołka czarną kredkę. Zasypałam dołek i starannie przyklepałam, tym samym grzebiąc całą ciemność, której się czepiałam przez prawie całe dotychczasowe życie.

Czułam, że mama byłaby z tego bardzo zadowolona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Rok później

Słońce zaglądało do kuchni, niosąc zapowiedź wiosny. Jenna siedziała przy stole, rozkoszując się drugą filiżanką kawy i chwilą ciszy, kiedy wreszcie można sobie spokojnie porozmyślać. Trudno jej było uwierzyć, jak daleko zaszła w ciągu jednego tylko roku. I jak wiele się zmieniło. Jeszcze nie tak dawno pragnęła samotności. Teraz rzadko bywała sama, ale ten wariant bardzo jej się podobał, choć oczywiście chwila spokoju też czasami człowiekowi się przyda.

Chwila niedługa, bo już ktoś się pojawił. Cassie. Wyszła ze swego pokoju i pociągnęła nosem.

– O! A co tak smakowicie pachnie?

– Pieczona kaczka. Ostatnio moje ulubione danie.

– Jeśli będzie smakować tak, jak pachnie, to będzie również moje ulubione danie.

– W takim razie na moje urodziny upiekę kaczkę.

– Świetnie... Ale zaraz... Skąd wzięłaś tę kaczkę?

– Z rynku. – Jenna uniosła znacząco brwi. – No wiesz, zdarzają się ludzie, którzy wstają z łóżka nawet przed południem i biorą się do roboty.

Cassie roześmiała się, podeszła do siostry i uściskała ją serdecznie.

– Są też ludzie, którzy nie mogą się doczekać weekendu, żeby wreszcie się wyspać!

Jenna wzięła filiżankę i wycelowała nią w kontuar.

– Tam stoi dzbanek z kawą.

Cassie potarła oczy, przeciągnęła się, ziewnęła i poczłapała do kontuaru, a po chwili siedziała przy stole, racząc się kawą.

– Jen, co ty dzisiaj jesteś taka świeżutka i radosna?

– Po prostu czuję się świetnie. – I taka była prawda, bo jak to mówią, los naprawdę jest łaskawy i jest za co dziękować. – Mam przecucie, że czeka mnie naprawdę dobry dzień.

– Też tak myślę. – Cassie pochyliła się i przesunęła palcami po włosach Jenny. – Cieszę się, że wróciłaś do swojego koloru. Wyglądasz młodziej i jakby... łagodniej.

Pochwała siostry jak zwykle sprawiła Jennie wielką przyjemność. Wiedziała też, że nie chodzi tylko o włosy. Kiedy oglądała swoje zdjęcia sprzed roku, prawie siebie nie poznawała. Była o wiele szczuplejsza, po prostu chuda, jakby rozkosze podniebienia ktoś obłożył surowym zakazem. A w oczach panoszył się smutek.

Cassie pstryknęła palcami.

– A skoro mówimy już o urodzinach... – Sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej pudełko owinięte w kolorowy papier. – Uznałam, że mogę już dać ci prezent, zanim zlecą się wszyscy.

Jenna powoli rozpakowywała pudełko, wiedząc doskonale, co znajduje się w środku. Kiedy kolorowy papier i wstążka sfrunęły na podłogę, wyjęła coś niewielkiego i owiniętego w białą bibułkę. Ma się rozumieć, była to porcelanowa Dorotka, ale inna, bo nowusieńka.

– Cassie, a gdzie tamta Dorotka?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. – Nie mogłam jej znaleźć, uznałam więc, że czas najwyższy wprowadzić zmiany. Nowa Dorotka, nowy rok, początek nowego.

O tak, pomyślała Jenna. Początek nowego.

Postawiła figurkę na środku stołu, żeby patrzeć na nią przez cały dzień.

– Nie ma jak w domu – mruknęła i w tym momencie poczuła, jak czyjeś palce, chyba ducha, pogłaskały ją po plecach.

Cassie uśmiechnęła się.

– A skoro mówimy już o domu... Jen, czy ty przypadkiem nie masz zamiaru wyprowadzić się z tego domu w najbliższym czasie?

– Owszem, mam. Bo tak się składa, że mój narzeczony jest agentem nieruchomości i niedawno wypatrzył dom, który świetnie nadaje się na pensjonat, o którym marzy.

– Tak?! – Cassie poderwała się z krzesła, by uściskać siostrę. – Cieszę się, bardzo się cieszę, ale będę okropnie za tobą tęsknić. W tym roku działo się niemało, ale nic mnie tak nie cieszyło jak mieszkanie razem z tobą.

– Mnie też jest dobrze z tobą, Cassie, po prostu cudownie, ale sama rozumiesz. Początek nowego.

– Jasne. Lecę się ubrać, bo za chwilę zaczną się schodzić twoi goście.

Cassie umknęła, Jenna została z kawą, rozmyślając o tym, jak wiele się zmieniło po jej poprzednich urodzinach. Tyle dobrego, tyle powodów do zadowolenia i wdzięczności. Jest Cassie, kochająca siostra, prawdziwe oparcie. Są przyjaciele, krewni, no i on! Mężczyzna, którego Jenna bardzo kocha i z którym wkrótce zaczyna nowe życie.

Jakby ściągnęła go myślami, bo to on zajechał przed dom! Zerwała się z krzesła i pomknęła do drzwi. Bob wysiadł już z samochodu, trzymając w ręku różowy goździk. Spotkali się w progu. Bob objął ją jedną ręką w pól i przyciągnął do siebie, po czym naturalnie nastąpił słodki, delikatny pocałunek.

– Właśnie tego potrzebowałem najbardziej – oświadczył Bob, nie wypuszczając Jenny z objęć. Uniósł też znacząco brwi i mrugnął do Jenny. Miało być bardzo sugestywnie, ale niestety nie wypadło zbyt efektownie, ponieważ tego dnia oczy miał schowane za okularkami Clarka Kenta. – A teraz, jeśli sięgniesz do

mojej kieszeni, znajdziesz prezent urodzinowy, oczywiście ode mnie!

– Niemożliwe!

Bob zaśmiał się.

– Przestań! Przecież tak się staram...

– Nie musisz za bardzo się starać, i tak cię Kocham – oznajmiła Jenna, wyjmując z kieszeni Boba małe pudełeczko przewiązane wstążeczką. Pierścionek? Niemożliwe. Pierścionek zaręczynowy dostała w święta Bożego Narodzenia. A więc co to może być?

– Otwórz, Jen.

Otworzyła. W środku był klucz. Zwyczajny klucz do drzwi wejściowych do domu.

– Czy to...

– Tak. Klucz do naszego nowego domu. Czeka nas mnóstwo roboty, a na naprawy wydamy majątek, ale warto, bo wkrótce będzie to... – Bob dla większego efektu zniżył głos: – Pensjonat w Mourningkill prowadzony przez państwa Hartwoodów.

Jenna wydała z siebie radosny pisk i rzuciła się Bobowi w ramiona.

– Lepszego prezentu nie mogłam sobie wymarzyć! Razem startujemy w nowe życie! – Nieprzytomna ze szczęścia wtuliła się twarzą w jego szyję.

– Będziemy się mogli tam wprowadzić zaraz po ślubie, Jen.

Ślub. Ten wyraz nadal ją zaskakiwał, ale i budził dziką radość.

– Świetnie.

Czule objęci weszli do kuchni, gdzie Jenna od razu nalała wody do wazonu i wstawiła różowy goździk. Wazon postawiła na środku stołu, obok Dorotki. Położyła tam też klucz. Klucz do ich wspólnego życia. Czyli są to najlepsze urodziny w jej życiu.

– Co to za hałasy? – zawołała roześmiana Cassie, wpadając do kuchni. – Witaj, Bob! – Cmoknęła go w policzek.

Jenna, wskazując na klucz na stole, też zawołała:

– Mamy dom! Wprowadzamy się tam zaraz po ślubie!

– A... – Cassie niby spochmurniała. – Czyli jednak zdecydowaliście się?

Bob zaśmiał się i wykonał znany chwyt, to znaczy objął ramieniem jej szyję i ścisnął leciusiętko, po bratersku.

– Ciesz się, że będziesz miała siostrę z głowy i wolną chatę.

– Chwała Bogu! – powiedziała Cassie, bez trudu umykając spod jego ręki. – Myślałam, że już nigdy się jej nie pozbędę.

Jenna naturalnie uśmiechnęła się bardzo ciepło.

– Będę w pobliżu, Cassie. Dobrze wiesz, że nigdy nie zostawię cię całkowicie samą.

– Wiem – powiedziała Cassie, również uśmiechając się cieplutko, i wzięła

siostrę za rękę.

Wszyscy troje drgnęli, bo w tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

– Otworzę – oznajmiła Cassie. – Przecież teraz ja tu będę panią domu. A wy będziecie mieli swoje drzwi. Drzwi do... no... dokądś tam...

– Do Na Zawsze – mruknęła Jenna.

– Jak powiedziałaś? Do na zawsze? – spytał Bob. – A wiesz, podoba mi się. Może powiesimy nad wejściem tabliczkę z takim właśnie napisem: DRZWI DO NA ZAWSZE.

Jenna słuchała jednym uchem, wpatrując się w tego kogoś, komu Cassie właśnie otworzyła drzwi. Siwowłosą panią, dziwnie zresztą znajomą.

– Dzień dobry! Jestem waszą nową sąsiadką. Nazywam się Maya – powiedziała, uśmiechając się miło, i wręczyła Cassie owinięty w folię bochenek chleba. – Proszę, to chleb bananowy. Upiekłam dziś rano.

– O, dziękujemy bardzo! – powiedziała Cassie. – Może pani wejdzie? Jestem Cassie.

– Dziękuję, może innym razem. Wpadłam tylko na moment, żeby się przywitać.

Jenna wysunęła się do przodu.

– Jestem Jenna. Czy my przypadkiem już gdzieś się nie widziałyśmy?

Oczy siwowłosej pani rozbłysły.

– Całkiem możliwe. Może spotkałyśmy się gdzieś na mieście.

– Może – powiedziała Jenna, choć wcale nie była przekonana. Nie miała jednak możliwości pytać dalej, ponieważ siwowłosa pani ruszyła do drzwi. Przechodząc obok Cassie, nachyliła się do niej i szepnęła: – Jakbyś czegoś potrzebowała, dziecko, daj znać.

– Dziękuję – odszepnęła Cassie.

Jenna zmarszczyła czoło, bo w jej głowie rozdzwoniły się dzwoneczki alarmowe. Patrzyła, jak siwowłosa pani znika za progiem, jak Cassie zamyka drzwi.

Kto to jest? Kto to jest? – zachodziła w głowę. Powinam sobie przypomnieć...

Jeszcze chwila zastanowienia i myśl znikła. Jenna wzruszyła ramionami i poszła sprawdzić, co z kaczką. Odciągnęła tłuszcz i zadowolona polala sosem, bo kaczka wyglądała bardzo apetycznie. Potem Cassie obrała ziemniaki, Jenna zrobiła sałatkę i niebawem nadciągnęli kolejni goście. Diane prowadziła za rękę córeczkę, z tyłu szedł Dean obładowany torbami, butelkami i w ogóle tym wszystkim, co musisz zabrać, kiedy idziesz w gości z malutkim dzieckiem.

– No proszę! Maszerujesz już jak duża dziewczynka – pochwaliła Jenna, uśmiechając się do malucha. – Wyglądasz zachwycająco, Emily.

Taka była prawda. Emily miała na sobie śliczną biało-różową sukienkę, na

malutkich stópkach malutkie czarne lakierki, a główkę zdobiła opaska, do której przyczepionych było mnóstwo kwiatków.

– Pokaż, skarbie, co przyniosłaś cioci Jennie – powiedziała mama.

Ciocia Jenna...

Czyli jedno z najważniejszych wydarzeń w zeszłym roku. Diane wybaczyła jej wszystko, mało tego, Jenna została ciocią, z czego była dumna jak paw, a mała Emily stała się dla niej kimś nad wyraz drogocennym.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin – wyrecytowała dziewczynka, wręczając Jennie pluszaka, czyli biało-czarnego pieska w obróżce z czerwonej wstążeczki.

– Sama wybrała – powiedziała z dumą Diane.

– Jaki śliczny! Dziękuję, bardzo dziękuję! – Jenna przyklękła i rozpostarła ramiona. – Kochanie, chodź do cioci Jenny. – Wzięła Emily na ręce i zaczęła trącać nosem ciepłą szyjkę, a zachwycona dziewczynka śmiała się i piszcziała.

– Chyba do szczęścia niczego nam już nie brakuje, prawda, Jen? – powiedziała Diane, oczywiście uśmiechnięta od ucha do ucha.

Jenna, też promienna, skwapliwie pokiwała głową.

– Kiedy siadamy do stołu? – spytał Dean, ciężko opadając na kuchenne krzesło. – Przy tej małej spalam więcej kalorii, niż kiedy w college’u grałem w piłkę nożną, a muszę być w formie.

– Czekamy na Parkera. Jak tylko się pojawi, zaczynamy jeść – zapewniła Jenna.

– Parker? Zmienił nazwisko?

– Nie. Ze względu na pracę nadal nosi przybrane nazwisko, ale kiedy w końcu odnalazł swoją metrykę i zobaczył, że mama nadała mu to właśnie imię, w życiu prywatnym jest już tylko Parkerem.

Jenna i Cassie nadal przyzwyczajały się do faktu, że mają starszego brata. Bardzo długo były tylko we dwie, ale kiedy go odnalazły, przyjęły z otwartymi ramionami. Parker i Cassie lubili się powygłupiać albo kłócili się jak prawdziwe rodzeństwo. Prawdę mówiąc, to i Cassie, i Jenna czuły się tak, jakby był z nimi od zawsze. Starszy brat, który udzielał im wielu cennych rad nawet wtedy, gdy nie chciały go słuchać.

Bob spojrział w okno.

– O wilku mowa...

Drzwi naturalnie otworzyła Cassie, witając nowego gościa słowami:

– Czyżby nasz brat marnotrawny?

Parker zrobił odpowiednio zbolaną minę.

– Ale wymyśliła... – I zwrócił się do Jenny: – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. – Wręczył jej małe pudełeczko na biżuterię. – Może to choć w pewnym stopniu pomoże nadrobić stracony czas, kiedy nie spędzaliśmy razem

naszych urodzin.

Jenna, kiedy otworzyła pudełeczko, aż krzyknęła zachwycona tym, co było w środku. Złotym naszyjnikiem z wisiorkiem.

– Prześliczny! Dziękuję ci, Parkerze, bardzo dziękuję!

– Cieszę się, że ci się podoba. U jubilera powiedzieli, że to jest Drzewo Życia. A mnie to drzewko przypomina ciebie...

– Ale się podlizuje – wyszczała Cassie.

– Spójrz – mówił dalej Parker, nie zwracając uwagi na młodszą z sióstr. – Kazałem go wysadzić naszymi kamieniami urodzinowymi. Tu jest twój, tu mój, a ten tego głupola.

– Prześliczny – powtórzyła zachwycona Jenna, ostrożnie wsuwając naszyjnik przez głowę. I zadrżała, bo kiedy palce dotknęły wyczelowanego złota, poczuła się dziwnie. Chyba *déjà vu*, i to bardzo intensywne.

– Też mam niedługo urodziny – oświadczyła Cassie jakoś wcale nieurazona tym „głupolem”. – Wolę srebro i turkusy.

– Będę pamiętał – zapewnił Parker, mrugając do niej wesoło.

W tym momencie odezwał się w kuchni minutnik i wszyscy ruszyli do akcji. Jenna wyjęła kaczkę z piecyka, Bob poszukał noża, by pokroić biedaczkę, Cassie tłukła ziemniaki, Parker doprawiał sałatkę, Dean kombinował, jak ustawić fotelik dla dziecka, a Diane nakrywała do stołu. Potem wszyscy do tego stołu zasiedli. Było mnóstwo śmiechu, pochwał pod adresem znakomitej kucharki Jenny. Razem stanowili całość, która może i nie przypominała obrazu Normana Rockwella, ale była idealna. Zdaniem Jenny na pewno. Jenny, która nie wyobrażała sobie, że mogłaby być jeszcze bardziej szczęśliwa.

Po obiedzie na stół wjechał tort. Cassie zapaliła świece i wszyscy odśpiewali „Sto lat”. Głośno, z entuzjazmem. I fałszywie.

– Jen, pomyśl jakieś życzenie – powiedziała Cassie.

Jenna zdmuchnęła świece, wcale nie zastanawiając się nad życzeniem. Bo i po co? Kiedy spojrzała na roześmiane twarze swoich bliskich i przyjaciół, wiedziała już na sto procent, że wszystkie jej życzenia zostały spełnione. A to, co teraz przyszło jej na myśl, jest najprawdziwszą prawdą.

Nie ma jak w domu.

PODZIĘKOWANIA

Siostrzom Jeziora – Christine Wenger, Patricii Otto, Jo Piraneo, Sue Peterson, Barbarze Parelli, Joan Dermatis, Dorice Nelson i Darze Scalera, które były ze mną na początku.

Moim siostrzom TARA za wsparcie i kierowanie mną przez cały czas.

Moim pierwszym czytelniczkom, Genevie Brock i Denise Madigan, które dodawały mi pewności siebie, kiedy zaczynałam ją tracić.

Mojej fantastycznej agentce, Lindzie Scalissi z Agencji Literackiej 3 Seas, która od samego początku wierzyła w tę książkę, oraz Annie Paustenbach z HarperLegend, która wzięła ją pod swoje skrzydła.

Dziękuję Wam wszystkim. Bez Was nie dałabym rady!

Tytuł oryginału: *House of Cry*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers LLC, Nowy Jork, USA, 2017

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordega

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2017 by Linda Bleser

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: iStock.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-3175-6

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.

